

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 13

1948



F. GOETEL — Rozdroże kultury * J. PIETRKIEWICZ — Cztery horyzonty * J. CZAPSKI — Proust w Giazowcu ♦ C. DAY LEWIS — Obraz poetycki ♦ M. WAŃKOWICZ — Do Erez Izrael * J. URSYN — Dwa światy ♦ *NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI*: A. UZIEMBŁO — Sejm w Wilnie. ♦ *ARCHIWUM POLITYCZNE*: W. GRZYBOWSKI — Premier Kazimierz Bartel ♦ *KRONIKA KULTURALNA* ♦ *KSIĄŻKI*: E. RACZYŃSKI: Pamiętniki Churchill'a * WŁ. POBÓG-MALINOWSKI — Polska i Litwa.

SPIS RZECZY

Ferdynand Goetel: *Rozdroże kultury* 3



Jerzy Pietrkiewicz: *Cztery horyzonty (Listy o literaturze)* 13

Józef Czapski: *Proust w Griażowcu (dok.)* 22



Cecil Day Lewis: *Obraz poetycki* 45



Melchior Wańkowicz: *Do Erez Izrael* 59



Józef Ursyn: *Dwa światy* 70

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Uziembło: *Sejm w Wilnie* 83

ARCHIWUM POLITYCZNE

Wacław Grzybowski: *Premier Kazimierz Bartel* 99

KRONIKA KULTURALNA

J. A. Święcicka: *Książka polska w W. Brytanii*.. 115

KSIĄŻKI

Edward Raczyński: *Pamiętniki Churchill'a* 130

Władysław

Pobóg-Malinowski: *Polska i Litwa* 138

Wydawca: **EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »**
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 13

1948

INSTITUT



LITERACKI

Rozdroże Kultury

Nie było z pewnością czasów, gdy kultura tak wiele znaczyła jako hasło a tak mało jako treść dziejów. Całe swe życie słyszę o kulturze. Im dalej w lata, tym głośniejsze, uroczyściejsze i więcej. Z zagadnienia, obchodzącego kiedyś myślicieli, artystów, naukowców, wdarła się kultura na trybuny polityków, jąta zobowiązywać mężów stanu, stała się sprawą państwową, społeczną — nie było poczynania, którego by nie przedsięwzięto bez powoływania się na kulturę. Wyższość kulturalną nordyków głosił Hitler. Kultura radziecka nie schodzi z transparentów Moskwy. Założenia kulturalne przyświecały Zachodowi w walce z Hitlerem, tak jak przyświecają dziś w sporze z Moskwą. W imię kultury przeszkala się faszystów na demokratów, demokratów na komunistów. Na arenie wymiany myśli, gdzie toczą turnieje twórcy różnego rodzaju ideologii miętoszą się pojęcia kultury mas, kultury społecznej, ludowej, narodowej, szlacheckiej, — do prawdy można by sądzić, że nareszcie przyszedł czas na kulturę. My, synowie XIX wieku, którzyśmy zawsze biadali nad jej upośledzeniem i niedocenieniem, powinniśmy być olśnieni jej tak zawrotną karierą publiczną. Niestety! im więcej słyszymy o niej, tym mniej widzimy jej dokoła nas. Świat staje się na skutek tego coraz bardziej dla nas niezrozumiały.

Być może jednak, że my, ludzie starszej daty, kojarzymy z kulturą jakieś pojęcia, które są już przeżytkiem, a ta kultura o której słyszymy raz po raz jest już czymś nowym i innym. Gdy jednak nikt nam nie potrafi wyjaśnić czym jest, musimy poprzestawać na dawnym i wychodzić z założenia, że kultura nie oznacza nic innego, niż to, co w pojęciu jej zamknął XIX wiek. I że istotą jej jest humanizm, wyrosły z świata chrześcijańskiego i antycznego i rozkwitły w wieku „Oświecenia”. Nie ma żadnej innej kultury, jak właśnie ta. Dla nas, rzecz jasna, ludzi zachodnich.

Jeżeli zatem istnieje coś, co by jej można przeciwstawić, coś co jest w istocie swej inne i nowe, to tylko barbarzyństwo. Nie myślę sztydzić. Gdy barbarzyńcy rozsadzali przeżywający się Rzym, dali rzeczywiście początek nowej erze. Pojęć wziętych ze starego świata nie używali jednakże. Byli widocznie albo uczciwsi albo pewniejsi siebie od dzisiejszych „dziejotwórców”. Dzięki temu nie narażali się też na śmieszność, której szczytem nie-

PRINTED IN FRANCE

zapomnianej pamięci była hitlerowska „urdeutsche Kultur” czy jest „kulturowy czelawiek” w Z.S.R.R.

Ostrożnie więc z „przestarzałą” kulturą. Zadanie byłoby łatwiejsze, gdyby kulturę zamienić pojęciem cywilizacji. Zwrot tego rodzaju już się dokonał w niektórych krajach Europy. Najbardziej kategorycznie w Anglii, gdzie wszystkie zjawiska życia, duchowe i materialne, połączono w jednym pojęciu cywilizacji. Civis znaczy po łacinie obywatel. Cywilizacja jest to zatem kultura przystosowana do potrzeb obywatela — świecka, jeśli kto chce, lub nawet społeczna. Dochodzenie istoty pojęć poprzez etymologię słów nieraz zawodzi, w tym wypadku jednak ułatwia zrozumienie rzeczy. Nie jest przypadkiem, że pojęcie cywilizacji pochłonęło kulturę w krajach praktycznych, gdzie usprawnienie życia osiągnęło najwyższy rozwój. Nie jest również przypadkiem, że inne narody zachowały pojęcie kultury dla zjawisk twórczości duchowej, pojęciem zaś cywilizacji oznaczają zjawiska rozwoju materialnego. W Polsce, wiadomo, różnica między kulturą a cywilizacją nie została zatarta. Twórczość człowieka, według naszego rozumienia, ma dwa oblicza i to odwrócone od siebie, jak w głowie Janusa czy Światowida.

Różnic pomiędzy kulturą a cywilizacją można wyliczyć wiele. Prawdą jest, że kultura wpływa na rozwój cywilizacji prawdą i jednak, że cywilizacja nie ma wpływu na rozwój kultury. Obraz starożytnej Grecji jest niezmiennie niedoścignionym wzorem doskonałości, mimo iż Platon sypiał na koziej skórze, świecił olejnym kagankiem, jeździł na osie i jadał rękami chyba z glinianej misy. Gdyby rozwój cywilizacji wpływał na kulturę, mielibyśmy dziś myślicieli o tyleż doskonalszych od Platona, dzieła sztuki o tyleż świetniejsze od świątyni greckiej, ile samolot jest doskonalszym środkiem komunikacji od osła. Platonów takich nie widać.

Są z pewnością i zestawienia innego rodzaju. Einstein przewyższa niezawodnie Arystotelesa, jeśli chodzi o pogląd na budowę świata i gdyby nie znakomite narzędzia, nie byłoby Einsteina. Wiedza ścisła czy eksperymentalna szła w tym wypadku, jak i w wielu innych, ręką w rękę z rozwojem cywilizacji. Nowego układu harmonii pomiędzy człowiekiem a jego otoczeniem jednakże nie stworzyła a zakłóciła ten, który był.

Sprzeczność między kulturą a cywilizacją doszła do największego wyrazu w naszych czasach i doszła do katastrofalnego nasilenia w ubiegłej wojnie. Nie ma potrzeby udowadniać, że kultura, wraz ze swoim bohaterem, humanistą, poniosła w niej ogromną klęskę, której końca ani rozmiaru nie sposób przewidzieć. Inaczej cywilizacja. Ta poniosła tyleż strat, ile zdobyła zysków. Bohaterem jej był fachowiec. Okres od r. 1939 po dzień dzisiejszy to nieprzerwany triumf fachowców, którzy z wojny uczynili zdarzenia, przerastające wszystko, co sobie mogła wyobrazić ludzkość. Już sam początek wojny ukazał nam jakiś fantastyczny świat ulepszeń, wynalazków i usprawnień, wyprzedzający nasze pojęcia o parę dziesiątków lat. W czasie wojny

niestrudzeni fachowcy przenieśli nas bodajże o pół wieku dalej. Największy ich wyczyn, tj. bomba atomowa, rzucił dopiero cień na ich dzieło, zatrwożył ludzkość i nasunął pytanie czy siły moralne człowieka są wystarczające, aby go uchronić przed niebezpieczeństwem potęgi fizycznej, którą zawładnął i którą ma w ręku.

Wiemy, że niejednen z wynalazców zadaje sobie dziś gorzkie pytania, czy nie przyłożył zbyt pochopnie rąk do dzieła zniszczenia. Dramat ich nie jest jednakże niczym nowym i mieści się w obrębie kultury humanistycznej. Pamiętamy przecież historię wynalazcy dynamitu, Nobla, który majątek swój u schyłku życia zapisał na nagrody dla twórców kultury.

Ale większość fachowców naszych czasów nie zdradzała do prawdy rozterki wewnętrznej, tworząc nie tylko znakomite narzędzia walki, lecz i przykładając się do „racjonalnego” wyniszczania bezbronnych ludzi. Był to już typ człowieka wyzwolonego z humanistycznych słabizn. Trybunały, rozprawiające się ze zbrodniarzami wojny, ukazały nam obok szalonych matadorów zniszczenia także i całą rzeszę jego wyrobników, profesorów i techników, organizatorów i udoskonalaczy, wynalazców komór gazowych, bakterioznawców, trucicieli a także i lekarzy, którzy na skazańcach i więźniach przeprowadzali doświadczenia, naukowe chyba i nawet użyteczne dla rozwoju medycyny. Cywilizacja wystawi im może kiedyś glejt pochwalny, boć, na rozum biorąc, nie ma zastrzeżeń przeciw doświadczeniom naukowym nad człowiekiem skazanym na śmierć, tak jak nie ma żadnych rzeczowych argumentów przeciw wyrabianiu mydła z trupów ludzkich. — Ale kultura nazwie to hańbą naszych czasów.

To są ci, którzy stanęli przed trybunałami, gdyż przyłożyli bezpośrednio ręce do zbrodni. Jest jednak i cała olbrzymia rzesza fachowców, gotowa oddać swą wiedzę każdemu, kto za nią zapłaci i pozwoli korzystać z najtańszych uciech życia. Na jednym z odczytów dyskusyjnych, urządzanych potajemnie podczas okupacji Warszawy przez Niemców, słyszałem pewnego czcigodnego filozofa, który wystąpił z tezą: „Nie jest źle, skoro żyjemy”. Znakomity ów specjalista wyklada dziś na jednym z uniwersytetów w Polsce. Podobnie jak on myśleli niezawodnie „czyści” uczeni niemieccy, którzy, odsłużywszy swoje dla Hitlera, poszli później w służbę angielską, amerykańską czy rosyjską. Nie inaczej sądził chyba wysoce ucywilizowany naród czeski, pracując podczas wojny dla zbrojeń niemieckich. Nie inaczej myśli tzw. człowiek rzeczowy, odsuwający od siebie wszelką odpowiedzialność za sprawy niezwiązane najściślej z jego potocznym dniem. Gdyby cywilizacja mogła narastać tak jak powstaje rafa koralowa, zamknięty w swej komórce fachowiec spełniłby zapewne swe zadanie. Ale ludzkością rządzą pewne prawa wyższego rzędu.

Fachowiec zdaniem swym o nich wie. Zapytany odpowiada z miejsca, że służy nauce, produkcji, społeczeństwu, postępowi czy nowym pokoleniom i nowej erze. Jak dalece te hasła są słu-

szne, nie zastanawia się. Megafon propagandowy cywilizacji potrafi zawsze wyrobników swych ustawić „frontem” do czegoś, zaspakaja ich ambicje i oszczędza im trudu wyboru spraw, którym mają służyć. Bohater cywilizacji nie dostrzega wówczas sam, jak staje się jej marionetką.

Ci, którzy za nieszczęście naszych czasów uważają szaleńcze skłonności umysłu ludzkiego do gwałtu i zbrodni, popełniają błąd. Najbardziej osłupiającą cechą człowieka XX wieku jest łatwość zmiany przekonań. Kiedy hitleryzm przeobrażał Niemcy w obóz militarny, pytałem, gdzie się podziało 2.000.000 czytelników Remarque'a. Równie bez śladu zniknęła wielomilionowa rzesza socjal-demokratów i liberałów niemieckich. Dziś dziesiątki milionów hitlerowców przeobraża się równie szybko w demokratów. Podobne procesy zachodzą we Włoszech. Stałość przekonania masy ludzkiej w Rosji nie może już nikogo wprowadzić w błąd. Przyczyną jej jest strach przed zagładą.

Nie mam zamiaru uporać się zbyt łatwo z Rosją Sowiecką, ani nie chcę uważać jej za fenomen, oddzielony od zachodniego świata „żelazną kurtyną”. Strach i powodujący go terror nie jest zjawiskiem wyłącznie rosyjskim. Widmo jego unosi się nad całym światem. Terror w istocie swej nie jest tylko przejawem okrucieństwa tych, którzy stosują go, opętani żądzą władzy, lecz i wyrazem pogardy dla rzeszy ludzkiej, której przekonania kupuje się za cenę strachu. Skuteczność, powszechność, wielokakość terroru jest w prostym stosunku do słabości, nijakości „rzeczonego” człowieka. I któż przypuszczał po wieku Oświecenia, że wystarczy tak prymitywny, tak brutalny sposób, aby urabiać ludzkie przekonania?

Wybrałem przykłady najbardziej jaskrawe, a istnieje podobno świat nie tak chwiejny i łatwy do opanowania. Lecz czy zmiany, zachodzące we Francji, Anglii, Ameryce nie rozgrywają się z szybkością, wykluczającą wnioskowanie, co właściwie wyznaje człowiek zachodni? Nie ma żadnej pewności w psychice Zachodu i próżno szukalibyśmy niezachwianych ości wielkiej jego cywilizacji. Spójrzmy jak potraciły znaczenie pojęcia, które dotychczas uchodziły za bezsporne. Razem z człowiekiem, który oznacza nic i wszystkim być może, pojęcia znaczą i nic i wszystko. W imię wolności, równości, w imię walki z niewolą i uciemiężeniem człowieka walczą wszyscy przeciw wszystkim. Wyrwana i przerywana z rąk do rąk idea staje się wszystkim. Wyrywana i przerywana z rąk do rąk idea staje się wszystkim. Wytarta jak szeląg. Co w takim razie decyduje o życiu? — Życie samo. Przypomina mi się tu jedna z rozmów o wolności z Karolem Irzykowskim. Zastanawialiśmy się wówczas nad „nowym” światem i „nowym” człowiekiem tak bardzo zapowiadany przez młode pokolenie. „Człowiek nowoczesny” — rzekł sarkastycznie — „jest rzeczywiście wolny, gdyż przestał się zastanawiać co wolność oznacza”.

Przestać się zastanawiać znaczy jednak i przestać rozumieć i oceniać. Człowiek zachodni musiał już dawno wiele rzeczy przemyśleć, skoro się tak pozwolił zaskoczyć katastrofą moralną ostat-

niej wojny. Wybrał drogę najłatwiejszą, odgrodził się od niej i nazwał ją przejawem szaleństwa czy też barbarzyństwem. Ale „Hunowie” naszej ery nie wyszli tym razem z teutońskiej kniei a z samego środka ucywilizowanej Europy. Umieli czytać i pisać. Standard życia mieli wysoki, prezencję doskonałą, studia odbyli na wybornych uniwersytetach, umieli grać i słuchać Bacha i Bethovena, cytować filozofów i poetów znanych całemu Zachodowi. Ci drudzy zaś, z pogranicza Azji, choć zewnętrznie więcej podobni do hordy, wystąpili również z hasłami i doktrynami, zrodzonymi nie za Uralem, a właśnie w warsztatach mózgowych zachodniego świata.

Poszukiwanie zaczątków hitleryzmu i bolszewizmu w puszczy germańskiej czy azjatyckim stepie jest zabawą, być może równie frapującą jak wywoływanie duchów, ale też i równie zawodną.

Tropu tego trzeba szukać w przeszłości Zachodu i sięgnąć wstecz do rewolucji francuskiej i nawet dalej w głąb, do reformacji i epoki Odrodzenia. Wyjaśnienie bowiem wewnętrzne człowieka i jego przemiana w oświecone zwierzę rozpoczyna się właśnie z chwilą przełomu, z którego miała wyrósć cywilizacja.

Początek procesu był wolny i utajony. Wielkie siły duchowe chrześcijaństwa i głęboka wiedza o człowieku, narosła w Rzymskim Kościele, stanowiły przez długi czas kapitalny zasób pojęć wpojonych w sam rdzeń zachodniej kultury. Jeszcze i rewolucja francuska w odruchach swych i ideach czerpała z tego źródła. Wiek XIX-ty przyspieszył przemiany. Zestawmy Hitlera z Napoleonem a ujrzymy, co się stało.

Człowiek wyzwolony z „przesądów” religijnych, człowiek-potęga stanowiąca o sobie, człowiek-władca świata i ujarzmiciel przyrody nie wnet się spostrzegł, że nie odnajdzie utraconego sensu istnienia, szukając go w samym sobie. Romantyzm i indywidualizm „nieprawie” dzieci rewolucji, podjęły daremną próbę syntezy między nowoczesnym człowiekiem a jego otoczeniem. Nic bardziej charakterystycznego, jak dekadencja typu bohatera w literaturze XIX wieku. W zaraniu jej postaciami jej są Faust, Child Harold, Onegin, Kordian i Konrad, ludzie skłócení z Bogiem i światem, pełni sprzeczności wewnętrznych, lecz przejęci głęboką pretensją moralną i irracjonalnym poczuciem jakiegoś wyższego prawa, rządzącego człowiekiem. Później bohater literatury romantycznej i poromantycznej już się spłyca. Od Ibsenowskiego Peer Gynta i Brandta krok następny do nadczłowieka, którego stworzył Nietzsche. Onegin przejdzie w nihilistyczne postacie, stworzone przez Andrejewą czy Areybaszewa. U nas w „spóźnionej” Polsce Konrad i Kordian wciąż jeszcze pokutują w plśmiennictwie, wszakże i my pamiętamy „mocnych ludzi” Przybyszewskiego i jego animalistyczną tezę: „Na początku była chuć”. Cokolwiek o niej sądzimy, trudno zaprzeczyć, że wyznanie to było ostatnią konsekwencją poromantycznej doby. Gdy równocześnie bardziej wy-

trawny i ostrożny racjonalizm znalazł ostoję w sceptycyzmie, wraz ze swoistą mu pobłażliwością dla grzechów i wad człowieka i powątpiewaniem w jakikolwiek sens istnienia — indywidualistyczna epoka porewolucyjna utknęła na miejscu bez wyjścia. Razem z nią urywała się i nić rozwojowa kultury zachodniej. Nawiązać jej nie było już do czego, gdyż wtedy trzeba by było zawrócić głęboko wstecz. A cofać się nie przystoi wyznawcom postępu. „Naprzód!” — słyszeliśmy przez cały XIX wiek.

Lecz, pouczą nas właśnie, tu zaczyna się wielka nowość naszych czasów. Przegrane miejsca jednostki zająć na zbiorowisko. Jego interes, jego wola, jego poczucie moralne rozstrzygnąć ma o treści kultury, która w jego ręku staje się „kulturą mas”.

Nie wdawajmy się w dociekania, jakie czynniki gospodarcze czy polityczne wywarły wpływ na ten zwrot, skoro da się on wytłumaczyć i psychologicznie bezradnością jednostki wobec nacisku kultury stworzonej w ciągu wieków. Zachwiana równowaga pomiędzy siłami człowieka a ciężarem jego dzieła tłumaczy dostatecznie dążność łączenia się w gromady, ożywione takim czy innym wspólnym „interese”. Pozornie jest to zasada prosta i zbawienna. Co przerasta jednego człowieka powinno być podjęte przez dwu... setkę... miliony. Namiętność ich twórcza i odkrywcza, wola czynu, poczucie ładu i sprawiedliwości, odwaga w podejmowaniu zagadnień, rozmiar zamierzeń i ogromność dokonań będzie o tyleż większa, ile milion jest więcej niż jeden.

Nie trzeba być maniakiem indywidualizmu, aby wzruszyć ramionami nad łatwizną tego rodzaju i nazwać wiarę w zwielokrotnienie energii kulturotwórczej na zasadzie zbiorowej jednym z najbardziej żalosnych złudzeń, jakim uległa ludzkość. Kultury „zmasować” nie można. Milion ludzi nie rozumie więcej niż jeden człowiek a świadomość, że się jest jednym z miliona nie poszerza w niczym duszy, ani tym mniej, nie skłania jej do odkrywczego wysiłku. Potrzeby masy ludzkiej, ilościowo ogromne, jakościowo są mierne i prymitywne. Służąca im kultura, choć niby arcynowoczesna, staje przed zadaniem rozpowszechniania zdobyczy starych, zamiast ubiegać się o nowe. W zasadzie cały proces intelektualny, jaki widzimy w przeorganizowanym zbiorowo środowisku ludzkim, zasadza się na odmiennej niż dotychczas interpretacji tego co zostało już dokonane. Niejeden zwietrzały łeb ulega tu złudzeniu odrodzenia się w nowej kulturalnej atmosferze.

Istnieje jednakże i inna, istotna bardzo sprzeczność pomiędzy „poczuwającą się” zbiorowo ludzkością a samą cywilizacją i jej narzędziami, które rozwijają się indywidualnie w coraz bardziej potężne, samoistne i skomplikowane jednostki. I kiedy siła ludzka i jej twórczość ma być rozłożona na masy, w narzędziach następuje koncentracja siły aż do superwymiaru energii atomowej. Nie ma żadnego sposobu zbiorowego władania tymi narzędziami. Przeciwnie, obsługa ich staje się udziałem coraz mniejszej grupy, dziś już nie tylko znawców czy speców, ale

„wtajemniczonych”. Zaniepokojona zbiorowość ludzi się że rozwiąże to zadanie biorąc w niewolę wynalazców i ich narzędzia, wyłania przeto grupki ludzi, którzy spełniają nad nimi kontrolę. Stąd krok następny do niewoli mas, zdanych na łaskę i niełaskę swej „egzekutywy”. Stąd dalej i nieufność, przenikająca „zbiorową” kulturę od góry w dół i na każdym jej szczeblu. Stąd strach jednego przed drugim, stąd władza jako ostateczny sens istnienia. Nie udało się też wypełnić niczym pustki wewnętrznej jaką zieją nowoczesne zbiorowiska ludzkie. Wyzwolone z uczuć prostych i najbliższych człowiekowi obowiązków, od przyrody odgradzone, uwikłane w mechanizm cywilizacji, którego sekretów nie rozumieją, skazane na zajęcia poddyktowane jakąś anonimową, „ogólną” potrzebą, pozbawione wyboru własnego trybu życia, zziębnięte i znużone, ograniczone do najciaśniejszego horyzontu pragnień i myśli, oszukane doraźnością nędzy, nieustępliwej jak przekleństwo, łudzone mirażem szczęścia, nieziszczalnego jak marzenia owada o raju — jałowiejają szybko i bezlitośnie, bez prawa do protestu i apelu. Nigdy człowiek tak piorunująco nie kurczył się i upadał, jak w epoce, gdy los swój bez reszty oddał gromadzie. I nigdy tak naiwnie nie oddał się w niewolę fikcji.

Cóż więc zostaje?... Zwrot wstecz, ku „mrokom” średniowiecza? ku czasom, ideom, rzeczom, które się „przeżyły”? Czy, w ostateczności, nie lepiej oczekiwać na nowego Mesjasza?... Czy nie liczyć na *ex oriente lux*?

Wschód jednakże, nadzieja Zachodu, niedzisiejsza tylko, nie jest zaprzątnięty metafizycznymi dociekaniem a tylko kłopotami, jak przyswoić sobie myśli i tryb życia, przeszczepione mu z Zachodu. I to, a nie nic innego jest dramatem wewnętrznym Indii, Japonii czy Chin. Przebieg procesu, zważywszy ogrom azjatyckiego świata i jego obciążenia wielowiekowe, będzie długi i wróży nam chaos tylko na czas najbliższy. Tęsknoty buddyjskie czy wedyckie zawiedzionych intelektualistów europejskich, nie stworzą niczego, skoro sam Wschód odwraca się od swych proroków.

A więc wstecz. Nawrót nie jest łatwy, gdyż przeszkadza mu duma czy, jeżeli kto chce, pycha, wstyd wreszcie „oświeconego” człowieka, który w przekonaniu swym przewyciężył już dziecinne lata swej kultury i spogląda wstecz z pobłażliwą ironią, nie bacząc, że nie tylko nie potrafił zastąpić niczym jej przedawnionych zasad, lecz nie umiał ich nawet dotrzymać.

Ostoją kultury zachodniej jest chrześcijaństwo. Wiek oświecenia osłabił jego znaczenie i zepchnął je na ubocze, jako sprawę nieżywą już, przesadzoną, niegodną uwagi twórczego i poszukującego umysłu. Religia, jej normy etyczne, jej pojmowanie świata, stały się niejako jednym tylko z czynników kultury, czymś w rodzaju sprawy osobistej, przypuszczeniem, słabością a nie zobowiązaniem zachodniego człowieka, który owszem, przyznawał, że Zachód jest także i chrześcijański, lecz i na tym poprzestawał, mimo, iż nigdy nie zdołał określić jakim Zachód

jest oprócz tego. Swoboda bowiem myśli i wypowiedzi, głośne dziś i niemal programowe hasła Zachodu, nie są równoważne z chrześcijaństwem, gdyż istnieją przecież granice, gdzie myśl przestaje być wyrazem kultury i staje się wartością bez pokrycia. Granica ta wyznacza poczucie moralne, a o tym na Zachodzie rozstrzyga chrześcijaństwo. Zdrowy rozsądek, poczucie rzeczywistości, interes publiczny czy dobro publiczne jest tyleż ograniczone moralną treścią, co swoboda myśli.

Jakkolwiek więc trudny jest nawrót wstecz, uczynić to trzeba, zrzucając z serca bezmierną pychę budowniczych świata, dziś doprawdy już prózną na niewygasających wciąż zgłiszczach ostatniej katastrofy wojennej. Jeśli odwagi tej zabraknie, lepiej przyznać, że rola Zachodu jest skończona.

Ferdynand GOETEL.

W bieżącym numerze „Kultury” nie zamieszczamy drugiej części reportażu Aleksandra Janty pt.: „Wracam z Polski”, gdyż całość ukaże się w najbliższym czasie w wydaniu książkowym. Pozwoli to łatwiej czytelnikowi na wyciągnięcie wniosków.

Część pierwsza wspomnianego reportażu, drukowana w Nrze 12 „Kultury” wywołała tego rodzaju oddźwięki w prasie, że zmuszeni jesteśmy w paru słowach na nie odpowiedzieć. Ma się rozumieć, nie idzie tu nam o prasę reżimową, warszawską. Nazywając się prasą demokratyczną, nie może i nie chce ona zrozumieć tak podstawowych założeń demokracji, jak wolność słowa, myśli lub dyskusji. Każda bezstronność lub próba obiektywizmu jest dla niej dowodem słabości czy „zgniętej inteligencji”. Zresztą nie interesom polskim ona służy. To nie jest warte polemiki.

Inaczej jest natomiast z prasą niepodległościową na emigracji.

Jeżeli uważaliśmy za wskazane i pożyteczne zamieszczenie reportażu Aleksandra Janty to przede wszystkim dlatego, by uprzytomnić sobie i emigracji, że czas płynie i że nie tylko obecna rzeczywistość polska odbiega od rzeczywistości z 1939 roku, ale że przemiany, jakie zachodzą w Kraju pozostawiają swoje piętno, nawet psychiczne — czy nam się to podoba czy nie. Walcząc o pełne wyzwolenie Polski i wierząc, a nawet mając pewność, że tę walkę wygramy, jest naszym najważniejszym obowiązkiem te zmiany wyczuwać, obserwować i wyciągać z nich wnioski dla swego działania. Naród jest bowiem dla nas jedynym sensem naszego tu istnienia. Jednym z najświeższych niebezpieczeństw, które nam grożą, jest podzielenie losu emigracji Ludwika XVIII, która do kraju co prawda wróciła, lecz przez kraj została odrzucona.

Obserwacje p. Janty były dla nas specjalnie ciekawe, gdyż na rzeczywistość krajową mógł spojrzeć oczami emigranta. Niektóre jego sformułowania czy obserwacje mogą być drażniące, niestusne czy nieostrożne, dla nas jednak najważniejsze jest to, że są one swego rodzaju dokumentem, oraz to, że uważamy p. Jantę nie tylko za dobrego i uczciwego reportera, ale również za dobrego Polaka, co udowodnił w czasie wojny.

Reakcja była nieoczekiwana. Zamiast rzeczowej dyskusji, zaczęto operować śliskimi insynuacjami, wołaniem o policjanta i cenzora.

Linia i oblicze ideowe „Kultury” zostały zupełnie wyraźnie sformułowane w czasie rocznej egzystencji pisma i tu nie mamy potrzeby legitymowania się ani usprawiedliwiania.

Nie jesteśmy pismem propagandowym, operującym sztancami. Jest zbyt wiele zagadnień w życiu polskim drażliwych i wstydliwych, których się nie wyjaśnia ani rozwiązuje, pokrywając je natomiast wyświechtanym frazesem.

Naszą najwyższą ambicją jest wyciąganie tych spraw na światło dzienne i publiczne, swobodne dyskutowanie. Jest to w naszym zrozumieniu obowiązek tak względem Kraju, jak i emigracji.

Charakterystyczne jest, że reakcja czytelników zasadniczo odbiega od tych głosów prasy. I im się wiele rzeczy nie podoba, i oni formułują takie czy inne zastrzeżenia, ale jest w tym rzeczowość, szukanie rozwiązań, pasja zrozumienia Kraju — nie ma demagogii czy posmaku donosu. Tak było po artykule Andrzeja Bobkowskiego — tak samo jest i teraz.

Jakkolwiek bardzo często krytykujemy na łamach „Kultury” jałowość czy dekadencję Zachodu, to jednak dlatego jesteśmy z nim, że tu jest wolność, bez której żadna twórcza dyskusja o Polsce jutra nie jest możliwa.

Chcemy to słowo wolność traktować dosłownie, a nie jako parawan dla bierności, nieodpowiedzialności i praktyk, z którymi walczyliśmy jeszcze w Polsce niepodległej.

REDAKTOR.

Czytelników, a przede wszystkim prenumeratorów „Kultury” na terenie Wielkiej Brytanii przepraszamy za niedostarczenie im ostatniego numeru naszego pisma.

Prenumeratorom automatycznie przedłużamy termin odnowienia prenumeraty o jeden miesiąc.

Cztery Horyzonty

(LISTY O LITERATURZE)

[Trzy osoby, oznaczone literami A, B i C, prowadzą korespondencję z Janem K. Odpowiedzi Jana drukowane są kursywą. — Przyp. Red.]

A. 1.

Kraków, 10 lipca 1948 r.

Drogi Janie!

Wyobraź sobie lato w Polsce i zapach wiejskiego wieczoru. Choć dużo deszczów i chłodu w tym roku, lato ma zapach ten sam. Nawet tu go pełno, na przedmieściu, w otwartym oknie. Lubię pisać listy, siedząc tak przy oknie; potrzebuję widocznie przestrzeni, aby myśleć i przekazywać myśli drugim. Przestrzeń... Okno otwarte na przestrzeń.

Wróciłem do miasta po dwutygodniowej wędrowce po województwie. Pisałem Ci w poprzednim liście, że prowadzimy w naszej grupie uniwersyteckiej badania nad folklorem. Bez żadnych rozczułań się oczywiście. Ani bez nerwowego wyczekiwania na nadzwyczajne odkrycia. Ot, po prostu staramy się porządnie notować teksty i komentować je dla użytku innych, którzy lepiej znają się na gwarach. Porządkując wczoraj zebrane materiały, pomyślałem o liście do Ciebie, głównie dlatego, że przypomniała mi się Twoja uwaga o Norwidzie. Norwid był patriotą intelektu. Ale zanim Norwid zdecydował w którą stronę pójść w literaturze, odbył wędrowkę po kraju i nauczył się patrzeć na pracę powszednią, przetwarzającą się w sztuce. Wyobraźnia jego notowała bez przerwy, intelekt sprawdzał autentyzm wrażeń. Dojrzewającym Norwidom dzisiejszym potrzeba takich właśnie wędrowek, takiej weryfikacji poetyckiej.

Jakże Ty chcesz „pozostać i przetrwać w języku”, żeby powtórzyć Twój zwrot, skoro odciałeś się dobrowolnie od źródła mowy? Nie mam na myśli jedynie folkloru, bo można dysputować czy świeżość poetycka zachowuje się najlepiej w związku z ludowością. Chodzi mi raczej o język, odświeżający się w rodzimym środowisku, o ciągle niespodzianki, czające się w zwrotach kolokwialnych, które dopiero poeta tak przewróci podszew-

ką do góry, że zadziwią swoją ukrytą oryginalnością. Przetrwaj w języku emigracyjnym znaczny albo zdrętwień w puryźmie, albo też pogodzić się z losem i bez protestu obserwować język, staczający się powoli w żargon. Może dla przyszłego badacza będzie nawet interesujące zestawiać obce wpływy i oceniać to wszystko, co zrobiliście z językiem, wywiezionym za granicę w 1939 r., kiedy kociołek emigracyjny zaczęły podgrzewać obce ognie.

Język intelektualisty-emigranta dziwnie jakoś łatwo pasuje do publicystyki, bo publicystyka jest zazwyczaj samoobroną albo protestem; język emigranta drętwieje natomiast tak szybko w literackim użyciu, że boi się czy też nie umie wyrażać nowych rzeczy; woli wspominać, przywoływać stare wzruszenia, odgrzewać zapomniane entuzjazmy: staje się on niepost-reżenie językiem sentymentu, lirycznego mazgajstwa, staropanięńskich hysterii. Przebija z Twojego listu nieukrywana zresztą niechęć do tego, co się na emigracji pisze; dlatego, że jesteś krytyczny, ja ze swej strony odpowiadałam szczerością, choć może ona czasem i nieprzyjemna.

Dawniej rozumieliśmy się bardzo dobrze. Czyżby niesposób porozumieć się nam teraz?

Mój kochany Janie, praca musi mieć ciągłość powszedniości, żeby uświęcić się sztuką, — jakże wyobrażasz sobie tę ciągłość w oderwaniu od naszej rzeczywistości? Obojętnie co o nas myślisz, powinienes przyznać, że dotykamy rzeczywistych kształtów, nasze przeżycia — choćby najbardziej były ograniczone — są przecież autentyczne, sprawdzalne; w naszej wyobraźni dzieją się zjawiska, ale nie ma zjaw. Życzę Ci jednak (serdecznie, bez cienia zgryźliwości) przetrwania w języku, nawet jeśli to ma oznaczać egzystencję eksponatu muzealnego w gablotce.

Twój, szczerze oddany,

BOGDAN.

B. 1.

Paryż, w lipcu 1948.

Szanowny Panie Janie,

Od naszego ostatniego spotkania upłynęło tyle lat. Nie wiem czy Pan jeszcze pamięta tę szaloną dyskusję na tydzień przed wybuchem wojny — w parku, w kawiarni, w domu, aż do późnej nocy. Ja jej nie zapominałem. W obozie koncentracyjnym (byłem w dwóch, pewnie Józef mówił o tym Panu) często powracałem, rzecz dziwna, do naszych namiętnych argumentów, które pomieszały mi się w pamięci, wzbogacając mnie o kilka niejako punktów widzenia.

Ale jeden z Pańskich argumentów pozostał mi obcy. Sprzeciwiałem mu się w miarę doświadczeń: wypisywał mi się na własnej skórze i udowadniał, że nie ma racji. Jaki to był argu-

ment (znów uwaga mimochodem: czy Pan cośkolwiek z tego wspomniania pamięta?). Otóż chodziło o cierpienie i wpływ cierpienia na twórczość. Nie wiem dobrze jaki był mój punkt widzenia wtedy, dość, że Pan próbował mnie przekonać o niechędności bólu, upokorzenia i bezradności (tak, użył Pan tych trzech wyrazów na pewno!). W obozie koncentracyjnym ból oznaczał zarówno upokorzenie, jak i bezradność. Mogłem przeżywać Pańską tezę w idealnych więc warunkach. I oto rezultat. Podsumowanie wszystkich myśli. Lata cierpienia, (muszę się posługiwać tym zużytym zwrotem, to ułatwia wypowiedź) izolacja intelektu, pustka rozpaczy — wszystkie te oczyszczające stany, bo o stanach oczyszczających mówiliśmy w naszej dyskusji także — nie przygotowały mnie do wspaniałego żniwa. Jestem impotentem literackim, moja wyobraźnia nie potrafi wyjść z ponurego kręgu urazów, a rozum, zamiast obiektywizować, zamazuje wszystko dookoła moją natrętną osobowością, która babrze się w śmieciach własnej przeszłości i mierzy każde zjawisko wedle swoich wyjątkowych praw do osądu (cierpiętnik wychodzi tylko po to z siebie, żeby powrócić triumfalnie do środka makabrycznych wspomnień i osiąść na nich jak przesładowany monarcha).

Czy cierpienie oczyściło moją wyobraźnię literacką? Czy wypchnęło z egocentryzmu i zbliżyło do ludzi? Nie, zupełnie nie. Oboz koncentracyjny nie jest szkołą dla intelektualisty, nienawisć nie jest motorem twórczym, wspomnienia makabryczne nie dają nic poza makabrą. Widzi Pan, jak to niedobrze teoretyzować na wyrost; po co myśmy wystawiali się na działanie ironii wyzywając przyszłość, po co myśmy wychodzili widmom naprzeciw? Życie zilustrowało mi niejako każdy wywód intelektualny z czasów młodości, przypieczętowało swoją brutalną pięścią każdą dyskusję kawiarnianą. Teraz, kiedy znów dolatują mnie odpryski dyskusji, z kraju czy z emigracji, wykrzywiam usta sceptycznie i próbuję nie myśleć, nie analizować siebie, nie porównywać.

Tam w Krakowie, Łodzi i Warszawie, chcą nową literaturę pisać na cierpieniu, na gruzach zniszczonych osobowości, na załamaniach niewoli, na polectywnych urazach; tu, na emigracji, do której Pan także należy, próbujecie domyśleć się co Kraj myśli (przez duże K i z pięcioma wykrzyknikami), odmieniać „Ich” cierpienie przez wszystkie przypadki i tęsknicie za literaturą, która by sharmonizowała makabrę z patosem.

Przed wojną niektórzy z nas lubowali się w literaturze brutalnych opisów, coś w rodzaju Celine'a czy H. Millera; mocne słowa, wywalanie bebeczów realistycznych, straszaki na świętoszków i wstydnisiów. Proszę bardzo: mogę teraz pobrutalizować ile wlezie. Taką literaturę podyktuje każde wspomnienie wojenne. A więc bez ogródek?

Powiem Panu jedno tylko jako ostrzeżenie: jeśli intelektualiście skopali mózg w obozie koncentracyjnym, to na pewno nie wyszedł z tego obozu mądrzejszy; jeśli komuś kazali ześwinić się

w łagrze za cenę jakichś ochłapów, to na pewno nie powrócił do normalnego życia lepszy?

Doświadczenie cierpienia i upokorzenia... Łatwe słowa. Cennik grzechu jest zaiste straszny, mój drogi Panie; spojrzenie Złu w oczy częściej wypacza, niż hartuje. Taka jest moja lekcja wojenna. Nie zostałem świętym, a o hańbie człowieczeństwa nie potrafię pisać; wyobraźnię mi skopali, a rozum połamali. Niedługo ogłoszę tanią wyprzedaż doświadczenia: mam tyle zasobów, że starczy ich wszystkim mędrcom na skuteczne zwariowanie.

Co może Panu jeszcze powiedzieć szczerze oddany (sobie) egocentryk?

To tylko, że niewinność jest jedyną siłą twórczej wyobraźni. Albowiem nie potrzebuje doświadczenia. Wojna zabiła w nas niewinność. Heroizm bez niewinności jest zawsze tragiczny. Dlatego przeklinam wojnę i pogardzam własnym cierpieniem.

Może — do zobaczenia! Z przyjaźnią,

MICHAŁ N.

C. 1.

Londyn, 23 lipca 1948 r.

Szanowny Panie!

W związku z Pańską odmową wzięcia udziału w wieczorze-manifestacji, urządzonej staraniem Koła Zrzeszonych Intelktualistów na Obczyźnie, pozwalam sobie raz jeszcze sformułować mój stosunek do tej palącej sprawy, żeby uniknąć dalszych nieporozumień, co czynię niniejszym w imieniu naszej organizacji.

Po pierwsze: uwaga Szanownego Pana o bezskuteczności „tego rodzaju akcji” jest nazbyt pesymistyczna. W naszych ograniczonych możliwościach akt protestu posiada wartość czynu, — świat wie jakie jest nasze stanowisko, a ciągłość protestów przypomina nawet obojętnym, że jednak istniejemy.

Po drugie: Pański lek przed propagandą wydaje się nam być także przesadzony, gdyż propaganda, tworzona przez literatów, ma zawsze głębszy wydźwięk. Wielcy artyści w przeszłości nie wahali się przed takimi środkami i ryzykowali całą swoją wagą w imię palącej sprawy (np.: Zola czy Paderewski). Chodzi po prostu o to czy Szanowny Pan istotnie odczuwa **wyjątkowość** chwili. Obowiązkiem pisarza polskiego jest czuwanie i manifestowanie: nie dla nas luksus spokojnego wypracowywania dzieł w ciszy bibliotek (choć przecież na każdym miejscu podkreślamy integralność pisarską). Kiedy los całej cywilizacji zawisł w niepewności, intelektualście-patriocie nie wolno uchylać się od kardynalnego, społecznego obowiązku. Nawet samotnicy ducha powinni wyjść ze swoich cel i złączyć swój wysiłek z wysiłkiem zbiorowym intelektualistów.

Po trzecie: aluzja Pańska do składu naszej organizacji, oraz

wątpliwość czy każdy z zrzeszonych intelektualistów posiada prawdziwy intelekt może być jedynie wytłumaczona zawodową niechęcią oraz nieznanymi nam bliżej animozjami osobistymi.

Mam nadzieję, jako sekretarz Koła, że w przyszłości współpraca między nami natrafi na mniejsze trudności.

Z wyrazami poważania,

BENEDYKT L.
Sekretarz.

ODPOWIEDZ na A. 1.

Melford, Surrey, 2 sierpnia 1948.

Kochany Bogdanie!

Zazdroszczę Ci tej wędrówki i zapachu leńnich wieczorów, zazdroszczę Ci świeżości przeżyć.

Sądzę jednak, że przeceniasz wartość przeżycia jako surowca literackiego. Fabryka wyobraźni nie jest aż tak zmechanizowana, żeby każdy autentyzm przetwarzać w autentyczną literaturę. Przeceniasz także automat języka; zależność między mową potoczną a językiem pisarza jest zmienna nie tylko wskutek różności stylów, ale i wskutek nieregularnego rytmu samego języka. Nie zawsze odkrywczność poetycka rozbudowuje mowę powszednią, wyciągając z niej włókna metafor, nie zawsze język kolokwialny nosi w sobie ziarna trwałszych przemian.

Współczesność, polityczna czy literacka, chciałaby zapewne widzieć się w świetle wyjątkowym i przyjemniej jest rościć pretensje do przyszłości, niż przyjąć przejściowy charakter naszego czasu. Każdy ambitny artysta chciałby tak samo zapewnić sobie wyjątkowość w zamazujących się konturach czasu i przypieczętować współczesność swym stylem, żeby przetrwała. Ale niewymierność naszych planów i ambicji jest i niewymiernością czasu: jakże możemy spojrzeć na siebie samych z perspektywy, skoro każdą głębszą perspektywę otwiera dopiero śmierć? Czy byliśmy wystarczająco autentyczni w naszej rozgrywce z czasem, to znaczy czy dobrze karmiliśmy wyobraźnię swymi przeżyciami, odpowie za nas kto inny, wtedy, kiedy nas już nie będzie.

Taki stosunek do surowca literackiego oraz do aktów tworzenia nie nadaje się dla egocentryków, zapatrzonych we własną genialność, ani nie nadaje się dla uspołecznionych artystów naszej propagandowej epoki. Może powiesz więc, że ustawiczne zwracanie uwagi na ograniczoność naszych środków i możliwości, osłabia, jeśli nawet nie zabija aktywności twórczej młodych artystów. Po części masz rację. System propagandy, obojętnie jakim celom służy, apeluje przede wszystkim do sił witalnych artystów: wyrażajcie, twórzcie, piszcie i piszcie! Społeczniczy, wskazujący „nową” rzeczywistość jak bożyszcze, wo-

łają do pisarzy żeby ją przetwarzali na poczekaniu w literaturę: rzeczywistość nasza jest wyjątkowa! — kuszą ambitnych witalistów; pokażcie tę wspaniałą epokę przyszłym pokoleniom! — odwotują się do patetycznych marzycieli.

Optymizm propagandy zadawała jedynie głupstasów, tak jak witalizm społeczników imponuje jedynie głupstasom; w tej apoteozie wyjątkowości naszego czasu kryje się lęk przed perspektywą, którą otwiera śmierć. Uspokojona propaganda wyolbrzymia rzeczywistość; perspektywa, odmierzająca życie od zgonu do zgonu, zmniejsza jej kształty, — w tej perspektywie prawda umie przechodzić nieuszkodzona przez sita ironii i wątplenia.

Otóż, jeśli ja pragnę, żeby pisarz przetrwał w języku, obojętnie, czy żyje on w kraju czy na obczyźnie, to pragnę tym samym, żeby twórca potrafił „przeczuwać” ową perspektywę, pogłębiającą jego własny ograniczony czas, żeby mógł widzieć się nie w środku spraw (jak to czyni egocentryk), ale raczej w kontekście spraw, żeby potrafił okiełzać swój witalizm i zastąpić barbarzyński entuzjazm refleksją, albowiem refleksja zmniejsza nasze pochopne myśli, ucisza krzykliwe impresje, segreguje przeżycia.

Powracając do problemu języka, zwracam Ci uwagę na istnienie podobnej perspektywy w mowie poetyckiej. Poeta zawsze sięga do źródeł swego języka, skojarzeń dzieciństwa, do metaforycznych zrostów wczesnej wyobraźni, — w tym ciągłym przywoływaniu niepowtarzalnych wizji dalekiego czasu istnieją tęsknota za głębią perspektywy; poeta wie kiedy po raz pierwszy odkrył świat; tamten autentyzm dziecięcy, statyzm tamtych lat pozostanie w jego wyobraźni jak światło, rzucające smugę na cały czas przeżyty i nadchodzący z przestrzeni. W pierwszych czterech czy pięciu latach życia poety decyduje się jego wizja świata. Żaden późniejszy kontakt z mową rodzimą, żaden wpływ środowiska nie naruszy charakteru tej wizji.

Posunę się tak daleko w moim wywodzie, że nazwę dzieciństwo artysty jego jedyną autentyczną współczesnością, — każdy potem przeżywany czas będzie dla niego posuwaniem się w głąb perspektywy, marszem od statyzmu dzieciństwa do śmierci.

Nie powinienes się zatem niepokoić, mój Przyjacielu, czy przetrwam w języku. Żaden kataklizm dziejowy nie odbierze mi dzieciństwa, żadne choćby najbardziej wstrząsające przeżycie nie zatrze w świadomości mojej świeżości tamtych odkryć. Prawdziwym, choć ukrytym, witalizmem artysty jest świadoma kontynuacja dzieciństwa. I dlatego wyobraźnia jego, zakorzeniona w dzieciństwie, nie pozwala mu być psychicznym emigrantem.

Ściskam Cię serdecznie,

Twój JAN.

ODPOWIEDŹ na C. 1.

Melford, Surrey, 3 sierpnia 1948 r.

Szanowny Panie,

Przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, ale celowo przeczekam tydzień, żeby móc odpisać Panu już po wieczorze, zorganizowanym przez Koło Zrzeszonych Intelktualistów. Czytałem w sprawozdaniu prasowym, że wygłoszono na tym publicznym zebraniu pięć przemówień, nasświetlających stosunek pisarzy do literatury w czasach dzisiejszych. Poza tym, jak dowiedziałem się z notatki, zebrano po wieczorze czterdzieści podpisów intelektualistów oraz ich żon, zalecających światu rezolucję o wolności słowa.

Bez śladu ironii raz jeszcze stwierdzam, że udział mój w tej manifestacji był zbędny: nie potrafiłbym nic nowego powiedzieć o zadaniach pisarza w epoce ucisku propagandy. Wolność intelektualisty w moim pojęciu obejmuje także wolność milczenia. Zgodzi się Pan ze mną, że intelektualiści polscy w kraju dzielą się nie tylko na popierających lub zwalczających reżim. Są tam — na szczęście — jeszcze tacy, którzy mają odwagę milczeć. Wejściu między propagandę i kontr-propagandę pisarze emigracyjni powinni szczególnie baczyć na zachowanie tej dziwnej cnoty intelektualisty, którą jest cnota milczenia.

Zmuszając siebie samych i drugich do częstego „zajmowania” stanowiska, do manifestowania poglądów, ryzykujemy wiele: poświęcamy namysł i ciągłość sądu na rzecz doraźnej satysfakcji. Obnoszenie własnych opinii co dzień pozornie tylko pozwala zapominać o wątpliwościach; myśl, przyklejana do manifestującego transparentu, odpada po chwilowym użyciu i gubi sens. W systemie propagandowych plakatów nawet myślenie zamienia się w serię wywieszek.

Tam, po „drugiej stronie barykady”, intelektualista musi także co chwila zajmować stanowisko, to znaczy włączać się w nadającą stację mózgu centralnego; musi wywieszać swoje myśli jak plakaty. Milcząc staje się niebezpieczny dla systemu; milcząc bowiem — zdobywa wolność.

Łączę wyrazy szacunku,

JAN K.

B. 2.

Paryż, 5 sierpnia 1948 r.

Drogi Panie Janie!

Piszę po raz drugi, choć pewnie list mój rozminie się z Pańskim. Chcę zawiadomić o moim przyjeździe do Anglii. Musimy się koniecznie spotkać. Po wylądowaniu zaraz wyślę telegram

Wczoraj (jeśli to Pana interesuje) podarłem pamiętnik, pisany z dużymi przerwami w okresie wojny. Podarłem go dlatego, że mój kolega, wydawca obecnie mieszkający w Ameryce, po przeczytaniu fragmentów zapalił się do wydania moich wspomnień. Pisał mi, że ludzie potrzebują stenograficznej niemal relacji o cierpieniu, — to ich oczyszcza i hartuje psychicznie.

Próbowałem pisać coś zwyczajnego, nie o sobie, ale wyszła z tego makabryczna groteska. Podarłem ją także. Opowiem Panu moje przeżycia, może to pomoże. Jeśli Pan napisał coś o mnie, na przykład powieść lub dramat, wierzę, że fakt ten wyzwoliłby mnie z urazów.

Co to jest literatura? Czy każde dzieło musi być podszyte autentyzmem? Dlaczego wyobraźnia jest niewolniczo zależna od gatunku przeżyć? Dlaczego znajomość własnej psychiki utrudnia zrozumienie drugich? Od stu lat literaci piszą własne autobiografie. Nic, tylko pamiętniki. O, żeby tak podrzeć to wszystko...

Do rychłego zobaczenia,

MICHAŁ N.

A. 2.

Kraków, 20 sierpnia 1948 r.

Janie!

Czytałem Twój list kilka razy i próbowałem wczuć się w atmosferę Twojego obecnego życia. Stwarzasz teorie z braku normalnego współżycia ze społeczeństwem, próbujesz usprawiedliwić swe nieproduktywne samotnictwo.

Czy wydałeś coś ostatnio? Ja przygotowuję tom reportaży z życia nowej wsi. Jeśli czas pozwoli, może zabiorę się wkrótce do studiowania słownictwa technicznego w gwarach polskich. Na jesieni wezmę pewnie udział w zjeździe socjologów. Zjazd ma podjąć wiele epokowych decyzji w związku z przemianami społecznymi w ostatnich latach.

Przepraszam, że list mój taki krótki, ale zawałony jestem robotą. Nie mam czasu nawet na czytanie. Tyle zaległości! Gdy się z pisaniną uporam, odrobę wszystko inne.

Twój szczerze oddany,

BOGDAN.

C. 2.

Londyn, 25 sierpnia 1948 r.

Szanowny Panie,

W związku z Jego interesującymi uwagami o wolności intelektualnej, proponuję w imieniu Koła napisanie krótkiej bro-

szury (32 strony druku) na temat manifestowania milczeniem.

Gdyby Pan się zgodził, odczytalibyśmy niektóre fragmenty broszury podczas Żywego Dziennika K.Z.J., żeby odpowiednio zapropagować Pańską pracę. Koło nasze doskonale rozumie ważność indywidualnych poglądów, choćby one nawet odbiegały od linii wytycznych organizacji i dlatego zwraca się do Szanownego Pana z niniejszą sugestią. Część nakładu zakupi na pewno Stowarzyszenie Prelegentów (założone w lipcu br.), oraz Zw. B. Pracowników Radiowych.

Oczekując pozytywnej odpowiedzi, pozostaję w prawdziwym poważaniem,

BENEDYKT. L.
sekretarz.

Jerzy PIETRKIEWICZ.

WSZYSCY JUŻ WIEDZĄ

że na jlepiej zaopatrzoną księgarnią we Francji jest

SKŁADNICA „LIBELLA”
KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e). Métro: Sully-Morland

● ZĄDAJCIE BEZPŁATNYCH KATALOGÓW ●

Proust w Griazowcu

2

Mówiąc o Proust'cie, mnożyłem szczegóły dotyczące jego dzieła i osobistego życia; zdaje sobie jednak sprawę, że nie doszedłem do wyrażenia, na czym polegają nowość, odkrycia, sama istota jego dzieła. Nie rozporządzając żadnymi książkami, omawiającymi jego dzieło, nie mając przy tym filozoficznego wykształcenia, mogę zaledwie pobieżnie poruszyć ten zasadniczy problem. Jest niemożliwe wniknąć w Prousta głębiej, mówiąc o nim w oderwaniu od współczesnych mu prądów i idei filozoficznych, przemilczając Bergsona, który odegrał wielką rolę w jego umysłowym rozwoju. Proust chodził na wykłady Bergsona, które między 1890 a 1900 cieszyły się niebywałym powodzeniem — i o ile sobie przypominam — znał go osobiście. Sam tytuł dzieła Prousta wskazuje, że myśli jego krążyły wokoło zagadnienia czasu. Bergson studiował ten właśnie problem z filozoficznego punktu widzenia. Czytałem liczne rozprawy o zagadnieniu czasu w twórczości Prousta. Szczerze mówiąc, pamiętam z nich jedynie wytrwałe podkreślanie, jak doniosłe było dzieło Prousta w tej właśnie dziedzinie. Trzeba tu przypomnieć jedną z głównych tez filozofii Bergsona. Twierdził on, że cechą zasadniczą życia jest jego nieprzerwana ciągłość, podczas gdy nasza apercpcja jest pozbawiona tej ciągłości. Na skutek tego inteligencja nasza nie jest w stanie wytworzyć sobie pojęcia o życiu, odpowiadającego jego istocie. Bardziej współmierną życiu, niż inteligencja, jest intuicja. Wizja Prousta próbuje pokonać brak ciągłości apercpcji łącząc intuicję najbardziej rozległą, wielokierunkową, z nieprzerwanym i jakby niezhierarchizowanym tokiem pamięci mimowolnej, tworzy nową formę, która daje bardziej niż jakakolwiek inna, wrażenie tej właśnie nieustannej, płynnej ciągłości życia. Przyjęła się dziś dla nieskończenie długich powieści, w których zaznacza się mniej lub więcej, wpływ formy Prousta, nazwa *roman-fleuve* (powieść-rzeka). Wśród nich wszystkich jednak nazwa ta określa najlepiej właśnie *W poszukiwaniu czasu straconego*. Spróbuję to wyjaśnić porównaniem. Nie to co rzeka unosi ze sobą, pnie drzewne, trupy, czy perły, stanowi istotną jej cechę, lecz ciągły i nieustający jej prąd. Czytelnika Prousta, gdy zanurzy się w pozornie

jednostajny nurt jego prozy, uderzają nie wydarzenia, nie te czy inne osoby, lecz niewstrzymany w ruchu potok samego życia. Pierwotny projekt Prousta, dotyczący formy dzieła, nie został zrealizowany. Życzeniem jego było wydać tę olbrzymią „sumę” w jednym tomie, bez marginesów i odstępów, bez podziału na części i rozdziały. Ten projekt wydał się najkulturalniejszym paryskim wydawcom śmieszny i nie do przyjęcia. Autor był zmuszony podzielić swoje dzieło na piętnaście czy sześćnaście tomów i nadać dwu- lub trzytomowym częściom oddzielne tytuły. Mimo oporu wydawców udało mu się jednak przeprowadzić rzecz nową z punktu widzenia formy książki współczesnej: poszczególne części mianowicie, nie stanowią całości, istotnie odciętych od innych; podział zdaje się być rozmyślnie wypadkowy i rozgraniczać raczej pewne ilości stronic, niż poszczególne tematy. Trzeba dodać, że te tematy są tak splecione, iż wprowadzenie rozdziałów mających inną rację bytu niż mechaniczne co jakiś czas przedziały i numeracje, wydaje się niemożliwe. Wszystkie tomy pokryte są bardzo drobnym i ścisłym drukiem, mają wąskie marginesy i żadnych przerw w wierszach. Całość piętnastu obszernych tomów zawiera zaledwie kilka rozdziałów, bez żadnego logicznego związku z podziałem na tomy.

Tym niezwykle sposobem drukowania Proust znów podkreśla nieprzerwalność kanwy swego dzieła. Sama budowa zdania wprowadziła przewrót w zwieży i spieszny, uznany wówczas za wyraz nowoczesności, styl. Ale nie tylko dla wyznawców tej nowoczesności, dla każdego amatora stylu francuskiego, którego zdania, według znanej sztancy, muszą być „krótkie i jasne”, prawie cudactwem były zdania Prousta niezwyklej długości, wlokące się nieraz przez półtora strony owego zwartego druku, pełne myślowych nawiasów, zamykających nowe jeszcze nawiasy, skojarzeń odległych w czasie, metafor wywołujących coraz to dalsze asocjacje i metafory.

Zarzucano Proustowi: „to nie jest styl francuski, to styl germański”. Także wielki krytyk niemiecki, Curtius, wielbiciel Prousta, zwracał uwagę na germański układ jego zdania. Proust natychmiast reaguje na ten zarzut; podkreśla on, że „pokrewieństwo jego ze zdaniem niemieckim nie jest przypadkiem, lub niezręcznością, lecz wynika z faktu, że niemieckie zdanie współczesne jest najbardziej zbliżone do łacińskiego; jego własny styl nie nawiązuje do zdania niemieckiego, lecz do francuszczyzny z XVI-go wieku, znacznie silniej jeszcze spojęnej z łaciną. Dodajmy z naszej strony, że osławiona jasność i zwięzłość stylu francuskiego nie jest tak bardzo dawna. Jest dziełem XVIII-go wieku encyklopedystów i racjonalistów, kiedy to język francuski przekształcał się bardziej pod wpływem konwersacji, niż pisma. Język niemiecki kształtował się w różnych ośrodkach i zasadniczo przez pismo. Przeciwnie francuszczyzna wyostrzała się w jednym wyłącznie miejscu, w Paryżu, który jak to jeszcze Goethe zauważył, koncentrował wszystkie inteligencje, tworząc

przez to jedyną w swoim rodzaju atmosferę intelektualną.

Boy Żeleński, tłumacz Prousta, który przed 1930 rokiem zdołał przetłumaczyć więcej niż połowę jego dzieła (liczne stronice tego tłumaczenia należą do arcydzieł **polskiej** literatury) zwiększył jeszcze odchylenie między pierwotnym planem Prousta a jego polską realizacją. Dyskutowałem na ten temat z Boy'em; bronił on swego punktu widzenia i dowodził, opierając się na tekstach Prousta, że nie wbrew, ale w myśl autora wprowadził w jego styl większą jasność. Proust pragnął szerokiej popularności. Błędem byłoby czynić z niego kapliczkowego pisarza, należało go wydać w sposób, który czyniłby go jak najbardziej czytelnym. Wszak Proust zgodził się, mimo wszystko, na zmianę swego pierwotnego planu (wydania całego dzieła we Francji w jednym tomie). Jeśli chodzi o Polskę, przeładowane zdanie Prousta jest nie do przyjęcia. Język polski nie rozporządzający odpowiednimi środkami, wymagałby nieskończonej deklinacji nieznośnych zaimków „który” i „która”.

Boy jednak posunął się jeszcze dalej w swym tłumaczeniu. Wydał te książki drukiem znacznie bardziej czytelnym, z przerwami, i z dialogami niezagubionymi w tekście, lecz przeskakującymi z wiersza do wiersza. Liczba tomów w wydaniu polskim jest dwa razy większa niż w francuskim. „Poświęciłem wykwićność dla istoty” — twierdził Boy. W wyniku Proust po polsku czytał się tak łatwo, iż krążył żart w Warszawie, że dopiero po ponownym przetłumaczeniu tekstu polskiego na francuski Proust stałby się autorem popularnym w kraju.

Mówiąc o stylu Prousta trzeba podkreślić jego wycezyłowanie. Stronice jego lśnią i migocą bogactwem metafor, dziwnych i rzadkich asocjacji. Bogactwo to nie jest jednak celem samo w sobie, pogłębia tylko świeżość i plastyczność zasadniczych myśli zdania. Nie zapominajmy, że początki Prousta zbiegają się w czasie z kapliczką Mallarmé'go, którego był wielbicielem, że wgryzał się z rozkoszą we wszystkie finezje i wynalazki, wnoszone kolejno w współczesną poezję francuską przez Beaude-lair'a, Parnasistów, symbolizm, w prozę przez Goncourt'ów, Villiers de l'Isle Adam i tylu innych, aż do Anatola France. Proust, wielbiciel literatury współczesnej, znał nie mniej gruntownie całość piśmiennictwa francuskiego. Przyjaciele jego opowiadają, że umiał na pamięć całe stronice Balzac'a; zresztą nie tylko Balzac'a, który zdaje się być najbardziej bezpośrednim jego poprzednikiem, któremu najwięcej zawdzięczał. Pamiętał także dosłownie stronicami ustępy z Saint Simon'a, znał go gruntownie — i iluż innych pisarzy. Pozostawił kilka pastiszów. Przypominam sobie pastisz prozy Balzac'a, z finezją i humorem forsuje pompacyjną przesadę w jaką wpada Balzac, gdy opisuje księżne i hrabiny, szlachetne jak anioły i piękne jak boginie, lub znieprawione jak sam szatan. O ile sobie przypominam, to Proust właśnie twierdził, że najlepszym sposobem wyzwolenia się spod nadmiernego wpływu ukochanego pisarza jest zrobić jego pastisz. Znajomość Prousta literatur obcych, przede wszystkim li-

teratury angielskiej, którą podziwiał, była również znaczna.

Uderzająca była waga jaką Proust przywiązywał do każdego słowa i zaciętość, z jaką ten człowiek chory i mający opinię powierzchownego, wypracowywał swój styl. Oto drobne przykłady: późną nocą w zaciemnionym Paryżu krytyk Ramon Fernandez zostaje nagle wyrwany przez Prousta z głębokiego snu: „proszę mi wybaczyć, przeszedłem prosić o drobną przysługę, o powtórzenie mi po włosku dwóch słów”. Fernandez opowiada ze wzruszeniem: „znając dobrze włoski język, powtórzyłem żądane wyrazy i Proust odszedł. Po jego śmierci odnalazłem w **Czasie Straconym** rozmowę Albertyny o samochodach, w ciągu której używa tych dwóch słów. Pisząc ten ustęp, Proust, nie zadawał-
niając się znajomością sensu tych słów, odczuł potrzebę usłyszenia ich wymówionych właściwym akcentem.

W wydaniu korespondencji Prousta znalazłem króciutki list do jednego z krytyków paryskich (Boulanger, o ile pamiętam); nie znał go jeszcze, a chciał spotkać, przeczytawszy jego entuzjastyczną krytykę o sobie. W dopisku zaznacza: „proszę wybaczyć dwukrotnie powtórzone **que** (że), ale bardzo się śpieszę”. Niektórzy z moich słuchaczy się uśmiechną, a przecie ta zacięta uczciwość, to dążenie do formy doskonałej wszędzie, na każdej stronie, w każdym zdaniu, daje pisarzy tej miary, co Flaubert czy Proust. A tylko brak uświadomienia sobie wagi pogłębiania tego wysiłku do ostatecznych granic zniszczył u nas wiele dużych talentów.

Oto jeszcze jedno ogólnie przyjęte określenie dzieła Prousta, które zresztą często sam powtarzałem: naturalizm przez mikroskop. Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej określenie to wydaje mi się fałszywe. Rys zgoła inny talentu Prousta niż mikroskopowa drobiazgowość zdaje mi się stanowić istotę jego twórczości. Spróbujmy sięgnąć do porównania. W **Po stronie Swann'a** Proust wspomina, że babka dawała mu zawsze jako podarki wspomnienia jakichś arcydzieł, widzianych oczyma artystów. Dzieckiem jeszcze, bohater Prousta marzył o Wenecji, miał ją zwiedzić z rodzicami. Z powodu choroby musiano zrezygnować z tego projektu. Wówczas otrzymał od babki nie fotografię św. Marka, czy innego weneckiego arcydzieła architektury, lecz obraz, który je przedstawiał, dajmy na to Turner'a, i to nie prostą fotograficzną odbitkę takiego obrazu, lecz reprodukcję w miedziorycie doskonałego artysty. Fakty, zdarzenia, widziane przez Prousta nie są również faktami surowymi, bo od pierwszego z nimi zetknięcia wzbogaca je nieskończenie. Mózg i wizja artysty przesiąknięte literaturą pełne artystycznych i naukowych skojarzeń, artysty odciętego od świata chorobą i korkowymi ścianami, przetransponowują każdy fakt, każde zdanie. Co najbardziej przeczcy określeniu „mikroskopowość” to olbrzymia rozległość tych asocjacji, Proust czerpie je ze wszystkich epok, szerokości geograficznych i dziedzin ludzkiej myśli, tak że pisma jego są raczej **historią** jego myśli, wywołanych wstrząsem faktów, niż faktów samych w sobie.

Odczytywałem właśnie początek **Wojny i Pokoju** (mamy w bibliotece obozu tom pierwszy): dwudziesto-dwu stronny opis wieczoru u Anny Pawłowny Scherer, damy dworu cesarsowej-matki. Tolstoj opisuje po mistrzowsku atmosferę intryg, kryjących się pod pochlebstwem. Plastycznie, aż dotykalnie, zapoznajemy się z arystokratycznym towarzystwem, zaproszonym przez Annę Pawłownę.

Pierwszy rozdział — dwie strony zaledwie — to rozmowa księcia Bazylego Kuragina z panią domu: arcydzieło finezji. Obustronna chytrłość, gesty, uśmiechy, zdania oddające każdy odcień sposobu wyrażania się tego środowiska i epoki. W **Po stronie Swann'a i Sodomie i Gomorze** znajdujemy właściwie tematy identyczne z tą różnicą, że podwieczorek u jakiejś księżnej mógłby wypełnić całą grubą książkę i że konwersacja w rodzaju rozmowy Anny Pawłowny byłaby dla Prousta pretekstem do dziesiątek, a nawet setek stron jego drobnego druku. Nie ograniczałoby się zresztą te strony do mikroskopowej analizy każdej zmarszczki, gestu, perfum, lecz tworzyłyby również nieprzebyte gąszcz skojarzeń i metafor, najbardziej nieoczekiwanych, najodleglejszych w czasie, z których każda otwierałaby nam perspektywę ku dalszej metaforze oraz analizie.

Byłoby absurdem mówić o czystej formie, o formalizmie, omawiając Prousta. Przede wszystkim nie wierzę w czysty formalizm w wielkiej literaturze. Nowa forma, niesztuczna a żywa, nie może istnieć bez nowej treści. W dziele Prousta wyczuwamy namiętne pragnienie, nieustanne szukanie formy, zdolnej wyjaśnić, uczynić czytelnym, dostrzegalnym dla świadomości, ogrom wrażeń i najtrudniejszych do osiągnięcia powiązań, wybiegających poza logikę charakterów i wypadków, którym poddani są nawet bohaterzy Balzac'a. Forma powieści, budowa zdania, wszystkie metafory i skojarzenia Prousta wypływają z wewnętrznej konieczności, odzwierciedlającej samą istotę jego wizji — niekoncentrującej się jak wizja Balzac'a, na materiale surowych faktów i ich powiązań logicznych — lecz wnikającej w tajne, dogłębne prawa, które nimi rządzą. Pisarz pragnie wydobyć na powierzchnię świadomości tajny mechanizm, najbardziej ukryte tryby, które nie ulegając logice i powiązaniom naszych myśli i czynów, prędzej tymi myślami i czynami rządzą.

Wspominałem już, że tylko dwa pierwsze tomy **Czasu straconego**, noszące tytuł **Po stronie Swann'a**, ukazały się przed wojną i tylko one zostały nietknięte ewolucją i zmianami kompozycji, które Proust wprowadził w dalszy ciąg powieści podczas okresu niestannej pracy, jakim były dla niego lata wojny. Ta część jego dzieła jest również przepracowana z największą precyzją. zawiera już warianty wszystkich motywów, stanowiących kanwę dalszych tomów, które mimo obfitości nowego materiału dostarczonego przez wojnę, nowych wrażeń, myśli, ogromnego rozsze-

żenia i zasadniczych przeróbek, są tylko rozwinięciem i doprowadzeniem do szczytu tematów, zawartych w **Po stronie Swann'a**.

Przejrzymy te zasadnicze tematy: prowincja francuska i żyjąca w niej, w odcieciu od świata, stare ciotki-rentierki, kościół gotycki, opisy pejzaży (pozostaną one jednymi z klasycznych stron wspaniałej literatury), stara służąca Franciszka; spotykać ją będziemy we wszystkich tomach, w galerii typów **Czasu straconego**, jest przedstawicielką wiejskiego, ludowego elementu. Oto pierwszy temat.

Dalej dzieciństwo i jego dramaty, miłość synowska i macierzyńska, stosunek bohatera do matki i babki wysuwają się na pierwszy plan. Coniedzielną bytność młodego chłopca w kościele, witraże rycerzy de Guermantes z epoki wojen krzyżowych i widok żywej księżnej de Guermantes, którą stale w kościele spotyka, pobudzają go do namiętnego zainteresowania światem arystokracji, zamieszkującej paryski Faubourg St-Germain, nie przestanie go studiować i analizować poprzez całe swe dzieło.

W pierwszym już także tomie stykamy się ze Swann'em, a tom drugi wypełniony jest w całości miłością Swann'a do Odetty, młodej kobiety z półświatka. Odette jest przedstawicielką typu kobiet, które żyją wyłącznie po to, by być kochane przez mężczyzn. To ona rozbudza głęboką miłość Swann'a i jego cierpienia rozszalałej zazdrości. (Zazdrość jest jednym z tematów, które Proust studiuje z predylekcją; poświęca jej setki stron w drugim tomie **Po stronie Swann'a** a później w **Albertynie** i **Zniknięciu Albertyny**).

Swann wprowadza nas w środowisko bogatej burżuazji francuskiej do salonu pani Verdurin, typu bogatej parweniuszki i snobki.

Dzieciństwo bohatera, wstrząsy i urazy nadające kierunek jego życiu, wyciskające piętno na kształtowanie się jego osobowości moralnej i fizycznej, są tematami, stanowiącymi oś pierwszego tomu. Mówiąc o nich, chciałbym choć pobieżnie wspomnieć epizod, według autora decydujący. Dziecko, którego młodość i wiek dojrzały śledzić będziemy w powieści, a o którym Proust mówi w pierwszej osobie, wyjeżdża corocznie z rodzicami na lato do małego, prowincjonalnego miasteczka. Pierwsze dotkliwe cierpienia, zachowane w jego pamięci — to wieczory, kiedy w łóżku (kazano mu kłaść się natychmiast po kolacji) oczekuje, dręczony niecierpliwością i niepokojem, na ostatni pocałunek matki. Nie codziennie matka wchodzi do niego na „dobranoc”. Kolacja się przeciąga. Ojciec dopatruje się w tych obowiązkowych wizytach matki u zbyt wrażliwego dziecka, przesady uczuciowej, niewskazanej z pedagogicznego punktu widzenia. Któregoś wieczoru chłopiec nie wytrzymuje. Widząc, że matka się spóźnia, przewycięża lęk przed ojcem, — wątki, chorowity — wyskakuje z łóżka i wyczekuje boso na ciemnych schodach przejścia matki na wyższe piętro, gdzie jest jej pokój sypialny. Lecz jakież przerażenie go ogarnia, gdy dostrzega ją w towa-

rzystwie ojca, niosącego lampę. Matka obawiając się surowej kary, robi dziecku rozpaczliwe znaki, aby znikło. lecz ojciec je dostrzega i miast gromami, reaguje w sposób zupełnie nieoczekiwany, podyktowany niekonsekwencją względnej obojętności dorosłych dla dramatycznych i istotnych przeżyć dziecka. „W jakim stanie jest to dziecko; prędko idź do niego” — mówi żonie — „połóż się w jego pokoju”. Dziecko, które oczekiwało, że jego histeryczny wybryk będzie miał najgorsze skutki, uzyskuje niespodziewanie od ojca spełnienie najgorętszego od wielu tygodni marzenia, spędzenia całej nocy nie w samotnym pokoju, a z matką, która je usypia, czytaniem ulubionej książki. Autor stwierdza w sposób zastanawiająco kategoryczny, że niekonsekwencja ojca tego wieczora, była punktem wyjścia wszystkich jego fizycznych i psychicznych cierpień, że jego choroba nerwowa, bezwolne staczanie się po pochyłości wszelkich zachceń, oraz wszystkie skomplikowane fizyczne objawy, mające źródło w nerwowej słabości, były skutkami tej nocy.

Niemniej istotny materiał dla studiowania biografii bohatera i samego Prousta dostarcza nam drugi tom *Po stronie Swann'a*, niemal w całości wypełniony analizą Swann'a i jego miłości do Odetty. Swann — to transpozycja samego Prousta i niejakiego Haas'a. Haas, należący do pokolenia rodziców Prousta do bogatego mieszczaństwa żydowskiego pochodzenia, był w okresie po wojnie 1870 roku jednym z najwykwintniejszych ludzi w Paryżu, członkiem najbardziej arystokratycznego dzikiej-klubu, przyjacielem księcia Walii, księcia Sagan itd. Swann jest, jak Haas, wytwornym i inteligentnym światowcem; istotą jego wdzięku jest zupełna naturalność i łagodny, konsekwentny egoizm; pieniądze ani stosunki światowe nie są mu celem same w sobie lecz drogą doprowadzającą go do środowiska, odpowiadającego wewnętrznej jego istocie. Jest zdolny jednym gestem wyrzec się tej pozycji, która dla członka burżuazji o żydowskim nazwisku z lat 1880 była niebywałym osiągnięciem, w chwili, gdy oświadczył nim całkowicie gwałtowna i pełna bolesnej udręki miłość. Odette była kokotą, jej romanse i tajne przygody, miłość obojga, szczerza i namiętna, stanowią jedynie wprowadzenie w świat rozkładu tej miłości, kiedy Swannowi dopiero intensywność bólu, jaki mu Odette zadaje odchodząc, objawia w całej pełni, jak namiętnie ją kochał. Nie wiem, czy istnieje we wszechświatowej literaturze głębsza niż niezapomniane stronicie Prousta, bardziej drobiazgowa i bogata w spostrzeżenia, analiza tego tematu. Chcę tu przytoczyć drobny rys, krótki opis, który już stał się klasyczny i najżywiej wraził mi się w pamięci. Odette staje się tajemnicza, a Swann na próżno trwoni cały swój majątek i wszystkie swe zdolności psychologiczne w wysiłek odkrycia czy go zdradza i z kim. Jest najwidoczniejsze, że Odette oddala się od niego coraz bardziej. Na marginesie tego studium ich stosunku Proust notuje: „nigdy nie dowiemy się, co spowodowałoby największe cierpienie opuszczonego kochanka: konkretna zdrada, liczni kochankowie,

lub miłość fatalna kobiety, czy też zupełnie niewinne jej rozrywki świadczące jeszcze jaśniej, że oddalenie jest nieodwołalne”. Proust opisuje dni Odetty, które spędza z dala od Swann'a, gdy dawniej nie była w stanie przeżyć całej doby bez niego. Nikim nie jest zajęta. Włóczy się beczynn timer, wszystkim znużona, po restauracjach i kawiarniach, lecz woli takie życie niż spotkanie ze Swann'em, który szarpany tęsknotą, czasem tylko natrafia na jej ślad, otrzymując jakiś znak życia z miejsc różnych i najbardziej nieoczekiwanych. Powodowany zazdrością i cierpieniem, wpada na coraz nowe przypuszczenia i tłumaczy sobie zgoła błędnie przyczyny tej włóczgi. Ból jego jednak wzmógłby się jeszcze, gdyby wiedział, że Odette opuszcza go — dla nikogo, że woli po prostu nudę i samotność niż jego.

Ta miłość Swann'a daje Proustowi w jednym z następnych tomów powód do napisania stron ponad wszystkie niezapomnianych. Odette wiele miesięcy przedtem opuściła Swann'a. Nie spotyka jej już, pozostała tylko wspomnieniem okrutnie bolesnym, które nie opuszcza go i czyni niezdolnym cokolwiek robić, cokolwiek się zainteresować. Swann próbuje otrząsnąć się z tej apatii; decyduje się pójść na wielkie przyjęcie u hrabiny de Saint Euvert. Jakżeby go bawiło takie zebranie zanim się związał z Odettą. Jak to całe towarzystwo, które ubóstwiał, brało mu za złe, że porzucił je dla kokoty, dla kobiety towarzysko „nieistniejącej”. Jak wytrwale nalegają, by między nich wrócił. Może, myśli Swann, znajdzie jednak wśród nich chwilę zapomnienia. Opis tego przyjęcia jest jednym z najbardziej charakterystycznych — tak obfituje w różnorodne typy — tak liczne są skojarzenia, w których Proust porównuje np. lokajów w lśniących liberjach z postaciami z obrazów Boticelli'ego czy Sodomy — tak świetnie strzępkami rozmowy charakteryzuje styl księżny de Guermantes, lub modny podówczas autysemityzm jakiejś hrabiny o drugoplanowej roli, która dziwi się, że Swann bywa przyjmowany w salonie osoby mającej biskupów w rodzie. Swann powraca do tego świata, w którym był codziennym gościem, gorąco przyjmowany przez najświetniejsze kobiety. Lecz jedną osobą, która go niespodziewanie pociąga, jest pewien stary generał. Generał ten pisze pracę o jednym z mało znanych wojskowych dowódców Francji — lecz powód zainteresowania się nim Swann'a jest następujący: ulica na której mieszka Odette jest nazwana imieniem owego dowódcy.

Rozpoczyna się koncert; niespodziewanie orkiestra zaczyna grać Sonatę Vinteuil'a. Główny motyw skrzypiec jest motywem, który bardziej niż cokolwiek na świecie przypomina Swann'owi szczęśliwy okres jego miłości. Słyszał go po raz pierwszy i ocenił jako wyjątkowo piękne dzieło muzyki współczesnej, w salonach pani Verdurin, gdzie stałe spędzał wieczory. Goście państwa Verdurin, znając jego podziw dla Sonaty Ventuill'a powodowali, że często bardzo grano ten motyw dla niego. Zwykł był słuchać go wówczas siedząc obok Odette, i oświadczył miłością dla niej, skojarzył oba uczucia do takiego stopnia, że

motyw obecnie grany przez skrzypce, wśród tłumu obojętnych światowców, dał mu wizję niemal dotykającą tej szczęśliwej przeszłości, o której chciał właśnie zapomnieć. W rozdarcie posuniętym aż do fizycznego bólu serca, przeżył na nowo szczęście na zawsze stracone. Ten światowiec, umiejący ukrywać uczucia pod maską obojętności, nie potrafił wstrzymać łez. Tu następuje najtrudniejszy i może najcenniejszy ustęp Prousta, dokładny opis samej muzyki, samego motywu wydobywającego się z zaczarowanej skrzynki skrzypiec i zdolnego rozedrzeć na nowo aż do głębi zabliznioną ranę serca Swanna. Po skończeniu sonaty, sąsiadka Swann'a odzywa się: „Nigdy nie słyszałam nic tak wzniosłego, nigdy nic nie zrobiło na mnie takiego wrażenia”; lecz ogarnięta skrupułem dokładności, dodaje półgłosem: „Nic równie wzniosłego, poza seansem spirytystycznym”.



W tomach następnych tematy zapoczątkowane w **Po stronie Swann'a** rozwijają się i dochodzą do coraz dalszego powikłania. Ograniczę się do opowiedzenia wam zaledwie paru scen, paru problemów psychologicznych, które silniej od innych utrwaliły się w mojej pamięci. Nie mam pretensji twierdzić, że ustępy, o których będę mówił, przedstawiają większą wartość niż inne. Hierarchię tę utrwalił po prostu mój entuzjazm. Za każdym nawrotem do Prousta, a powracałem do niego wiele razy, odkrywałem nowe akcenty, nowe piękności, niezauważone przeze mnie najwnikliwsze uwagi i myśli.

Mówiłem wam już o babce bohatera. Śmierć tej kobiety ponad wszystko przez niego ukochanej, wiąże się z tym, co Proust nazywa „les intermittances du coeur” („arytmia serca”). Wyrażenie to stało się już dziś obiegowe, znają je nawet ci, którzy nie mieli odwagi przeczytać olbrzymiej całości **Czasu straconego**. Babka umiera na uremnie. Znam tylko pewne ustępy Tołstoja, dające się porównać z tym opisem śmierci kobiety, będącej niewątpliwie transpozycją matki autora: powolne rozpadowanie się przedśmiertnej świadomości istoty uwielbianej; reakcje bliskich; niemy, rozdzierający ból matki bohatera; najwierniejsze przywiązanie Franciszki, połączone z prostotą aż brutalną jej postawy wobec śmierci, boleśnie rani ona ostatnie przebliski świadomości konającej, upierając się by ją czesać i podsuwając ku twarzy śmiertelnie zmienionej lustro, które chorą napętnia przerażeniem; opis sławnego paryskiego lekarza w czarnym surducie, z legią honorową, wzywającego zawsze w chwilach zupełnie beznadziejnych, umiejącego odgrywać godnie rolę pierwszego przedstawiciela przedsiębiorstwa pogrzebowego; wreszcie wizyta księcia de Guermantes, który świadomy łaski, jaką wyświadcza on, książę, mieszczańskiej rodzinie, przychodzi złożyć kondolencje w sposób narzucająco uprzejmy, pełen ostentacyjnych gestów szacunku, matce bohatera, która owładnięta całkowicie cierpieniem, nie zauwa-

żywszy nawet książęcych grzeczności i jego wymyślnych ukłonnów — porzuca go w przedpokoju bez pożegnania.

W takich to opisach przejawia się „monstrualność” wielkiego pisarza: zdolność analizy dokładnej i zimnej, dostrzegania jednoczesnego wszystkich dramatycznych i humorystycznych szczegółów w najtragiczniejszych nawet chwilach własnego życia. Wyobrażam sobie samego Prousta u wezgłowia konającej matki, złamanego bólem, a jednocześnie obserwującego wszystkie szczegóły, wszystkie łzy, dziwactwa i śmieszności otoczenia.

Wspominałem o wielkiej roli, jaką odgrywa u Prousta analiza psychologiczna arystokratycznego Faubourg St-Germain. Nie na próżno czytał i podziwiał St-Simona i Balzac'a. St-Simon we wspomnieniach swoich z epoki Ludwika XIV-go opowiadał szczegółowo o czynach i dokonaniach, współzawodnictwach i intrygach przodków ludzi, zamieszkujących tę dzielnicę Paryża. Należąc sam do elity arystokracji, St-Simon mówi o niej z wielką znajomością rzeczy i rozeznanie; ma dar dostrzegania cech ukrytych i śmiesznych stron swego otoczenia. Postawa Balzac'a jest zgoła inna. Ciążył ku Faubourg St-Germain, kochał się w kobietach z tego środowiska, marzył o odegraniu w nim świetnej roli pana, milionera, sławnego pisarza i pożeracza serc jednocześnie. Zapracowany, w długach po uszy, pełen fantastycznych projektów finansowych, z których każdy kończył się katastrofą, ścigany przez wierzycieli, zaledwie miał czas obserwować świat swych marzeń i z nim współżyć. W rzadkich chwilach jaśniejszych, gdy udało mu się za książkę, czy w inny sposób zarobić większą sumę, czym prędzej wydawał ją z dziecinną lekkomyślnością na stroje niezawsze szczęśliwie dobrane do wielkiego brzucha pisarza, wiodącego siedzący tryb życia. Ku-pował laski z gałkami ze złota, lub kości słoniowej, malował na swej karecie herb do którego nie miał prawa, a George Sand opowiada, jak przyjmował ją z kandelabrami w nowym mieszkaniu w okolicach Observatoire, w salonie zdobnym w koronkowe firanki, nieodpowiadające prawdopodobnie gustom i wy-maganiom estetycznym ówczesnego Faubourg St-Germain. W studiach arystokracji Balzac'a znajdujemy bardzo wiele uwag słuszných i jasnych spostrzeżeń, lecz obok nich nigdzie w jego dziele nie dostrzegam tyle napuszenia i naiwnej idealizacji, kobiet niebiańskich czy demonicznych, przypominających raczej twory malarzy romantycznych. Prudh'ona, czy nawet Scheffera, niż prawdziwe kobiety z krwi i kości. Proust, jak Balzac, wszedł w ten świat z zewnątrz, lecz znacznie wcześniej, w pierwszej młodości, zanim jeszcze został pisarzem. O ileż ściślej, bacniej umiał go analizować i sądzić z większym oderwaniem. Do tej różnicy podejścia przyczyniły się i epoki odmienne, romantyczna i poromantyczna Balzaca i post-naturalistyczna Prousta. Ta znajomość głęboka świata arystokracji nasuwa znowu porównanie z Tołstojem. W **Wojnie i Pokoju**, w **Annie Kareninie**, w **Zmartwychwstaniu** i w wielu innych miejscach swego dzieła mówi o niej Tołstoj z genialną czułością i realizmem mniej

transponowanym, niż Proust, zna go przy tym od wewnątrz, sam od tego świata należąc.

Proust wokoło księstwa de Guermantes i brata księcia, barona Charlus, grupuje galerię arystokratów — zaczynając od książęnej Matyldy, jedynej postaci historycznej, pod własnym nazwiskiem — kończąc na krewnych i przyjaciółach drugo- i trzeciorzędnych, krążących wokoło słońca rodu de Guermantes, i ilustrujących nieprzeliczone odcienie pychy, snobizmu, parweniustwa i głupoty. Z szczególnym naciskiem, pośród cech charakteryzujących ten świat, studiuje snobizm we wszystkich jego przejawach.

Prócz świata paryskiego, Proust opisuje arystokrację wiejską, prostszą, sympatyczniejszą, bardziej związaną z realnym życiem, np. rodzinę Cambremère. Stara baronowa jest kobietą naturalną, prostą, szczerze kochającą muzykę, dumną, że w pierwszej młodości była uczenicą Chapon'a. Synowa jej, pochodząca z Paryża, jest typem klasycznym artystycznego snobizmu. Pozbawiona osobistej postawy uczuciowej, czy artystycznej, która wiązałaby ją istotnie ze sztuką, zna jednak na pamięć wszystkie komunały, właśnie wówczas modne w Paryżu. Chopin w danej chwili nie jest modny. Skromna teściowa nie ośmiela się nawet o nim wspominać. Wstydzi się niemal głębi swego przywiązania do niego, uważając się za zacofaną, za ściankową kobietę, niezdolną walczyć z kategorycznymi i bezapelacyjnymi orzeczeniami synowej, paryskiej sawantki. Jakże wzruszająca jest ta stara pani, gdy młody bohater bawiący u nich na wsi i naprawdę kochający muzykę, w zręcznej szermierce zbija kategoryczne zdania synowej; z radością, choć nie bez lęku, zdobywa się na śmiałość by wyznać mu swą miłość do Chopin'a. Czujemy w tych stronicach, jak dalece młody bohater rozeznaje fałsz i prawdę w stosunku tych dwóch kobiet do sztuki. Podobnie co do malarstwa. Młoda dama z Paryża jest w bałdzo przykrej sytuacji, bo orientuje się doskonale, że on wiele lepiej zna się na tych kwestiach od niej; wie ona również, że ludzie tacy właśnie jak ich gość, są źródłem mody artystycznej. Sawantka, idąc za modą naturalistyczną, zwalczającą klasycyzm, mówi o nicości Poussin'a. Bohater jej odpowiada, że Degas (autorytet ostateczny) uważa Poussin'a za jednego z największych mistrzów sztuki francuskiej; „pójdę do Luwru, gdy tylko powrócę do Paryża. Muszę raz jeszcze przyrzec się tym obrazom i przemyśleć na nowo ten problem” — odpowiada dama, wytrącona z siodła. I Proust delikatnymi rysami notując jej drobne reakcje, słowa czy odruchy, wykazuje niezłomnie, że ta kobieta nie ma najmniejszego pojęcia o sztuce, o której mówi bez przerwy — że sztuka jest dla niej wyłącznie środkiem interesowania własną jej osobą ludzi jeszcze głupszych i gardzenia ludźmi, naprawdę artystycznie wrażliwymi, ale o gustach nie mieszczących się w ramach ostatniej mody. Proust, który rozważa snobizm we wszystkich jego formach, sam uchodził za snoba w swym życiu, a nawet w swym dziele.

Jego przyjaciele szkolni pierwsi oddalili się od niego w przekonaniu, że snobizm go wykoleił. Wiele lat później, koło 1914 czy 1915 roku, Misia Godebska-Sert — głośna piękność Paryża, a przy tym mądra i hojna przyjaciółka najwybitniejszych artystów swego czasu, od Toulouse, Lautreca, Mallarmégo aż po Strawińskiego, Picassa, surrealistów, zapytawszy go w ciągu obiadu w hotelu Meurice czy nie jest snobem, otrzymała nazajutrz ze zdziwieniem odbrzymi list (zapewne go zgubiła), w którym tłumaczył jej na kilkunastu maczkach zapisanych stronach, do jakiego stopnia jej pytanie było powierzchowne i mgliste. Co byśmy dali dzisiaj, aby móc przeczytać ten list; pewno wrzucony do kosza. Reagowanie Prousta na życie i na ludzi miało tyle odcieni i tyle perspektyw, że określenie jej mianem snobizmu nie wyraża nic poza jednym i to najbardziej powierzchownym z aspektów.

Począwszy od fascynującego wrażenia, jakie wywierała na niego księżna de Guermantes na tle średniowiecznych witraży, poprzez miłość do tejże księżnej i olśnienie odkryciem świata arystokracji, aż do świadomości i obserwacji wad, małostkowości i zimnej obojętności tego świata, jego bezpłodności i głupoty — wszystko to odnajdujemy w jego książkach. Z jaką finezją Proust umiał opisać zalety młodego siostrzeńca Guermantes'ów, wojskowego o szlachetnym charakterze i porywach, kochającego namiętnie muzykę i literaturę, który ginie bohatersko podczas ataku na wojnie, z jakim humorem ukazuje nam równoległe niekulturalną głupotę różnych arystokratycznych światowców, dodając o którymś z nich sceptyczną uwagę: „Byłby uroczy, gdyby nie był taki głupi”. Zresztą stosunek Prousta pisarza do tego środowiska jest również oderwany, równie, powiedziałbym, naukowo obiektywny, jak stosunek jego do Franciszki, do klanu lekarzy, czy do babki. Porównuje kuchnię w Cambray, gdzie królowała Franciszka z dworem Ludwika XIV-go i otaczającymi go intrygami. Mówiąc o arystokratkach, dostrzega ich powinowactwo psychiczne z środowiskami, od których uważają że są oddzieleni murem swej wyższości. Opisuje spotkanie bohatera na dziedzińcu domu, w którym mieszka, z właścicielem domu księciem de Guermantes; książę w ciągu rozmowy strzepuje mu paru lekkimi, zręcznymi i wyszukanie uprzejmymi ruchami ręki ślad kurzu, dostrzeżony na jego aksamitnym kołnierzu.

„Tylko lokaje z bardzo dobrych domów i członkowie rodzin arystokratycznych” — twierdzi Proust — „mają odruchy tego rodzaju połączone z taką ugrzeczniową zwinnością”. Wywodzi stąd całą teorię pokrewieństw, opartą na pochodzeniu arystokracji, i na roli jaką odgrywała przy dworach królewskich w Wersalu.

Trzeba zanotować jeszcze jeden temat zasadniczy **Czasu Straconego**. Jest nim problem miłości fizycznej, którą Proust studiuje w najtajniejszych, pokrywanych milczeniem objawach. Wszystkie anomalie i zboczenia bada z jednakowym, bezosobis-

tym oderwaniem anality, nie bieląc ich, ani czerniąc. Już wielki jego poprzednik Balzac odważał się poruszać te sprawy ze znacznie zresztą większą rezerwą, w *Vautrin* i *Dziewczyni o złotych oczach*. Dwadzieścia lat literatury powojennej tak nas przyzwyczaiło do książek omawiających wszystkie kwestie seksualne w sposób cyniczny i ekshibicjonistyczny (Proust jest pełen rezerwy w porównaniu z Célinem), tak jesteśmy nimi nieraz nawet zmęczeni i rozdrażnieni, że trudno nam zrozumieć iż były aktem odwagi te ustępy, pomyślane i częściowo napisane jeszcze przed wojną 1914 roku, lub pewne strony w *Po stronie Swann'a*, dotyczące miłości lesbijskiej córki Vinteuil'a — lub historii barona Charlus'a, który jak Oscar Wilde, po podobnym skandalu, potępiony przez świat, oddaje się najgorszym zбочeniom masochistycznym w paryskiej speluncie.

Proust latarnię anality skierował na najtajniejsze zakamarki duszy ludzkiej, większość ludzi woli ich nie dostrzegać. Bada tę dziedzinę, tak jak bada arystokrację, miłość synowską, czy tajny mechanizm twórczości artystycznej. Jest twórcą aparatu analitycznego o nieznanej przedtem, beznamiętnej, drobniagowej ostrości.

Chciałbym teraz zatrzymać się nad kilku, bardzo zresztą jeszcze subiektywnymi wnioskami, do których doszedłem. Proust poprzez swą formę nową, odkrywczą i niepowtarzalną, wnosi cały świat idej, wizję życia, które, pobudzając w czytelniku wszystkie zdolności myśli, uczucia i wrażliwości, zmuszają czytelnika do rewizji własnej skali wartości. Zaznaczałem i podkreślałem już poprzednio, że nie ulegamy takiej czy innej tendencji jego dzieła. Nic nie jest bardziej obce Proustowi niż tendencyjność. Sam często powtarza, że jedynie pogłębianiem formy do ostatecznych granic można doprowadzić do zarysowania się istoty pisarza. W ostatnim tomie *Czasu Odnalezione* polemizuje on z Barresem. Barrès, sam pisarz wielkiej miary, był wówczas mistrzem wielu młodych literatów francuskich o nacjonalistycznych przekonaniach czy powiązaniach. Autor *Wykorzenionych*, *Wzgórza Natchnionego*, podkreślał wagę elementu narodowego nie tylko w życiu, ale i w twórczości pisarskiej. Alzactyk z pochodzenia, w ziemi wyłącznie, w glebie, w czystej francuskiej tradycji dopatrywał się źródeł głębokiego natchnienia. Zwalczając Barrès'a, Gide napisał swoje krytyczne notatki o wyrywaniu człowieka z środowiska, w którym wzrósł, i podkreślał pozytywne wartości, jakie przynosi kontakt z odmiennym światem. Barrès twierdził że pisarz nigdy nie powinien zapominać, że jest pisarzem narodowym i że jest jego zadaniem pogłębiać ten element w swym dziele. Proust odpowiada mu mimochodem zdaniem, które niestety potrafię tylko niedokładnie powtórzyć, banalizując je tym samym. Barrès twierdzi, że pisarz przed innymi zadaniami pisarskimi powinien pamiętać o swej roli i misji Francuza. Proust w odpowiedzi zaznacza, że kiedy uczony dąży do odkrycia, które może osiągnąć

nać jedynie koncentrując na tym jednym punkcie wszystkie zdolności, nie może on myśleć o czym innym. Podobnie pisarz. Nie możemy mierzyć wagi dorobku, który przynosi krajowi, ideami, które wyraził — lecz granicami, do jakich posunął realizację swej formy. U największych nawet zdarza się, że tendencja osłabia efekt dzieła, nie tylko z punktu widzenia sztuki, lecz nawet tej idei, której pisarz chciał służyć.”*)

Na terenie polskiej literatury znaleźć możemy na potwierdzenie tego zdania przykłady uderzające, istotnie tragiczne: przykłady Żeromskiego i Conrada. Nie znam polskiego pisarza tamtego pokolenia, który by osiągnął stopień doskonałości literackiej, do jakiego wznosił się Conrad-Korzeniowski. Nigdzie w jego dziele nie spotykamy żadnego zbaczania w kierunku dydaktycznym, żadnego zakradania się tendencji. A jednak właśnie jego twórczość budzi w uważnym czytelniku ogrom problemów i idei, więcej uczy hartu, wierności, sensu każdego rzetelnego wysiłku. Conrad, syn zesłanego patrioty, urodzony w głębi Rosji, człowiek, który przez całe życie odznaczał się kultem dla podstawowych uczuć wierności i honoru, był jakby zmuszony wewnętrznie opuścić swój kraj, wyrzec się języka, stać się obcym pisarzem w obcym świecie, aby w końcu znaleźć atmosferę, w której był zdolny stworzyć dzieło wolne od bezpośredniej tendencji od dydaktyzmu. Żeromski uczynił najwięcej, aby na nowo powiązać Conrada z Polską, uczynić go na nowo polskim pisarzem. A właśnie Żeromski powinien był go zwalczać jak Orzeszkowa, która piętnowała go jako zdrajcę, ponieważ opuścił Polskę w chwili, kiedy najbardziej potrzebowała swych synów. Żeromski, który wydaje mi się talentem nie mniejszym niż Conrad, (może nawet większym?), chociaż straszliwie nierównym, nie opuścił swego kraju, który kochał ponad wszystko, **ponad sztukę**. Każde z dzieł jego zawiera idee, które chciał natychmiast przekształcić w czyn krajowi pożyteczny. I możemy prawdziwie powtórzyć o nim zdanie, którym Krasiński określił Mickiewicza: „Był krwią, mlekiem i żółcią naszego pokolenia”. A jednak Żeromski był zbyt wielkim artystą, by nie zrozumieć, że często poświęcał doskonałość swego dzieła dla najszlachetniejszego wprawdzie, lecz bądź co bądź utylitarnego celu. I w książce pisanej już w wolnej Polsce sam z wruszającą pokorą zaznacza: „Tak bardzo pragnąłem obudzić sumienie moich rodaków, pobudzić ich do ofiarności i bohaterstwa, że tendencją niszczyłem już i bez tego słabe artystyczne wartości mego dzie-

*) Cytat dosłowny brzmi:

„M. Barrès avait dit que l'artiste (en l'espece de Titien) doit avant tout servir la gloire de sa patrie. Mais il ne peut la servir qu'en étant artiste, c'est-à-dire qu'à condition, au moment où il étudie les lois de l'art, institue ses expériences et fait ses découvertes aussi délicates que celles de la science, de ne pas penser à autre chose — fut ce a la patrie — qu'a la vérité qui est devant lui. T. XV, str. 38.

ła" *). Ten sam Żełomski dokłada wszelkich starań, by popularyzować Conrada i pisze wstęp do pierwszego z przetłumaczonych jego dzieł *Murzyna z załogi Narcyza*. Widzi w Conradzie nie zdrajcę, lecz brata, który w świecie wolności mógł zrealizować wszystko to czego sam musiał się wyrzec, w sobie kaleczyć, a w czym widział najniezbędniejszy pokarm młodego pokolenia wolnej Polski.

Poza terenem polskiego piśmiennictwa, dostrzec możemy zgubne cechy tendencji u największego może powieściopisarza drugiej połowy XIX-go wieku, Tolstoja. W *Wojnie i Pokoju*, poza próbą narzucenia czytelnikowi swych teorii o wojnie nie ma moralizatorstwa, w *Annie Kareninie*, nie ma go śladu, Tolstoj przerabia w *Annie Kareninie* długą rozmowę, pisząc ją ponownie, wyłącznie, aby ukryć przed czytelnikiem własny punkt widzenia. Lecz w *Zmartwychwstaniu*, wielkiej powieści, którą pisał jako stary już człowiek, natrafiamy na chęć pouczenia zbyt widoczną. Autor tylokrotnie podkreśla pewne zasadnicze idee, że u niektórych czytelników wywołuje reakcję wprost przeciwną i w ten sposób obniżając artystyczną wartość dzieła, osłabia promieniowanie swych idei, zamiast je wzmocnić. Jakże inaczej działa na nas Proust. Jest tak dalece wolny od apriorystycznych założeń, tak oświecony wolą poznania i zrozumienia najbardziej sprzecznych przejawów duszy, taką ma zdolność odśledzenia u najmarniejszego człowieka czynów szlacheńskich, nawet wzniosłych, i dostrzegania odruchów niskich u najczystszych istot, że dzieło jego działa na nas jak życie samo, przefiltrowane i rozświetlone świadomością nieskończenie bardziej sprawiedliwą w sądach niż nasza własna świadomość.

Zdziwiliby wielu czytelników Proust'a, gdyby im powiedział, że wnioski ideologiczne, jakie osobiście znalazłem w *Czasie Straconym* są bliskie Pascala. Przypominam sobie, z jakim zdziwieniem czytałem artykuł Boya o Prouście, w którym mówił o „rozkosznych” Charlusie; z tonu artykułu wyczuwało się, że raczej humor i radość życia byłyby według niego zasadniczymi motywami dzieła Prousta. Czy nie było to zubożeniem, umniejszeniem Prousta? Zaledwie wam wspomniałem o Pascalu, lecz jego postawa, zwalczająca zmysły we wszystkich ich przejawach, jest dobrze znana. Pożerany tęsknotą za absolutyzmem, odrzucał kategorycznie każdą przelotną radość zmysłów. Genialny matematyk, uwielbiany przez najwykwintniejsze środowiska francuskie, z natury próżny i żądny powodzenia — po nocy, która na zawsze pozostanie jego tajemnicą, po nocy znaczonej wizją nadziemskiego, absolutnego świata, na pamiątkę której nosi do śmierci na szyi na strzępku papieru wypisane słowa: „łzy, łzy radości” — zrywa z wszystkimi i ze wszystkim. Z pasją sobie właściwą pograża się w najostrzejszą ascezę, zamyka się w Port Royal, męczy i torturuje swój ciężko chory organizm; nie tylko połyka pożywienie, które mu

przynoszą w taki sposób by nie mógł wyczuć jego smaku, nie tylko nosi żelazny pas na biodrach, lecz odmawia sobie zadowolenia najszlachetniejszych swych zamiłowań, matematyki, fizyki, nawet literatury. Notuje tylko niekiedy strzępki myśli, idei, które zebrane po jego śmierci, stanowią jedno z najbardziej zwartych, najgłębszych dzieł światowej literatury. Pascal potępiał nie tylko zmysły bez hamulców, bez tam, zmysły rozpetane, ale zmysły jako takie. To on jest autorem okrutnego zdania: „małżeństwo jest stanem najbardziej niskim Chrześcijaństwa”. Może się wydawać paradoksem, że wiąże z myślą Pascala *Czas Stracony*, dzieło poświęcone w całości badaniu rozkoszy i cierpień zmysłowych, zawierające tysiące stron pisanych przez człowieka uwielbiającego wszystkimi zmysłami osiągalne ziemskie radości, umiającego cieszyć się wszystkim z świadomością, namietnością i wyczuleniem, posuniętym do ostatecznych granic. Znam króciutki, nieopublikowany list kilkunastoletniego Prousta do jego kolegi szkolnego, Daniela Halevy, w którym odpowiada prawdopodobnie na jego uwagi czy rady moralizatorskie. Donosi w nim, że on, Proust, pragnie tylko jednej rzeczy: zaznawać w życiu jak najwięcej radości w miłości (fizycznej). Pamiętajmy, że pierwszym literackim środowiskiem, w które Proust wchodzi, jest środowisko Anatola France, że aspiryitalny kult hedonizmu tego wielkiego francuskiego pisarza musiał także działać na kształtowanie świadomości Prousta. Wielokrotnie zauważono, że dzieło Prousta nie zawiera nigdzie śladu elementów religijnych, a słowo „Bóg” na tysiącach i tysiącach jego stron nie jest wymienione ani razu. Mimo to, a może właśnie dlatego, ta apoteoza wszystkich przelotnych ziemskich radości pozostawia nam na ustach Pascalski posmak popiołu. Nie w imię Boga i religii bohater *Czasu Straconego* wszystko porzuca — lecz i w niego uderzył grom objawienia i on pogrzał się za życia w samotnym, korkiem obitym pokoju, by służyć temu, co dla niego stało się absolutem — swojej sztuce. Płaczę rozmyślnie los Prousta z losem jego bohatera, gdyż na tym punkcie utożsamiają się wzajemnie, a ostatnie jego dwa tomy (*Czas Odnaleziony*) są także przesiąknięte łzami radości — są hymnem triumfalnym człowieka, który wyzbył się wszelkich bogactw, by nabyć jedną bezcenną perłę, człowieka, który zgłębił całą nietrwałość, tysiączne rozdarcia i nicosć radości erotycznych, młodości, sławy, nicości gdy je porównać z radością twórczą człowieka, który, budując zdanie po zdaniu, pisząc i przerabiając każdą stronicę, jest w nieustannym poszukiwaniu absolutu formy w wyrażeniu swej wizji świata, absolutu, którego ostatecznie nigdy nie osiągnie, nie zdąży nawet dokonać korekty ostatnich tomów.

Nicość stosunków światowych: jeden przykład z tysiąca. Na Swann'a, na ten wzór światowca, padł z ust lekarzy wyrok śmierci: ma przed sobą najwyżej dwa, trzy miesiące życia. Mówi o tym już z piętnem bliskiej śmierci na twarzy do księżnej de Guermantes, najlepszej swojej przyjaciółki, królowej Paryża

*) „Snobizm i postęp”.

— na dziedzińcu pałacu de Guermantes w chwili, gdy księżna wyjeżdża z mężem na wielkie przyjęcie. Jeśli się dadzą zatrzymać przyjacielowi skazanemu na śmierć, mogą się spóźnić na obiad. By temu zapobiec, księstwo przyjmują wiadomość żartobliwie. Umyślnie ślepi na śmiertelnie zmieniony wygląd Swann'a, wmawiają mu, że ma się doskonale — i porzucają go u progu ich pałacu. Po chwili książę spostrzega, że pantofelki księżnej nie są bez zarzutu dobrane do jej sukni z czerwonego aksamitu i do rubinowego naszyjnika. Musi je zmienić! Swannowi nie udało się ich zatrzymać choćby kilka minut — źle dobrane pantofelki opóźniają ich wyjazd o cały kwadrans.

Nicość pychy arystokratycznej. W *Czasie Odnalezionym* Proust opisuje wytworne przyjęcie w tym samym pałacu de Guermantes. Ale księżna, najsurowsza i najbardziej wytworna latorośl rodu wysoce cenionego z powodu stylu i rzadkiej finezji, nie żyje. Miejsce jej zajmuje księżna de Guermantes numer dwa, dawniej pani Verdurin, wzbogacona mieszcza, nadęta snobizmem, ordynarna i śmieszna. Goście powojenni, bogaci Amerykanie wśród innych, odnoszą się do niej z podziwem i zupełną nieświadomością, że sławna księżna de Guermantes i dama, która ich przyjmuje, — poza nazwiskiem i stanowiskiem — nic między sobą nie mają wspólnego.

Nicość młodości i piękności „Du Temps l'irréparable”, („Czasu bezpowrotna zniewaga”) Odette, uroczą kurtyzana, przedmiot namiętnej miłości Swann'a i wielu innych, później żona Swann'a, a jeszcze później hrabiego de Forcheville, która przesuwając się poprzez całe dzieło Prousta jako wcielenie wszystkich wdzięków kobiecych, jest przedstawiona w ostatnim tomie jako stara kobieta, na wpół zidiociała, wtulona w jakiś kąt salonu córki. Otaczano ją dawniej luksusem i hołdami — dziś nikt na nią nie zwraca uwagi, wszyscy składają jej głęboki ukłon wchodząc, lecz dwa kroki dalej zapominają o jej istnieniu, lub wymieniają głośno złośliwe i ośmieszające uwagi. I Proust, który jak to wielokrotnie podkreślałem, zachowuje wszędzie obiektywizm posunięty aż do okrucieństwa — tutaj umieszcza zdanie nieoczekiwane, tchnące czułym wzruszeniem: „Ta kobieta przez całe życie uwielbiana i otaczana pochlebstwem — a dziś strzęp spłoszony, patrzący z przerażeniem w drapieżny świat przybrany w wieczorowe stroje, po raz pierwszy wydała mi się — sympatyczna”.

Nicość i marność sławy. Wielka aktorka Berma, w rzeczywistości Sarah Bernhard, zaledwie przetransponowana, daje Proustowi okazję do napisania stron niezapomnianych. Berma jest stara i chora. By móc jeszcze występować, zatrzuwa się środkami podniecającymi, a potem w pałacu swym nad Sekwaną męczy się przez długie bezsenne noce. Nad ranem dopiero udaje jej się zasnąć na parę godzin. Ale ukochana jej córka, dla której jedynie znosi te wszystkie męczarnie, chce mieć w sąsiedztwie matki dom taki sam; od wczesnego ranka postępuje bu-

dowa i nieustanne uderzenia młotków pozbawiają Bermę reszty snu. W tym okresie mści się na niej jej rywalka, aktorka trzeciorzędna, znacznie młodsza niż Berma i śmiertelnie o jej sławę zazdrosna. Intrygą, stosunkami, płaszczeniem się, zdobywa sobie mniej wymagającą, powojenną publiczność. Wybiera sobie dzień przyjęć Bermy, by urządzić swój wielkoświatowy wieczór deklamacji i poezji nowoczesnej, na który zbiega się cały Paryż. Stara, genialna aktorka spędza ów wieczór w opustoszałym swoim łonie, pojawia się u niej tylko jakiś nieorientowany jeszcze w życiu światowym młody człowiek i córka jej z zięciem; perspektywa spędzenia wieczoru u starej matki, a nie w wspólnym i przepełnionym salonie księżnej, doprowadza tych ostatnich do wściekłości. Proust opisuje toczące, jak w kamieniu kute, starcze rysy Bermy, oczy pełne jeszcze życia, wyzieraające z jej twarzy, pokrytej warstwami kremów, „podobne węzom w marmurowych ruinach Erechtejonu”. Ostatni cios zadaje jej ubóstwiana córka. Opuszcza z mężem salon Bermy i niezaproszona udaje się na owe przyjęcie, by mieć zaszczyt wzięcia udziału w triumfie największej nieprzyjaciółki jej matki. Udaje się jej być wprowadzaną do tych salonów za pośrednictwem owej aktorki, uszczęśliwionej, że może zranić Bermę, pogardliwie protegując jej córkę.

Nicość miłości erotycznej. Co pozostawiają przygody, namiętności i zboczenia zmysłowe tym, którzy im się bez reszty oddali? Widzimy barona de Charlus zestarzałego, usuniętego poza nawias światowego życia, oddającego się w domu schadzek masochoistycznym zboczeniom, „przygwożdżonego do materii, jak Prometeusz do skały”; a później jeszcze, w stanie zupełnego zdziecinienia, w wózecku, który ciągnie Jupien, podejrzana figura, przyjaciel jego lat młodych i właściciel owego domu schadzek. On jeden nie opuszcza starca i otacza go troską niemal macierzyńską.

Największą miłością bohatera *Czasu Straconego* jest Albertyna. Tomy *W Cieniu Rozkwitających Dziewcząt* są pełne opisów wdzięku młodzieńczej Albertyny i jej wysportowanych towarzyszek. Tomy *Sodoma i Gomora* i *Albertyna* to świat miłości, zazdrości i czułości, którego ośrodkiem jest znów ta młoda dziewczyna. *Zniknięcie Albertyny* jest jednym krzykiem rozpacz, upartym pójściem za uciekającą dziewczyną, bolesnego i zazdrosnego śledzenia jej przeszłości. A kiedy w niespełna rok później bohater dowiaduje się, podczas pobytu w Wenecji o jej nagłej śmierci, przyjmuje tę wiadomość z zupełną obojętnością, będąc w danej chwili już zajęty kimś innym. A z jakim oderwaniem, pełnym, nie mającym zresztą nic wspólnego z namiętnym piętnowaniem zmysłów przez Pascala, sam Proust, który tyle w tej dziedzinie doznał i przecierpiał, mówi o miłości w ostatnich tomach swego dzieła. Rozważa ją raczej z utilitarnego punktu widzenia, już zupełnie nie po pascalsowsku,

doradzając miłość „trochę wrośniętą w ciało”), jako odtrutkę przeciw wyjaławiającym światowym radościom, przeciw pasji towarzyskości, która wprowadza taki zamęt w życie artysty. Proust z coraz większym naciskiem powtarza, że artysta jest i powinien być samotnikiem, że nawet kontakty z uczniami, z adeptami go osłabiają. Ponieważ, gdy chodzi o miłość erotyczną, jest Proust zupełnym pesymistą, ponieważ widzi w niej jedynie przyczynę „drogocennych ran” i wzmożonego poczucia samotności, może dlatego godzi się poniekąd z tą właśnie formą obcowania, z erotyzmem. I w chwili kiedy postanawia opuścić świat i jego przelotne, przemijające ambicje i namiętności, by w samotności oddać się swemu dziełu, dopuszcza jednak myśl pozwolenia sobie niekiedy na spotkania miłosne z młodymi, pełnymi uroku dziewczętami. Chce jak ów koń w starożytności być karmiony samymi różami.

Jeśli chcemy wysledzić ostateczne myśli Prousta o życiu i śmierci, myśli, które powstają w człowieku, gdy nagromadziwszy długie doświadczenie sam staje wobec zbliżającego się końca — klucz do nich znajdziemy w postaci Bergotte. Bergotte w **Czasie Straconym** jest wielkim pisarzem, mistrzem francuskiego języka; dla młodego bohatera stanowi wcielenie wszystkich piękności literatury. Tworząc tę postać Proust opiera się na obserwacji Anatola France, którego Bergotte wielu cechami przypomina; a także na doświadczeniach własnych z ostatniej epoki pisarskiej. Bergotte'a spotykamy już w **Po stronie Swanna**. Młody bohater odkrywa go i obiera jako mistrza, marząc aby go poznać. Spotkał go po raz pierwszy, jeśli się nie myli, w salonie Odetty, podówczas żony Swanna. Pisarz ów jest dawnym przyjacielem Swanna. Rozmawia z bohaterem bardzo uprzejmie i odwozi go z wizyty w własnym powozie. Poznanie go jest dla młodego człowieka w pierwszej chwili rozczerowaniem. Bergotte z krwi i kości mało ma wspólnego z pisarzem o spotkaniu którego marzył od tak dawna. Zastanawia go, że Bergotte, bliski przyjaciel Swanna, zaczyna go subtelnie, z łatwością, w tonie oderwanym obgadawać w powozie; obgaduje go wobec młodego człowieka, którego spotyka po raz pierwszy. Bergotte stanowi dla Prousta okazję studiowania z zwykłą przenikliwą bezstronnością — słabostek, stehórzeń, podłości i kłamstw, nierządkich w świecie artystów. W następnych tomach spotykamy Bergotte'a starzejącego się; stoi u szczytu sławy, lecz jego siła twórcza już się zmniejsza. Teraz pisze z wzruszającym wysiłkiem, a słabnącym uczuciem radości i konieczności wewnętrznej. Książki jego coraz rzadziej się pojawiające, są coraz gorsze — chętnie powtarza zdanie, którego nie wypowiedziałby nigdy w okresie kiedy tworzył arcydzieła: „myślę, że pisząc te książki, przysłużyłem się mojej ojczyźnie”. W tych opisach i spostrzeżeniach psychologicznych Anatole

*) „Un peu enfoncé dans la chaire”.

France jest raczej niż sam Proust budulcem, z którego powstaje Bergotte. Natomiast opisy ostatniej choroby i śmierci Bergotte'a odtwarzają do pewnego stopnia stany duszy i ciała samego Prousta. On sam robił korektę tych stron. Ostatnie korekty przed własną śmiercią. Wiemy, jak daleko posuwał swoje poprawki już drukowanych arkuszy. Dodawał, przerabiał lub skreślał dziesiątki, a nawet setki stron, co było także cechą pracy Balzaca. Balzaca pasja ta dosłownie rujnowała. Proust, opisując okres zbliżającej się śmierci Bergotta, pisze o wszystkich nadziejach, wszystkich zawodach chorych związanych z charakterem, psychologią, sztuczkami lekarzy. Analizuje różne rodzaje snu i snów Bergotta, jego koszmary, uczucia zapadania się w otchłań, skutki najróżniejszych narkotyków, których Bergotte, nekany bezsennością, nadużywał przed śmiercią. Pewne szczegóły, dotyczące ostatniego stadium jego choroby, Proust dopisywał w kilka dni przed własną śmiercią.

Śmierć Bergotte'a następuje w czasie wystawy wielkiego holenderskiego mistrza Vermeer'a, ukochanego malarza Bergotte'a i Swann'a. Dowiedziałem się przypadkiem, że przyjaciel Prousta, pisarz Jan Ludwik Vaudoyer, już po wojnie zaciągnął go na wystawę malarstwa holenderskiego, i że Proust miał tam na samej wystawie poważny atak serca.

W **Albertynie** Bergotte decyduje się raz jeszcze zobaczyć obrazy Vermeera, choć zdaje sobie sprawę że wobec złego stanu swego zdrowia, wyprawa ta jest wielkim ryzykiem. Wchodząc, zostaje natychmiast owładnięty tajemniczym czarem, chińską przejrzystością i finezją, czułą muzyką tych płócien. Zatrzymuje się w szczęśliwej ekstazie przed pejzażem przedstawiającym domy na nadmorskiej plaży. Widzi drobnutkie błękitne postacie na różowym piasku i skrawek żółtego muru. Przed tym obrazem robi swój ostatni pisarski rachunek sumienia: „skrawek żółtego muru, żółtego skrawek muru” powtarza szeptem: „tak trzeba było pisać moje książki, wracać, ciągle nawracać do tych samych zdań, przepracowywać je i wzbogacać kolejnym nawarstwianiem, jak ten kawałek żółtej ściany. Moje zdania były zbyt suche, zamało nad nimi pracowałem”. I jeszcze jedno zdanie dodaje cicho Bergotte — Proust, zdanie, które zdumiewa gdy pada z ust ucznia Anatola France: „Co znaczy ta zamiętność pracy artysty, którego ledwo można zidentyfikować, ten niezmordowany wysiłek, zmierzający do celów, których nikt prawdopodobnie nie dostrzeże, nie zrozumie, nie zmierzy do dna? To jak gdybyśmy byli podporządkowani prawom sprawiedliwości, absolutnej prawdy, doskonałości wysiłku — prawom powstałym w innym świecie harmonii i prawdy, któremu podlegamy bezwiednie i którego odbłaski dosięgają nas i kierują nami na ziemi”. To drobne zdanie może pozostać niezauważone, lub wydać się bez znaczenia czytelnikowi nieuważnemu, niewiedzącemu jak olbrzymie poczucie odpowiedzialności miał

Proust za każdy szczegół swoich pism. Wiemy jednak, że te strony właśnie przeglądał, wzbogacał przed samą śmiercią, skąd szczególna ich waga wśród tysięcy innych stron tego ucznia i wyznawcy autora **Buntu Aniołów**. I nagle nasuwa się nam skojarzenie z innym wielkim pisarzem, który był owładnięty od początku do końca swej twórczości przez jeden problem Boga i nieśmiertelności. Dostojewski w **Braciach Karamazow** kładzie w usta Zosimy te słowa: „wiele rzeczy pozostaje ukrytych przez całe życie przed naszym wzrokiem; jest nam natomiast dana wewnętrzna pewność żywego związania z innym wyższym światem; same korzenie naszych myśli i uczuć nie tkwią w naszej ziemi, lecz w zaświatach”. Dostojewski dodaje jeszcze, że wszystko w nas jest, żyje dzięki intuicyjnej pewności tego związania. Z chwilą zatracenia tej pewności życie staje się nam obojętne, a nawet zaczynamy je nienawidzić.

W tej samej chwili kiedy Bergotte w świetle skrawka muru mistrza z Delftu dochodzi do zrozumienia czym ma być sztuka, kiedy ogarnia jednym wejrzeniem własną twórczość, jej zalety i braki — zaczyna odczuwać nadchodzący atak serca. Chce przysiąść na stojącej w pobliżu ławce, wmawia sobie, że to nic, może skutek niestrawności — niepotrzebnie zjadł parę kartofli. Lecz to wszystko trwa zaledwie kilka sekund, stan jego pogarsza się gwałtownie; nie dochodząc do ławki, jak rażony piorunem — pada martwy. A Proust stawia sobie samemu pytanie: „Bergotte umarł, czy umarł całkowicie?” i odpowiada zdaniem przytoczonym, które nasunęło nam na myśl Dostojewskiego — i dodaje, że nie jest niemożliwością, by Bergotte nie zginął całkowicie, nie rozpadł się w nicłość. I kończy ustępem o niezapomnianej poezji, którego nie jestem w stanie dosłownie przytoczyć: „i przez noc całą, we wszystkich oświetlonych wystawach paryskich księgarni, książki jego rozwarły, ustawione trójkami, czuwały jak anioły z rozłożonymi skrzydłami nad ciałem zmarłego pisarza”.*)

Śmierć Bergotte'a, długa choroba, która ją poprzedziła, tak ściśle wiążą się w mej pamięci ze śmiercią samego Prousta, że chciałbym zakończyć te wspomnienia kilku dotyczącymi jej szczegółami.

Przez ostatnie lata życia, stan zdrowia Prousta pogarsza się nieustannie. Przyjaciele jego nie zdają sobie z tego sprawy, bo w rzadkich chwilach, gdy mogą się cieszyć jego obecnością, jest on świetny w rozmowie, pełen werwy i wewnętrznego żaru. Początkowe tomy jego dzieła ukazują się jedne po drugich i olśniewają garść czytelników. Leon Paul Fargue opisuje w swych wspomnieniach spotkanie Prousta w tych ostatnich latach,

*) Tekst pełny u Prousta brzmi:

„On l'enterrera, mais toute la nuit funèbre aux vitrines éclairées, ses livres disposés trois par trois, veillaient comme des anges aux ailes déployées et semblaient pour celui qui n'était plus le symbole de sa resurrection”. — Str. 248, tom XI.

podeczas przyjęcia w pałacu Misi Godebskiej-Sert: notuje jego czarne ubranie, zielonkawą cerę, w błękit wpadającą czerń włosów, na fioletowym i srebrnym tle dekoracji Bonnarda. Zauważył dziwną różnicę między młodym, nerwowym światowcem sprzed wojny — a Proustem teraz spotkanym, w którego postawie i uśmiechu była jakaś dziwna dojrzałość i odprężenie. Czuło się w nim jakąś dalekość, oderwanie, pewność. Z tych samych lat pochodzi list Prousta, o którym Mauriac wspomina w swoim **Dzienniku**. „Chcę pana widzieć. Byłem przez całe tygodnie niewidoczny, zaledwie wydobyłem się ze spowić mumii. Byłem umarły”. Wobec tego, że Proust był stale chory, łatwo było w tych zdaniach dopatrywać się raczej literackiej przesady, niż prawdy. Lekarze jednak zdawali sobie sprawę, że stan jego pogarsza się z dnia na dzień, pod straszliwym naporem pracy nad wykończeniem dzieła, w wyścigu ze śmiercią, której bliskość wyczuwał. Straciwszy wiarę w możliwość wyzdrowienia, w skuteczność narzucanych mu lekarskich przepisów, wpadał w straszliwy gniew, gdy brat jego lekarz chciał go skłonić, aby dbał o siebie. Niewątpliwie rozumiał, że olbrzymi, gorączkowy wysiłek, który kładł w doprowadzenie dzieła do końca, przyspiesza jego śmierć. Lecz raz powziąwszy decyzję, nie zważał na to. Śmierć mu się stała naprawdę obojętna. I zabrała go, jak na to zasługiwał, w pełni pracy. Pewnego poranku znaleziono go w łóżku niezręcznego. Na stoliku nocnym leżała przewrócona butelka z lekarstwem; zawartość jej splamiła skrawek papieru, na którym było zanotowane nazwisko podrzędnej postaci jego dzieła: „Forcheville”.

Józef CZAPSKI.

Tłumaczyła z francuskiego T. Skórzewska.

SPROSTOWANIE

Do wstępu do Proust'a w Giazowcu, drukowanego w poprzednim numerze **Kultury**, zakradł się błąd zecerski. Mianowicie Proust umarł w r. 1922 a nie w 1933, jak to mylnie wydrukowano.

„ORZEL BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja

186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa „Orla Białego”,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

BERRY C^o, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Obraz poetycki

Zamieszczamy poniżej obszernie wyjątki z książki *The Poetic Image*, której autorem jest Cecil Day Lewis, jeden z wybitniejszych współczesnych poetów angielskich. Day Lewis grał poważną rolę w rewolucji poetyckiej, jaka miała miejsce w poezji angielskiej po roku 1918, a to co pisze, jest interesujące zarówno jeśli chodzi o przedstawienie poglądów nowoczesnego poety na poezję, jak i ze względu na krytykę niektórych elementów nowoczesnej poezji, której dobre i złe strony zna z własnego doświadczenia poetyckiego. Książka jego jest też dlatego cenna, że — jak pisze w przedmowie — starał się z niej „wyplenić wszelki ślad tego żargonu krytycznego, który czy to pochodząc z lenistwa umysłowego, czy będąc subtelną formą egoizmu, przyczynia się tak bardzo do odstraszenia inteligentnego czytelnika”. Dlatego ma rację jeden z recenzentów angielskich, pisząc o tej książce, że przemawia w niej a civilized man, speaking on a civilized occasion.

NATURA OBRAZU

Zawsze jest coś groźnego dla poety w pojęciu krytyki — coś, że ośmieli się tak to nazwać, prawie nierealnego. Poeta pisze wiersz; potem przechodzi do nowego przeżycia, następnego wiersza; a kiedy zjawia się krytyk i mówi mu co jest w porządku, albo nie w porządku z tym pierwszym wierszem, to poeta ma wrażenie, że to odnosi się do czegoś innego. Czy ja to napisałem? Tak, rzeczywiście. Dziwne! Ale dzisiaj problem się zmienił i pańskie znakomite uwagi na temat mego rozwiązania poprzedniego problemu tylko mnie mylą w próbie rozwiązania nowego, bo —

every attempt

*Is a wholly new start, and a different kind of failure
Because one has only learnt to get the better of words
For the thing one no longer has to say, or way in which
One is no longer disposed to say it.*

(Każda próba jest zupełnie nowym początkiem i odmiennym rodzajem niepowodzenia, ponieważ nauczyliśmy się przewy-

ciążyć słowa dla tego czego już nie musimy mówić albo w sposób w jaki nie pragniemy już tego wypowiedzieć.)

Nie tylko to. Poeta zmieniony w krytyka stoi w obliczu nowego niebezpieczeństwa, znalezienia się w sprzeczności z samym sobą. Żaden wiersz nie jest nigdy w sprzeczności z innym wierszem, tak jak żadne przeżycie nie może znaleźć się w sprzeczności z innym przeżyciem. Sprzeczność pojawia się dopiero, gdy zaczynamy wyprowadzać dedukcje z naszych przeżyć, albo sądów o poezji. Wychodząc z przytulnego świata, gdzie jego poetyckie słowo było prawem, przechodząc przez zwierciadło w świat krytyki poetyckiej, poeta wstępuje w bardzo dziwny kraj...

Otóż znalazł się on w świecie praw i logiki i musi starać się mówić jego językiem. W tym nowym języku konflikty nie dadzą się rozstrzygnąć namietnością z jaką są odczute i wypowiedziane... Mówiąc całkiem po prostu, krytyk ma jedno najważniejsze zadanie — zadanie ułatwienia albo poszerzenia albo pogłębienia naszej reakcji na poezję. Istnieje oczywiście wiele sposobów wykonania tego zadania. Ale nie dokona go w sposób zadawalający żadna metoda krytyczna, jeśli nie będzie szacunku zarówno dla wiersza jak i dla czytelnika. To nie powinno wymagać powtarzania; ale zbyt często znajdujemy dzisiaj w krytyce ustępy gdzie nieuczciwa kontrowersja, nieczym nie udrapowany narcyzm odsłaniają, w stosunku do czytelnika, postawę dogmatycznej pogardy. Wielcy krytycy, Dryden, Coleridge, Shelley, Arnold nigdy nie zapominali o tym rodzaju dobrych manier, który nazywamy stylem.

Uważałem za konieczne przypomnieć to sobie na początku, bo jestem nieczęstym gościem w krainie zwierciadła, którą przed chwilą opisałem. Czytelnik będzie pewnie ciekaw czego ma oczekiwać ode mnie. Powinienem wywiesić jakiś znak rozpoznawczy. Jest coś heroicznego w wielkich uogólnieniach w krytyce. Robią one na nas takie wspaniałe wrażenie: «trafił nie trafił». I w podnieceniu trafień zapominamy o przeważającej ilości chybień, a całkiem nie dostrzegamy, że trafienia nie były wcale kwestią szczęścia. Ja sam za chwilę odważę się na jedno lub dwa skromne uogólnienia. Ale przedtem chcę poprosić kogoś innego o wprowadzenie mego przedmiotu.

W obecnych czasach poeta... wydaje się stawiać sobie jako obiekt główny i jako ten, który jest najbardziej charakterystyczny dla jego sztuki, nowe i uderzające obrazy... W dykcji i w metryce z drugiej strony jest stosunkowo niedbały. Rytm albo nie jest skonstruowany na podstawie żadnego poprzedniego systemu i nie uznaje żadnego innego usprawiedliwienia jak tylko wygodę pisarza; albo przyjmuje się jakąś mechaniczną miarę, której jedna zwrotka jest tak wystarczającą próbką, że wyraźnie widać jak zdzierające się tu i ówdzie różnice wynikają z przypadku, albo

z cech samego języka, a nie z rozmyślania i z inteligentnego zamierzenia.

Nie miałem zamiaru w gruncie rzeczy pozwolić, by Coleridge powiedział więcej niż pierwsze zdanie, ale ten cały ustęp tak dziwnie nadaje się do współczesnej poezji, o tyle więcej nadaje się do niej, moglibyśmy powiedzieć, niż do poezji o której mówił, że nie przerywałem mu. Nikt, jeśli o to chodzi, nie potrafił nigdy przerwać Coleridge'owi w mówieniu. «Nowe i uderzające obrazy». Ponieważ pragnąłem podjąć jakiś temat, który mógłby rzucić nam snop światła na poezję naszych własnych czasów, a uważałem przy tym za najpoważniejszą wadę nowoczesnej krytyki to, że nie łączy ona dostatecznie tej poezji i nie pokazuje jej w perspektywie z wielkimi horyzontami angielskiej tradycji poetyckiej, więc wydawało mi się, że znalazłem czego pragnąłem w obrazie poetyckim. Nowość, śmiałość, są najsilniejszym punktem, wszechobecnym demonem w nowoczesnej poezji — i jak wszystkie demony są skłonne do wydostawania się spod kontroli. Samo słowo «obraz» (image) nabrało w ciągu ostatnich pięćdziesięciu mniej więcej lat potencjału mistycznego; wystarczy pomyśleć co z niego zrobił Yeats. A przecież obraz jest stałą w każdej poezji, a każdy wiersz sam jest obrazem. Prądy przychodzą i odchodzą, dykcja się zmienia, zmieniają się mody rytmu, nawet podstawowy materiał treściowy może się zmienić niemal nie do poznania; ale przenośnia pozostaje, zasada życiowa poezji, główny probierz i chwała poezji.

«Sądzę» — mówi Herbert Read — «że powinniśmy zawsze być gotowi do sądzenia poety... według siły i oryginalności jego przenośni». Inny krytyk, Arystoteles, który nie zawsze byłby tego samego zdania co Read, był równie gotów stawiać na nią: «najważniejszą rzeczą jest posiadać panowanie nad przenośnią. Tego jednego nikt nie może udzielić drugiemu; to jest znak geniuszu». Jak zobaczymy, to zdanie nie zawsze było ogólnie przyjęte. Choć własna praktyka poety tak często im przeczyła, krytycy XVI, XVII i XVIII wieku byli skłonni do mówienia o obrazach jako ozdobie, zwykłej dekoracji, niby wiśniach gustownie ułożonych na torcie. Samo pojęcie, że obrazy są u rdzenia wiersza, że wiersz sam może być obrazem utworzonym z wielkiej ilości obrazów, nie miało przed nadejściem romantyzmu szerszego oficjalnego obiegu.

Co rozumiemy zatem przez obraz poetycki? W najprostszej postaci jest to malowidło stworzone ze słów. Określenie, przenośnia, porównanie mogą stworzyć obraz; albo obraz może nam być przedstawiony w zdaniu lub w ustępie zewnętrznie czysto opisowym, lecz przekazującym naszej wyobraźni coś więcej niż tylko dokładne odbicie zewnętrznej rzeczywistości. Każdy obraz poetycki jest więc do pewnego stopnia przenośnią. Wychyla on się z lustra, w którym życie widzi nie tyle swoje oblicze, ile jakąś prawdę o swoim obliczu. Wiem, że to jest twierdzenie sporne. Wróćmy więc na chwilę do definicji obrazu jako malowidła

stworzonego ze słów. Najpospolitszym typem obrazu jest obraz wzrokowy; wiele innych obrazów, które mogą wydawać się niezmysłowe, mają w gruncie rzeczy jakąś słabą asocjację wzrokową. Ale oczywiście obraz może się wywodzić z innych zmysłów i przemawiać do innych zmysłów, nie tylko do zmysłu wzroku. Clare¹⁾ przemawia do słuchu i wzroku jednocześnie, gdy opisuje żurawie.

*Cranking their jarring melancholy cry
Through the long journey of the cheerless sky.*

(Powtarzając swój zgrzytający, melancholijny krzyk przez długą podróż po nieradosnym niebie.)

Jonson²⁾ przemawia do naszego zmysłu i dotyku w:

*Have you felt the wool of beaver
Or swan's down ever?*

(Czyś dotykał wełny bobra lub łabędzia puchu kiedyś?)

Tennyson do zmysłu węchu i słuchu w:

*And many a rose-carnation feed
With summer spice the humming air.*

(I wiele różowych goździków żywi letnią wonnością brzęczące powietrze.)

Jednak każdy z ostatnich dwóch obrazów ma dla nas pewne wzrokowe znaczenie poza tym, że wywołuje dotyk, dźwięk lub zapach rzeczy. Można dowodzić, wydaje mi się, że każdy obraz — nawet najczyściej emocjonalny lub intelektualny — ma w sobie pewne ślady zmysłowości.

*Finish, good lady, the bright day is done
And we are for the dark.*

(Skończ, szlachetna pani, minął jasny dzień i czeka nas ciemność.).

To jest wielkie wołanie i punkt szczytowy emocji; lecz choć nie przedstawia ono oku żadnego obrazu, to jednak przemawia językiem wzroku.

Czy więc zbliżyliśmy definicję naszą do doskonałej, jeśli powiemy, że obraz poetycki jest malowidłem w słowach z dodatkiem jakiejś cechy zmysłowej? Oczywiście nie. Dziennikarz i autor reklam często tworzą zmysłowe malowidła słowne. (Następuje przykład rymowanego ogłoszenia butów Panda).

1) John Clare (1793-1864), jeden z mniejszych poetów angielskiego romantyzmu.

2) Ben Jonson (1573-1637), czołowy poeta epoki elżbietańskiej.

To rzeczywiście bardzo zmysłowe ogłoszenie; jest ono nawet napisane rymem i rytmem; ale nie nazwalibyśmy go obrazem poetyckim. «Oczywiście nie, bo nie ma w nim emocji ani namietności», — mówi jakiś niecierpliwy głos. Obawiałem się, że to wyskoczy.. Czy jesteśmy bliżsi definicji, jeśli powiemy, że obraz poetycki jest malowidłem słownym, naładowanym emocją lub namietnością? Czy Coleridge ma mieć w tym wypadku ostatnie słowo?

Obrazy nawet najpiękniejsze... nie charakteryzują same z siebie poety. Stają się one dowodami oryginalnego geniuszu tylko w tym stopniu w jakim są modyfikowane przez przemożną namietność; albo przez towarzyszące myśli lub obrazy, obudzone przez tę namietność.

Otóż mamy tu bardzo cenne stwierdzenie. Jest ono przeciw wagą lecz nie zaprzeczeniem Arystotelesowego dictum, że panowanie nad przenośnią jest cechą geniuszu poetyckiego. Jego główna wartość dla nas w dniu dzisiejszym leży w nacisku położonym na modyfikacji i łączeniu obrazów przez namietność... Co musimy teraz rozstrzygnąć, to czy te wypowiedzi podtrzymują definicję obrazu jako malowidła słownego, naładowanego emocją lub namietnością. Nie mam osobiście żadnych wątpliwości, że kiedy Coleridge mówił o «przemożnej namietności», to chciał powiedzieć, że wiersz powinien mieć jednoczący temat poczęty z namietnością i z namietnością rozwinięty, a nie należy go interpretować w ten sposób, że obrazy poetyckie są «dowodami oryginalnego geniuszu» o tyle, o ile nadają się one do przenoszenia emocji — strachu, pożądania, nienawiści, smutku. Rozróżniłbym właściwie ludzką emocję od poetyckiej namietności.

Czy to rozróżnienie wydaje się bardzo oczywiste? Powinno być takim; ale krytycy ciągle nam powtarzają, że metodą jeśli nie głównym celem poezji jest przekazywanie emocji czytelnikowi; jest to jedno z tych zbyt uproszczeń, które mają w sobie akurat dosyć prawdy, aby się utrzymać. Ale musimy być uważniejsi. Weźmy kilka obrazów i śledźmy bardzo uważnie sposób naszej reakcji na nie. Jeszcze raz:

*Finish, good lady, the bright day is done
And we are for the dark.*

Kontekst jest tragiczny; uczucie mówiącego to sam smutek, uczucie głębsze niż rozpacz, ponieważ przyjęło ono tragiczne doświadczenie. Słyszac te wiersze my także odczuwamy smutek, lecz tylko jako słabą, poboczną nutę reminiscencji; jest ona ciemnym pasemkiem zabarwiającym promienność. Ta promienność, której służą jedynie jest cień, jest przemożną emocją, którą otrzymujemy z tego obrazu. Odczuwamy ją jako zadowolenie, jako radość; przyjmujemy ją jako rodzaj prawdy, której nie moglibyśmy otrzymać w żadnej innej postaci ani przez żaden inny środek. Albo weźmy te wiersze Tomasza Hardy³⁾:

3) Thomas Hardy (1840-1928), poeta i pisarz angielski.

*No more will now rate I
The common rare,
The midnight drizzle dew,
The gray hour golden,
The wind a yearning cry,
The faulty fair,
Things dreamt, of comelier hue
Than things beholden!*

(Nie będę więcej uważał pospolitego za niezwykle, deszczu co mży o północy za rosę, szarej godziny za złotą, wiatru za jęk tęsknienia, niedoskonałej za piękną, tego o czym śniłem za ładniejsze barwę niż to co widziałem!)

Nastrój jest nastrojem rozczarowania, pojęcia są przenicowane, aby ukazać że nie ma w nich prawdy. Ale czytelnik nie odbiera z tego rozczarowania więcej niż potrzeba do uwydatnienia i ucieśnienia emocji poetyckiej: doznaje on nie rozczarowania, ale rozradowania.

Podkreśliłem mocniej to miejsce, bo jest rzeczą zasadniczą w każdej dyskusji o poezji, żeby istniała zgoda co do naszych własnych reakcji. I bez wątpienia muszę jasno stwierdzić, że nie przyjmuję za możliwą jednakowej reakcji wszystkich na jakiś dany wiersz; można jednak przyjąć pewien wspólny czynnik w reakcji na wiersz wszystkich pojedynczych czytelników, dla których wiersz ten ma jakieś znaczenie. Ten wspólny czynnik — zerwijmy z ostrożnością, spalmy mosty za sobą i nazwijmy go zadowoleniem. Zadowolenie, zdaje sobie z tego sprawę, wydaje się dziś przestarzałym i niewystarczającym słowem na opisanie skutków poezji. Wiem, że psycholodzy wściekają się strasznie, jeśli złapią kogoś na mówieniu o emocji estetycznej. Mogę tylko wymamrotać w obronie własnej, że kiedy wiersz mnie wzrusza, to emocja, którą czuję, wydaje się inna od każdej innej ludzkiej emocji; lecz jeśli psycholog woli mówić o tym jako o przyprowadzeniu «jednostronnego, anormalnego, lub niebezpiecznego stanu świadomości do równowagi», to trudno mi wysuwać zastrzeżenia. I niewątpliwie byłoby szaleństwem z mojej strony ignorować wybitne osiągnięcia dokonane przez Junga, przez I. A. Richards'a i Miss Maud Bodkin na polu analizy obrazu poetyckiego i naszych reakcji na poezję. Ale musimy się wystrzegać tendencji do utożsamiania wiersza z elementami psychicznymi, które każdy poszczególny czytelnik nań wypromieniuje...

Czym jest więc ten tajemniczy proces, za pomocą którego obrazy stwarzają rozkosz? Mr. Middleton Murry powiedział: «staraj się być precyzyjny, a musisz być metaforyczny»; i znów w swym cennym essay'u o metaforze: «czego żądamy przede wszystkim, to by podobieństwo było prawdziwym podobieństwem i by dotychczas leżało niepostrzeżone albo tylko rzadko spostrzegane przez nas, tak że dociera do nas wywierając wrażenie objawienia». Od tego przynajmniej można zacząć. Precy-

zja i objawienie: precyzja poety oczywiście. Nikt nie będzie twierdził, że nawet tak fizycznie dokładny opis, jaki dał Tennyson, kiedy ujrzał

*Unloved, the sunflower, shining fair,
Ray round with flames her disk of seed,*

(jak, niekochany, słonecznik, jasno błyszczący, otacza płomieniami swój nasienny dysk,)

jest precyzyjny z punktu widzenia botanika, równie jak mało dokładny byłby opis botaniki z punktu widzenia poety. Odtworzenie przez poetę zawiera zarówno przedmiot jak i wrażenia zmysłowe łączące go z tym przedmiotem, zarówno fakty jak i ton przeżycia; wtedy kiedy przedmiot i wrażenie, szczęśliwie połączone przez niego, wydadzą na świat obraz, w którym widać podobieństwo do nich obu, to wtedy coś «dociera do nas wywierając wrażenie objawienia».

T. E. Hulme miał niewątpliwie rację na tym punkcie. Możemy się z nim nie zgadzać że w poezji «głównym celem jest dokładny, precyzyjny i określony opis»; jest to jedno z tych krytycznych uogólnień, które są raczej zbawienne niż prawdziwe. Ale o wiele chętniej zgodzimy się, że «działalność twórcza artysty jest konieczna tylko ze względu na ograniczenia narzucone percepcji zewnętrznej i wewnętrznej przez konieczność działania». Zwykły śmiertelnik innymi słowy, jest zbyt zajęty na to, by widzieć jasno albo patrzeć głęboko; jego percepcja jest zamglona przez kłopoty. Zadaniem poety — powiedział Hulme — jest «widzieć rzeczy takimi jakimi są rzeczywiście»; i musi on wyćwiczyć w sobie «skupiony stan umysłu, panowanie nad sobą, które jest niezbędne w rzeczywistym wyrażaniu tego, co się widzi». Poezja «wybiera świeże określenia i świeże przenośnie nie tyle dlatego, że są nowe... ale dlatego, że stare przestają przekazywać nam jakiegokolwiek fizyczne znaczenie i stają się abstrakcyjnymi żetonami».

Tylko wtedy gdy mamy zastosowane te świeże przenośnie i określenia, otrzymujemy to żywe przekonanie, stanowiące czysto estetyczną emocję, którą można otrzymać z obrazów.

Ale czy jesteśmy naprawdę pewni, że to precyzja jest głównym celem, nawet tam, gdzie tylko chodzi o obrazy poetyckie, albo że to w pierwszym rzędzie świeżość i precyzja obrazów dają nam estetyczne przekonanie albo objawienie, zadowolenie poetyckie?

Precyzja nie jest wszystkim, może nawet nie jest rzeczą najważniejszą, jeśli chodzi o dziedzinę obrazów poetyckich. Niewątpliwie, poeta musi «widzieć rzeczy takimi jakimi są na prawdę», ale nic nie *jest* naprawdę odosobnione, czyste i samowystarczalne; rzeczywistość zawiera stosunek, a skoro tylko

mamy stosunek, mamy — jeśli chodzi o istoty ludzkie — emocje; tak że poeta nie może widzieć rzeczy takimi jakimi są naprawdę, nie może być precyzyjny w stosunku do nich, o ile nie jest jednocześnie precyzyjny co do uczuć, które go z nimi łączą. Właśnie ta potrzeba wyrażania stosunku między rzeczami i stosunku między rzeczami a uczuciami zmusza poetę do przenośni; i ta sama potrzeba, moim zdaniem, żąda, żeby wewnątrz wiersza obrazy były połączone przez jakąś wewnętrzną konieczność, silniejszą niż zwykła tendencja słów do grupowania się we wzorce.

Podkreśliłem ten raczej oczywisty punkt z dwóch powodów. Po pierwsze — tak jak zawsze, istnieje niebezpieczeństwo, że w omawianiu jednego aspektu poezji zbyt go izolujemy i powiększamy, tak samo istnieje tendencja do uważania pewnych obrazów w wierszu za światła przewodnie (którymi są), ale niezależne od reszty i autonomiczne, zamiast by widzieć w nich gwiazdy pierwszej wielkości w konstelacji rządzonej prawami, które nie są jedynie ich własne. Po drugie, właśnie przez ten stosunek i współzależność obrazów osiągniemy odpowiedź na nasze pytanie: «dlaczego przenośnia i porównanie tak nas podniecają?»

Nie tracąc tego śladu, wróćmy jednak trochę z powrotem. Przenośnia, naszym zdaniem, była początkiem wiedzy, najwcześniejszą metodą naukową.

Herbert Read, omawiając poszukiwanie przez poetę «absolutnej precyzji języka i myśli» — precyzji, która żąda, by «przekroczył on granice zwyczajnej wypowiedzi, a więc by *wynajdywał*» — odesłał nas do Vico:

Poezja... jest czołową działalnością umysłu ludzkiego. Człowiek, zanim jeszcze osiągnął stadium tworzenia pojęć ogólnych, tworzy pojęcia obrazowe. Nim jeszcze zastanawia się jasnym umysłem, pojmuje niejasno zmysłami; zanim potrafi artykułować — śpiewa; zanim przemawia prozą, przemawia wierszem; zanim używa terminów technicznych, używa przenośni, a przenośne użycie słów jest dla niego tak naturalne jak to, które nazywamy «naturalnym».

Gdybyśmy logicznie kontynuowali to twierdzenie, to mogłoby ono doprowadzić nas do stanowiska, zajętego przez Peacocka i atakowanego przez Shelley'a w jego *Defency of Poetry*, że poezja skazana jest na pochłonięcie przez naukę. Gdyby wyobraźnia była tylko namiastką wiedzy, gdyby przenośnia nie była niczym więcej niż tylko prymitywną formą metody naukowej, wtedy zrobilibyśmy najlepiej, przestając pisać i czytać poezję i osiadając w laboratoriach. Na razie, mając w pamięci zdanie Vico: «nim jeszcze zastanawia się jasnym umysłem, pojmuje niejasno zmysłami», porównajmy je z poniższym wyjątkiem z Coleridge'a:

...wszystkie płody władz czysto refleksyjnych zaznały

śmierci i były jako gałązki trzeszczące i laborośle w zimie, w które jakiś korzeń, do którego jeszcze nie dotarłem, miał wprowadzić soki, jeśli miały one udzielić mej duszy pożywienia lub schronienia.

Czy te soki nie są życiodajną zasadą, która dla poety daje liście i kwiaty drzewu świadomości, ożywiając namiętnością abstrakcje myślowe, tak, że prawda, jak tego domagał się Wordsworth, zostanie «zanieciona żywcem przez namiętność do serca».

W tej kwestii prawdy nie zamierzam ustąpić ani na cal. Prawdę poetycką — «nie indywidualną i lokalną, ale ogólną i skuteczną», brzmi definicja Wordswortha — musimy przyjąć jako niezbędną część poetyckiego zadowolenia i jako jego punkt szczytowy. Nie da się ona sprawdzić jak prawda naukowa. Nie ma możliwości sprawdzenia tego co powiedział Wilfred Owen⁴:

*Mine ancient scars shall not be glorified
Nor my titanic tears, the seas, be dried.*

(Moje starodawne blizny nie okryją się chwałą, ani me tży tytaniczne, — morza — nie wyschną)

Moglibyśmy udać się zaopatrzeni w lornetę polową i podrećnik ornitologii na morza, gdzie, jak śpiewał Shelley

The halcyons brood around the foamless isles.

(Zimorodki mnożą się wokół wysp niespienionych).

Ale nie udowodniłoby to prawdy tego wiersza, gdybyśmy zauważyli tam całe kolonie rozmnażających się zimorodków, ani nie pomniejszyłoby to jego prawdy, gdybyśmy nie znaleźli ani jednego zimorodka, a bardzo dużo piany. Oceniamy prawdę poetycką, ponieważ jest «skuteczna», ponieważ działa na nas skutecznie, powodując ten rodzaj zadowolenia, który w sensie kantowskim jest przedłużeniem życia. Nie wystarczy powiedzieć, że poezja przywraca równowagę naszych zainteresowań duchowych, że jest ona sztuką, która czyni nas szczęśliwymi, choć to ciągle jeszcze jest najlepsza rzecz, jaką można powiedzieć o sztuce lub w obronie sztuki. Musimy się również zapytać, jak ona tego dokonuje i jak w ciągu wieków przekonała ludzkość o tym znaczeniu przedłużenia życia, które nazywamy prawdą poetycką. Wiemy, że to się zdarza fizycznie. Poezja przekonuje nas o swej prawdzie równie nieodparcie jak kobieta głosem i spojrzeniem przekonuje mężczyznę, że jest on naprawdę kochany... ale co jest tym dotknięciem serca, które jakby przez przekroczenie głównego kontaktu, oświetla całe drogi i budynki doświadczenia, niedostatecznie naszkicowane na mapie, pobieżnie zwiedzane, tylko niewyraźnie pojęte przez nas przedtem?

«Wyobraźnię», oświadczył Keats, «można porównać do snu

⁴ Wilfred Owen (1893-1918), jeden z prekursorów nowoczesnej poezji angielskiej.

Adama — obudził się i zobaczył, że jest ona prawdą». A potem mamy Blake'a: «Wszystko w co można wierzyć jest obrazem prawdy». Te wyroczne oświadczenia uzupełniają się nawzajem; są to również oświadczenia ekstremistyczne. Keatsowi udało się poddać nam cały skomplikowany akt tworzenia poetyckiego w pojedynczym obrazie. Zobaczmy, jak wiele ten obraz mówi. Mówi on, że wyobraźnia jest zdolna do przyjmowania, że pracuje nieświadomie, nie zdając sobie sprawy z tego, że w jej snach i z jej substancji tworzy się prawda... Ten aforyzm (Blake'a), jeśli zastanowimy się nad nim dość ściśle, pomaga nam, jak mi się wydaje, w rozwiązaniu problemu wiary w poezję; sięga on głębiej niż «zawieszenie niewiary» Coleridge'a i jest z pewnością bardziej pozytywny. «Wszystko w co można wierzyć» — to znaczy wszystko o czym poezja może nas przekonać mocą swojej namiętności — «jest obrazem prawdy», ponieważ prawda jest w tej namiętności. Przekonania intelektualne muszą ulec zawieszeniu, po to, by inny, lecz nie mniej aktualny rodzaj wiary, mógł na ten okres czasu posiadać nasze umysły. W poezji, jak już powiedziałem, nie może być innych sprzeczności jak tylko te, które pochodzą z niekonsekwencji artystycznej, z niezgodności obrazu z tematem. Dla poety «o wszystkim co jest prawdziwe, odwrotność jest także prawdziwa»; może on nazwać księżyc wierną panią i niestałą dziewczką, może powiedzieć jednym tchem «odi et amo» i od razu znajdujemy się w świecie, gdzie sprzeczności znikają, stopione w jedno przez namiętność, z którą zostały odczute, wzór, w którym połączone są między sobą.

Ten poetycki świat jest oczywiście światem sztucznym. Lecz ma on dla nas znaczenie o tyle, o ile jakikolwiek dany wiersz na mocy wzorca swych obrazów, odpowiada wzorcowi tego, co nazywamy światem rzeczywistym. Przenośnia jest środkiem, za pomocą którego czytelnik poznaje te odpowiedniki. Lecz dokonuje ona jeszcze więcej: obraz poetycki — i do tego punktu zmierzał cały mój dowód — mówi nam, że w «rzeczywistym świecie» istnieje również wzorec.

«Gdyby wrota percepcji zostały oczyszczone», powiedział Blake, «wszystko wydawałoby się człowiekowi takim jakie jest, nieskończonym»... Osobiście nie posunąłbym się tak daleko jak Hulme i nie twierdziłbym, że, według romantyków, «w najmniejszej części piękna mamy całkowitą intuicję całego świata». Nawet Blake nie odważyłby się twierdzić, że wrota percepcji u śmiertelników dadzą się kiedykolwiek oczyścić tak dalece. Ale słowa Hulme'a byłyby sprawiedliwym streszczeniem poglądu romantyków, gdybyśmy zmienili je na «w najmniejszej części piękna mamy częściową intuicję całego świata». Jest rzeczą podstawową, byśmy się zdecydowali czy wierzymy, że jest to słuszne, jeśli chodzi o obrazy w każdym rodzaju poezji, czy też wierzymy, że przenośnia posiada więcej niż jedną podstawową działalność. Moim zdaniem jest to słuszne dla wszystkich obrazów o tyle, że każdy obraz odzwierciedla nie tylko jakiś przed-

miot, ale przedmiot w kontekście przeżycia, a więc przedmiot jako część pokrewieństwa. Ponieważ pokrewieństwo leży w samej naturze przenośni, więc jeśli wierzymy, że wszechświat jest ciałem, w którym wszyscy ludzie i wszystkie rzeczy są «wzajemnie członkami względem siebie», to musimy się zgodzić, że przenośnia daje «częściową intuicję całego świata». Każdy obraz poetycki, gotów jestem twierdzić, objawiając jasno minimalną część tego ciała, każe nam myśleć o jego nieskończonym rozmiarze.

Pozostawiając to chwilowo na boku, zbliżmy się do naszego tematu z innej strony. Klasyczny pogląd na poezję różni się od nowoczesnego, jak nam zazwyczaj mówią, pod dwoma względami. Uważa on wiersz za naśladownictwo lub kopię życia, a nie w pierwszym rzędzie za jego interpretację lub odtworzenie; poezja jest dla niego przewodnikiem i podniętą do czynu. Niewątpliwie w praktyce tego rodzaju rozróżnienia są dowolne; poezja klasyczna zazębia się z nowoczesną w tak wielu punktach, że podzielenie ich na dwa światy jest tworzeniem sztucznej schizmy.

Z tym wszystkim istnieją pewne pożyteczne rozróżnienia. Nie możemy udawać, że Ben Jonson miał na myśli cokolwiek innego niż to, co powiedział, nazywając poezję «słodką i szlachetną filozofią, która nas wiedzie naprzód i prowadzi za rękę do czynu». Ani nie możemy udawać, że nie nazywa on poezji rodzajem naśladowczego zmyślenia, kiedy mówi, że poeta «zmyśla i tworzy bajkę i pisze rzeczy podobne prawdziwie».

Poza poezją dydaktyczną, gdzie zresztą poziom przenośni jest zwykle płytki, trudno nam wyobrazić sobie, jak poezja może nas skłonić do czynu. Możemy się zgodzić, że «Sejanus» tegoż Ben Jonsona, czytany inteligentnie w latach trzydziestych tego stulecia przez niektórych polityków angielskich, mógłby być zmienić ich stosunek do dyktatorów i może nawet w ten pośredni sposób doprowadzić do jakiejś akcji z ich strony. Lecz jaką akcję chciałby Jonson, żebyśmy przedsięwzięli na mocy jego wierszy lirycznych?

Wielkie mity wychowawcze, które od najwcześniejszych czasów krok za krokiem wyciągały człowieka naprzód z jego zwierzęcości, zamieniając na pożyteczny prąd potwornie wysokie napięcie, którego bał się w całym życiu wokół siebie, ujarzmiając oporną ziemię i niebezpieczne duchy przez opanowanie ich w wyobraźni, popierając religię dla rządzenia przesądem; następnie przemawiając przekonująco do człowieka o dobrym i złym, uosabiając walkę jego własnego podzielonego serca, uprawiając jego pustynię krok za krokiem i znów jeszcze raz zdobywając utraconą ziemię — te mity były poezją w czynie. Lecz dziś są one martwe. Są martwe, ponieważ dokonawszy swego ewolucyjnego zadania, nie były już potrzebne... Tak więc mity poetyckie są martwe i obraz poetycki, który jest mitem jednostki, panuje zamiast nich.

Panuje on nad zmniejszonym królestwem, bo poezja ustąpiła

wiele ze swego zakresu nowszym sztukom i naukom. Lecz nikt nie zaprzecza mu prawa do sukcesji. Mit poetycki stworzony został przez świadomość kolektywną; obraz poetycki powraca do tej wiadomości po sankcji. To nie tylko to, że wciąż znajdujemy w obrazach nowoczesnej poezji formy i impulsy wywodzące się z mitów; ale sama natura obrazu — w poezji i w jej aspekcie metaforycznym — wywołuje tę świadomość; jak gdyby człowiek, nawet gdy czuje się najbardziej indywidualny, szukał wciąż emocjonalnego zapewnienia w poczuciu wspólnoty, nie tylko wspólnoty ze swymi bliźni, ale ze wszystkim co żyje w wszechświecie i ze zmarłymi.

Bo co ostatecznie mówi nam poezja? Mówi ona, że jeśli zabijamy ptaka, raniemy samych siebie — prawda, którą poznał Stary Żeglarz⁵⁾. Ta prawda zjawia się nam jak początkowy obraz «The Dynasts» zjawił się Tomaszowi Hardy, zapisany w jego notesie tymi słowami:

Ukażać rodzaj ludzki jako jedną wielką siatkę albo tkaninę, która drga wszędzie gdy zostanie potrząśnięta w jednym punkcie, jak sieć pająka przy dotknięciu.

Jest ona tym, co George Herbert⁶⁾ wyraził w terminologii prymitywnej jeszcze nauki:

*Man is all symmetry,
Full of proportions, one limb to another,
And all to all the world besides:
Each part may call the furthest, brother:
For head with foot hath private amity,
And both with moons and tides.*

(Człowiek jest cały symetrią, pełen proporcji, jeden członek w stosunku do drugiego, i ponadto cały w stosunku do całego świata, każda część może nazywać drugą najbardziej oddaloną bratem, bo związek prywatnej przyjaźni łączy głowę ze stopą, a te obie z fazami księżyca i przyptywem morza).

A pamiętamy powiedzenie Housmana: «Funkcją poezji jest harmonizować smutek świata». W tym słowie «harmonizować» mamy ogień, łączące klasyczny i nowoczesny pogląd na poezję — klasyczny, który sądzi, że powinna ona zmieniać rzeczy straszne w przyjemne; nowoczesny, który widzi w niej przyjemie tego, co straszne, jako części wzorca.

Herbert, Hardy i Housman czuli się zmuszeni do mówienia o tym wzorcu w obrazach: sieć pająka, ciało ludzkie. Jest to sposób mówienia właściwy poetom i żaden poeta nie ma po-

⁵⁾ Bohater poematu Coleridge'a (przełożonego na polski przez Kasprzycza), który musi pokutować za to, że zabił na morzu albatrosa, który za-wierzył ludziom i schronił się na ich statku.

⁶⁾ George Herbert (1593-1633), poeta religijny, uczeń Donne'a, należący do tak zwanych poetów metafizycznych.

trzeby usprawiedliwiać się z niego. Obrazy są nieuchwytny; unikają one monotonnych kordonów z taką łatwością, że możemy osiągnąć lepsze wyniki posyłając obraz, by schwycił inny obraz... Istnieje bardzo znamienna waga i jednomyślność dowodów, zarówno w poezji jak w pracach krytycznych angielskich poetów, że prawda poezji pochodzi z percepcji jedności znajdującej się na dnie wszystkich zjawisk i łączącej je, i że zadaniem poezji jest ustawicznie odkrywanie za pomocą jej zdolności obrazowania i tworzenia przenośni, nowych pokrewieństw wewnątrz tego wzorca, oraz ponowne odkrywanie i odnawianie starych. Ponieważ wzorzec zmienia się stale, żaden obraz poetycki nie osiąga nigdy bezwzględnej prawdy; ponieważ rozciąga się on w nieskończoność, poeta zawsze ma poczucie «czegoś co się ma ciągle jeszcze zdarzyć». Możemy to nazwać złudzeniem jeśli chcemy, ale nie wolno nam uważać tego tylko za romantyczne złudzenie... Dowodziłem przez cały czas, że obraz poetycki, uskrzydlać le wyższe loty i szukając połączeń w świetle namiętnego przeżycia, objawia prawdę i sprawia, że jest ona do przyjęcia dla nas. Zdaję sobie sprawę, że to twierdzenie jest narażone na poważny zarzut. Jaki mamy dowód, że namiętne odtworzenia poezji odpowiadają w ogóle istocie rzeczywistości? Nie mamy oczywiście żadnego dowodu: po prostu czujemy, że tak jest; potykamy się o kamień i czujemy ból w stopie i wierzymy, że to był rzeczywisty kamień. Nowoczesny niedowiarek w poezję może przyznać, że jej obrazy były kiedyś pożyteczne, bo dawały wskazówki i przybliżenia co do prawdy, kiedy nie było jeszcze metody naukowej, aby sprawdzić odkrycia naszych zmysłów; ale teraz — wnioskuje on — kiedy mamy instrumenty meteorologiczne, po co to całe gadanie o nadzwyczajnym zmyśle pogody u wieśniaka? Odpowiedź na to musi brzmieć, że istnieją takie rzeczy jak prawdy nie do sprawdzenia, i że to właśnie ten element nie do sprawdzenia w poezji zawiera w sobie przekonanie o prawdzie. Niewątpliwie możemy wziąć obraz: *Brightness falls from the air, Queens have died young and fair* (Jasność opada z powietrza. Były królowe które umarły młode i piękne) i możemy wydostać od historyków potwierdzenie, że drugi wiersz jest historycznie dokładny, a od meteorologów zapewnienie, że kiedy słońce zachodzi to rzeczywiście robi się ciemno; i całe to stwierdzanie nie sprawi, że powyższy obraz stanie się dla nas choć jeden cal bardziej przekonujący.

Pomiędzy *Brightness falls from the air* a *Queens have died young and fair* istnieje próżnia racjonalna. Ale iskra skacze poprzez tę przepaść i ta iskra nie gaśnie, ale świeci dalej, tak że smutek wieczoru i smutek przedwczesnej śmierci oświetlają się nawzajem, a to światło rozciąga się poza nie i dociera częściowo do samego bytowania człowieka. Nie tylko te dwa obrazy związane są czymś co ośmieliłbym się nazwać «logiką emocjonalną»; ich części składowe — pojęcia na przykład jasności, opadania i powietrza — znalazły się w związku, z którego każde z nich korzysta i do którego (tj. do pełnego obrazu) każde

się przyczynia, tak jak każdy pełny obraz przyczynia się do wiersza jako całości i korzysta z niego.

Taki jest wzorzec poezji, wzorzec który daje nam zadowolenie, ponieważ zaspakaja on tęsknotę człowieka do ładu i do pełności. Pod zadowoleniem, które otrzymujemy z muzyki słów, ze zmysłowych asocjacji porównania i przenośni, jest głębsze zadowolenie rozpoznania pokrewieństwa. Zostało ono nazwane percepcją podobnego w niepodobnym — to nadaje się bardzo dobrze; ale ta percepcja nie powodowałaby zadowolenia, gdyby umysł ludzki nie pragnął znaleźć ładu w świecie zewnętrznym i gdyby świat ten nie posiadał ładu dla zaspokojenia tego pragnienia i gdyby poezja nie mogła przeniknąć do tego ładu i dać nam jego obraz szczegół za szczegółem. Obraz poetycki jest umysłem człowieka pretendującym do pokrewieństwa ze wszystkim co żyje lub żyło i udawadniającym słuszność swych żądań. Dokonując tego, ustanawia on również przez każdą przenośnię pokrewieństwo między zewnętrznymi przedmiotami. Przenośnia — musimy zdać sobie z tego sprawę — jest pokrewieństwem trojakim. Gdy Ben Jonson nazwał lilię «rośliną i kwiatem światła», to powiedział nam po pierwsze coś o liliach, a po drugie coś o świetle; ale również powiedział to nam w taki sposób, że nasze własne doznanie lilii, jeśli ten obraz dotrze do nas, wzbogaci się. Ta przenośnia jest tak zgęszczona, że trzy rzeczy — znaczenie jakie światło daje lilii, znaczenie jakie lilia daje światłu i znaczenie stosunku lilii i światła dla każdego czytelnika w kontekście wiersza — są splecione nierozłącznie w jedno.

Zadaniem poety jest również rozpoznać wzorzec gdziekolwiek go widzi i stworzyć ze swych percepcji formę poetycką, która przekona nas o ich prawdzie przez swą nagłą doniosłość i wewnętrzną spoistość. Znalazł się on na świecie, moglibyśmy powiedzieć, aby nieść świadectwo zasadzie miłości, bo miłość nadaje się równie dobrze jak każde inne słowo, by nazwać to ludzkie wyciągnięcie rąk do ciepła we wszystkich rzeczach, które jest źródłem i namiętnością jego pieśni. Miłość jest dla niego przede wszystkim tym, ale też czymś więcej; pojmuję on ją jako rodzaj konieczności, wiążącej razem wszystkie rzeczy, a w której gdyby można było dostrzec cały wzorzec, ich sprzeczności okazałyby się pogodzone. Starałem się sam to powiedzieć... Ale może nie należy się o to starać. Może należy zadowolić się tym, że zasada sama się wynurzy z tego tańca słów, w którym życie i sztuka, twory rzeczywistości i wyobraźni, są tak subtelnie splecione ze sobą, że nawet poeta zaledwie może je odróżnić:

*O chestnut tree, great rooted blossomer,
Are you the leaf, the blossom or the bole?
O body swayed to music, O brightening glance,
How can we know the dancer from the dance?*

W. B. Yeats.

(D.c.n.). — Z upoważnienia autora tłumaczył AV.

Do Erez Izrael

W tym najstarszym kibucu doliny Emek wstał dziś świetlisty dzień. Szybko spożywam śniadanie i idę szukać najstarszego członka kibucu, chawera (towarzysza) Lawi.

Tow. Lawi — jest to szacowną pozostałość drugiej Aliji (drugiego przyływu do Palestyny, który miał miejsce po rewolucji rosyjskiej 1905 r.).

Jest to jeden z czołowych ludzi tej aliji, jeden z inicjatorów zbiorowego osadnictwa, delegat na zjazd w US, człowiek wyżywany pracą, twardy twardością pierwszych pionierów. „Pan i pańscy przyjaciele” — pisał w liście do posła Gallachera i jego liberalnych prosjonistycznych przyjaciół — „będą wygłaszać dźwięczne przemowy, na które pies kulawy nie będzie zwracać uwagi” (26).

Lawi ma wprawdzie „tylko” 56 lat, ale ludzie tamtych pierwszych aliji są do cna wyżywani pracą.

Dowiaduję się jednak, że Lawi, aczkolwiek wczoraj wieczorem późno przyjechał z Tel-Aviv z jakiegoś posiedzenia, dzisiaj pracuje w polu jak i inni, że na dzisiaj przydzielono mu zbieranie pomarańczy.

Gaje pomarańczowe są jednak daleko, próbuję więc znaleźć go w domu. Otwiera matka, staruszka zgrzybiała. Ze starczego języka, w którym nie mogę rozpoznać ani iddysz ani hebrajskiego, wybija się, żarzy się jedno słowo:

— *Avoda...*

Rozumiem to święte słowo — „Praca”.

Syn jest w pracy.

Brnę więc tłustym pyłem osiedla przez aleję cyprysów, przemierzam zaproszone kurzem gaje oliwne, za którymi dopiero rozpoczną się ogrody pomarańczowe.

Z sadów biegnie wzrok na Dolinę Emeku. Widać wieś Izrael, w której leżała winnica Nowota Jezraelczyka, na którą skuśił się Achab, król izraelski. Jezabel, jego żona, za pomocą fałszywych świadków spowodowała więc ukamienowanie Nowota.

Bóg może by się specjalnie na te praktyki nie obruszył, ale miał z Achabem na pieńku, bo Achab nie uśmiercił wziętego w swoim czasie do niewoli króla syryjskiego, czego Jehowa z reguły bardzo nie pochwalał. A nadto Achab zaglądał do

konkurencji i dopuścił rzeczy bardzo obrzydłych „chodząc za bałwanami” (I Król. XXI, 26). Tedy postanawia Bóg: „Odej-
mę potomki twe i wytrę z domu Achabowego aż do najmniejszego szczenięcia” (I Król. XXI, 23), a również Jezabelę „psy zjedzą” (I Król. XXI, 23).

Ponieważ jednak Achab skamlał bardzo i prosił się, więc Bóg zdecydował: „Nie przywiodę tego złego za dni jego; ale za dni syna jego przywiodę” (I Król. XXI, 29).

Jakieś trzy kariatydy kibucowe wskazują mi daleko w ogrodach pracującą sylwetkę. To — Lawi.

— Przyszli pana do mnie? — upewnia się po hebrajsku ilustrując gestami treść, bo widzi, że nie rozumiem — dobrze, niech pan poczeka, dokończę napełniać ten worek.

Lawi pochodzi wprawdzie z Polski, gdzie nazywał się Lewkowicz, ale przyjechał do Palestyny przed 37 laty jako dwiętnastoletni chłopak, języka polskiego zapomniał, jeśli go kiedy znał i nazywa się obecnie Lawi, co znaczy po hebrajsku Lew.

Myszę z przykrością, że rozmowa przez tłumacza musi być z natury rzeczy wywiadem nieco formalnym, ale wywiadu nie zaniecham za nic w świecie, bo już tych uczestników drugiej aliji coraz mniej.

Alija ta odbywała się w warunkach nie wiele lepszych, niż pierwsza.

Alija Druga (1906-1909) jest to też alija rosyjska, kiedy po stłumieniu rosyjskiej rewolucji, w której inteligencja żydowska brała aktywny udział, fala pogromów, rozpętych pogromem kiszyniowskim, rozlała się po kraju. Jeśli wierzyć źródłom żydowskim, które ze względów propagandowych zwykły w relacjach o pogromach przesadzać, pogromy w 600 miejscowościach Rosji dotknęły 37.000 rodzin, dały 937 zabitych i 1.190 rannych (221). A ponieważ pierwszy z tych pogromów, kiszyniowski, liczył 45 zabitych i 586 rannych, więc już z samego tego zestawienia, dającego przeciętną trzech ofiar na pogrom (a odbywały się one przede wszystkim po dużych miastach) widzimy, że pogromy te nie tylko nie miały kosmicznego nasilenia drugiej wojny, ale i były o wiele mniejsze, niż pogromy po pierwszej wojnie, które miały pochłonąć 150.000 ofiar i spowodowały 3 alije. Ale ta ich powszechność, ta groza, którą wieściły, wytworzyły atmosferę nie do wytrzymania. Żydostwo, przerobione przez pracę sjonizmu, nie było już w tej mierze bierną masą jak ta, która dała się wyrzynać w 1882 r., dała się jeszcze zaskoczyć w kiszyniowskim pogromie opiewanym przez Bialikę z piekącym uczuciem poniżenia i upokorzenia. Poległo 132 członków samoobrony żydowskiej. Była to jednak akcja słaba, stawiająca pierwsze kroki po dwóch tysiącach lat.

„Dowiedziawszy się, że w Żytomierzu jest pogrom” — pisze żydowski historyk Bubnow — „czternastu śmiałych żydowskich młodzieńców z sąsiedniego Czudnowa, uzbroiwszy się w rewol-

wery ruszyło na pomoc. Po drodze na stacji Trojanowo tłum rzucił się na nich i zabił dziesięciu. „Czternastu śmiałych młodzieńców” nie dało ani jednego strzału!

Straszne to czasy, kiedy nienawiść otacza, a sjonizm — po śmierci Herzla, po upadku charteryzmu, po rozbiciu na tle Ugandy, po powstaniu terytorializmu — zdawało się, że się skończył jak kolejna chimera, których tyle zapalało się w dziejach na niebie żydowskim.

Bialik z rozpaczą, myśląc o bezsile współbraci, wykrzykiwał:

Cóż ci do nich? Pozostaw ich, powstań i biegnij w stepy, daleko. Tam wreszcie pozwól sobie na szloch i bij głową o kamienie. I rwij sobie włosy spalając się w bezsilnym gniewie, płacz, wyj jak zwierz. (41).

I wtedy — jak przez tyle stuleci — pozostawione sobie doły ludowe chroniły się za „ogrodzenie Zakonu”, chroniły się w obyczaj domowy.

W takim otoczeniu wzrastał w małym błotnistym miasteczku Polski chawer Lawi, syn ubogiego talmudysty, który ubocznie i z musu był piekarzem.

Do zamkniętego w chederze pejsatego chłopca sjonizm przyszedł samorzutnie, nie propagowany, nie organizowany — przyszedł wraz z religią. Czytając *Tanach*, wrażliwy chłopak od-
twarzał sobie krajobraz Ziemi Obiecanej i pytał siebie, jak pytał poeta Czernichowski:

*Mówią — jest kraj...
Kraj, słońcem przeszycony...
Gdzie jest ten kraj?
Gdzie jest to słońce?*

*Mówią: jest kraj.
Jego filarów jest siedem
Siedem planet rozbłyska
Na każdym jego pagórku.*

*Kraj, w którym wszystko się urzeczywistnia
Czegokolwiek kto się spodziewa.*

Mali chłopcy, odrywając się w chwilach nieuwagi mełameda od mechanicznego wywrzaskiwania tekstów, pytali siebie:

- Jak wygląda oliwka?
- Na jakich to takich wielbłądach jeździli Amalekici?
- Czy istotnie Ziemia Obiecana wciąż istnieje?
- Czy wciąż jest krajem, w którym urzeczywistnia się każde marzenie?

I wtedy — pod poły chałatów zlatuje gdzieś od kogoś otrzymany *Judenstaat* Herzla. I zaraz potem — *Wieczny Naród* Smolenskina, jak oni ucznia jeszybotu, wydalonego za to, że

począł się uczyć języka gojów. I pisania Jehudy Lejb Gordona pełne marzeń o pracy w Erez Izrael.

Uczniowie jeszybotu — o zgrozo! — zamknawszy święte księgi, nadal starają się używać sakralnego języka. Hebrajski na ulicy! Gabbonim (starszyzna) Płońska karca młodzież: „Jeżeli sam Bóg nie zbuduje domu żydowskiego, to budowniczymi będą budowali fałszywie.”

Nie budować domu, kiedy ten stary w golusie wali się na głowę belkami poniżenia? To otoczenie, które oddycha wzgardą... Te okrzyki „Dreyfus!” za małymi jeszybotnikami (sprawa jego jest właśnie wznowiona).

W dzieciennych głowach powstaje plan: „Uciekać!...” Uciekać, ale nie w jakieś „stepy daleko” Bialika, tylko do krainy szczęśliwości Mojżesza i Herzla.

Chłopak w tajemnicy uczy się piekarstwa u parobka zatrudnionego u ojca. Stary Lewkowicz, dowiedziawszy się, robi mu skandal. Żyd, który się poniża pracą ręczną! „Wykonują wolę Boga, inni za nich robić będą ich pracę”. (50). On jest biedny Żyd, a czy widzieli kiedy, żeby zamiesił ciasto?

„Dla Żyda było jedno tylko: targ, albo „klaus” (izba studiów religijnych), handel albo „rabbanuth” (skostniałe rabiniczne studia). Tora jest „najlepszym towarem”. Żyd powinien albo odsiadywać ławę bethamidraszu, albo siedzieć w sklepiu, żydówka — czekać na szatchena (swata). Wszystkie narody świata to — goje. Żydzi tylko są ludźmi, goje ludźmi nie są. Czyż ich mózg mógłby się nadawać do delikatnego rozważania „zlachu” (komentarze talmudyczne)? Ci synowie Edomu zniszczyliby żydów, gdyby nie „sztadlanim” (pośrednicy wobec rządu). Ale dzień triumfu Izraela nadejdzie — tylko bezbożnicy go opóźniają.” (105).

O winogrona, o migdały, o oliwki marzone w błotnistym Płońsku!...

— Az der worm sitzt in chrein, dacht sich im, az es iz gornisht besseres do of der welt (robak, który siedzi w chrzanie, myśli, że już nie lepszego nie ma na świecie) — burzą się zbuntowani jeszybotnicy.

Zmówił się z innym smarkaczem, że pojada. Tamten skradł 300 rubli rodzicom i znikł sam. Bacność rodziców wzmogła się w całym miasteczku. Małemu Lewi udało się ukraść ojcu 30 rubli, ale się wydało. Matka odtąd wodzi za synem nieustępliwym wzrokiem, budzi się na każdy szelest.

Płyną dni, płyną miesiące. Wyrostek już dobiega dziewiętnastu lat, czas go żenić.

„Kto wyprzedza i pojmuje żonę, mając lat trzynaście, jest to chwalebne — głosi kodeks Szulchon-Aruch — ale w żadnym razie niech nie czeka z ożenkiem po 20 latach. A kto już w tym wieku nie chce pojąć żony, sąd zmusza go do tego, aby w ten sposób wypełnił przykazania o płodzeniu i rozmnażaniu”.

Wtedy na zawsze zapadnie się miraż Ziemi Obiecanej, wtedy już na zawsze zostanie w błocie małomiasteczkowej uliczki,

na którą w słocie jesiennych wieczorów mżną mdłym światłem lampek naftowych nędzne żydowskie sklepiki.

*Sitzt sich a Krämer in Krämer.
Der hunderster Krämer in Gass
Er sitzt un er wart oif a Koine
In droisen is finster un nas.*

(żargonowa pieśń ludowa: „Siedzi sklepikarz w sklepiu, setny sklepikarz na tej samej uliczce, Siedzi i czeka na kupującego; na uliczce jest ciemno i wilgotno”).

Chłopak ucieka z dziesięciu rublami (5 dolarów), zładował w worek dwie poduszki, chałat jedwabny oraz dwa codzienne, czwarty chałat wziął na siebie. Wybrał dzień wtorkowy, bo we wtorki odbywał się jarmark i matka z kosztami pieczywa siedziała na placu. Chapt di fis oif di pleices — wziął nogi za pas, przekradł się zaułkami do fury żydowskiej idącej do Warszawy, fury krytej budą płócienną naciągniętą na łąkach. Wbił się pod budę...

Niemylne serce matczyne przeczuło... Biegła z rynku, straszna w swojej rozpacz, z przekrzywioną peruką. Dopadła wozu. Niemylnym czuciem suki szarpać poczęła płótno budy w miejscu, gdzie był schowany. Uczępiła się jego rękawa. Wtajemniczony woźnica zaciął konie. Biegła, trzymając się kurczowo rękawa: wrzask straszny; zawođenje orientalne poruszyło miasteczko. Chabety walone batem poczęły galopować. Padła w błoto traktu w rozrzucone obwarzanki.

— Szloma...

Długi czas szło za nim to jedno w rozpacz krzyczane słowo, imię znikającego syna, za które czeptała się w oszalałej rozpacz. I potem... Aż do chwili, kiedy ją sprowadził z ziemi przeklętej, ziemi komór gazowych.

Warszawa. Nie widział nigdy nic po za sennym Płońskiem. Szum miasta wydał mu się szumem kosmosu, tak odległego, że aż nie wrogięgo. W obojętności żywiołów, w potwornej kurza- wie rozbitych światów, w skupie cyklonu stojącego między niebem i ziemią wytechęł najponikiejszy zapach matczynych precli, zmierzchł, znikł, zczeczł, nie był najszerszy choćby cień jej przytulnego koszyka, on, talmudysta Lewkowicz z Płońska jest niesiony przez niepojętą Niagarę i tylko czarne poły chałata fruwają bezradnie, jak bezradnie czeapiają się próżni ręce człowieka lecącego w przepaść.

Wymienił więc chałaty na cywilne ubranko. Szedł — kusy — śmieszny — pół nagi, strzepując rękami po odsłoniętych udach, jak kura, której odcięto skrzydła. Wpakował się z poduszką, jedynym pozostałym aktywem — do pociągu idącego do portu w Odessie.

W Odesie sprzedaje za cztery ruble poduszkę, ale ze środka — na przejazd do Konstantynopola jest krucho. Obija się po porcie, proponuje łapówkę za wzięcie na gapę, ale rośli ma-

rynarze szydzą z mizeroty, z jego mizernych ofiar i obojętnie odchodzą do szynków **As der ureman gejt tancen — gehen die klezmer pisen** (kiedy biedak idzie w tan, to grajkowie wychodzą za swoją potrzebą).

Wreszcie przeszwarcowuje się jakimś towarowcem.

— To już nocować nie masz gdzie, nie? — zabrzmiał, jak chór anielski ciepły rodzimy iddysz, kiedy bezradny stał w porcie, potrącany przez robotników w fezach.

Nowy opiekun prowadzi go do swego mieszkania na Galacie.

W oknach Galaty i we drzwiach stoją nagie rozpustnice, nęcąc gości. Cóż za szok potworny dla dziesiętnastoletniego wyrostka o rozbudzonej chorobliwie wyobraźni w chederze, w którym każą zastanawiać się i dyskutować, co ma robić „mąż, który by cierpiał płynienie nasienia”, a z drugiej strony straszą kobietą, jako źródłem nieczystości. Przecież nie widział nigdy włosów matki swojej, przykrytych peruką.

„Człowiek powinien oddalać się od kobiet i to bardzo. I nie wolno dawać znak w kobiecie i nie wolno bawić się z nią i nie wolno mrugać do niej oczami i nie wolno być wobec niej niepoważnym i nie wolno patrzeć na jej piękno i nawet nie wolno wąchać jej perfum i nie wolno patrzeć na kobiety piorące bieliznę i nie wolno oglądać sukien kolorowych kobiety, którą on zna, jeśli nawet ona ich nie ma na sobie, ponieważ przez to może on zacząć myśleć o niej. Jeżeli spotkał kobietę na rynku, nie wolno mu chodzić z tyłu za nią — ale biegnie i ma ją z boku lub za sobą. Nie wolno mu przechodzić w bramę prostytutki i nawet w obrębie czterech stóp od niej. A kto się patrzy tylko na mały palec kobiety w zamiarze by z niej skorzystać — to tak jakby się patrzył na jej srom. I nie wolno słuchać głosu kobiety niedozwolonej lub widzieć jej włosy. A kto ma te zamiary, podlega chłości”.

(„**Tor Ewen Ha-Ezer** — Prawa Płodzenia. Z rozdziału 21).

Chłopak opuszcza oczy na zapluta ulicę, gdzie pośród kup śmiecia leżą zdechłe psy.

— Wchodź — mówi towarzysz.

W oknach domu, do którego go wpycha, siedzą również nagie, rozczochrane rozpustnice...

— Nu, ja tu mieszkam. Co stanąłeś, jak głupi? U mnie nocuje kilku takich, co jadą z Palestyny.

Brudnymi schodami wchodzą na piętro.

W mieszkaniu, które cechuje prawie zupełny brak mebli, czterech obdartusów gra na skrzyni zatłuszczonymi kartami. Straszliwe żargonowe przekleństwa nie schodzą z ich ust.

— Gdzieś są ci z Palestyny?

Na ten głos gracze oderwali się na chwilę od gry:

— Do Palestyny jedzie?...

— Jeszcze jeden głupi...

— Meszuga! (wariat).

Wrócili do gry. Przypada do nich — co tam w Palestynie?

— Odczep się, głuptaku — kładzie kartę jeden.

— **Gut is fun a chazer a hoor** (dobrze jest świni wyrwać i jeden włos) — bije lewę drugi.

Ale, znużywszy się grą, poszli obejrzeć amatora Palestyny. Sami oni uciekli przed poborem w czasie wojny rospjsko-japońskiej i teraz wracają do Rosji.

Wracają! Dobrowolnie wracają! Z wymarzonej Palestyny... A czy w niej nie spotkali takich to a takich z Płońską?

Nie, nie spotkali. Spotkali natomiast „harare” (swędzonkę), malarię i papadacz (rodzaj grypy palestyńskiej o odrębnym przebiegu).

— To nieprawda — wybucha, otrzymał list od kolegi, który zarabia trzy bisziki (sześć piastrow) dziennie.

Drwiący śmiech spotyka obwieszczenie o tej wspaniałej płacy.

Wtedy, czepiając się ostatniego argumentu, walcząc w obronę marzenia, woła, że oni tam codziennie jedzą chleb z oliwkami. Z oliwkami! **Zaitim!** Z oliwkami, które dziecinne marzenia malowały jako rajski owoc!...

Obdartusy wybuchają śmiechem.

Rajski owoc! Chodź, pokażemy ci ten rajski owoc.

Na dole w sklepiu stoi beczka z czarnymi oliwkami. To mają być **zaitim**?

Rozgryza oliwkę — gorycz i cierpkość przenikają usta i duszę.

Flawiusz pisze, że w Judei miały być owoce, podobne z barwy i kształtu do jadalnych, które jednak po zerwaniu rozsypywały się w proch i popiół. (22).

Czyż tak nie miało być z owymi dwoma biszlikami zarobku? Chłopak kupił oliwki i żuł. Żuł i starał się przyzwyczaić.

W Konstantynopolu dali mu Żydzi jakąś pożyczkę. Znowu dostał się na handlowiec, który do Palestyny jechał trzy tygodnie, objechał porty połowy morza Śródziemnego. Rozpaloną sjonistyczną drobinę otacza jakiś inny obcy świat, z tamtym gojskim, polskim światem, acz niepojętym, miało się wskazania postępowania ukute przez tradycje. Ale jak sobie poradzić z tymi Turkami, Grekami, Arabami, a, po prawdzie mówiąc — i z Żydami szefardyjskimi? Rosłe chłopcy — tragarze w Salonikach, pośród których przechowuje się dotąd kult false-mesjasza, Sabbataja Zwi, kiwają brodatymi gębami i mówią do przybysza wspólnej krwi:

— Szma Izrael!

Rodzina szefardyjska weszła na pokład, mówią: Szalom.

I trzecie słowo — mit: :

Jeruszalaim!

Ale przybysz chce się wyrwać z kręgu symbolów. Rodzina szefardyjska pielgrzymuje do grobu rebbi Mirona w świętym mieście Safard w górach Galilei. Ale on chce coś wiedzieć o żywych ludziach i żywym kraju. W miarę zbliżania się do tego

żywego kraju, pobożność coraz bardziej z niego spada i ręce pećniejają żądzą pracy.

Aż wreszcie, po osiemnastu dniach jazdy, zabłąkitniał przed nim Bejrut.

Góry Libanonu na horyzoncie! Jaffe!... O jakże pięknie!... To stąd król Salomon brał cedry od króla Hirama, który miłował ojca jego Dawida po wszystkie dni (I Król. V, 1.). O wrota do Palestyny! Jabajaj ar!... Jakże tu cudownie! Wysiada na brzeg, czego dla braku pieniędzy w żadnym porcie dotąd nie czynił, stanawszy na ziemi mówi psalmy, choć religia opadła z niego wraz z chałatem.

Idzie, jak zaczarowany, z grupką takichże emigrantów ku amfiteatrowi gór spiętronych winnicami nad zatoką.

I znowu:

— Myszugoi!...

To grupka Żydów miejscowych, gdzie ich nie ma. Stoją i śmieją się z głuptasów, którym zdaje się, że dojdą do gór, że te góry — ręką podać. Stoją i śmieją się z głuptasów, którzy nie wyceniają odległości, nie mają miary przestrzeni, czasu, wagi, pieniądza.

Ależ tak... i pieniądza. W tej grupie Żydów miejscowych jest jeden farmer z Palestyny. Cóż wy tam zarobicie? On płaci Arabom biszlika dziennie, a Żyd nie wyżyje za mniej niż trzy biszliki, więc żaden farmer nie da pracy Żydowi, bo by zbankrutował.

A więc tak oto z psalmów, z symbolów, z tych zawołań „Szma Izrael” i „Szalom” i „Jeruszałaim”, z oparów załgania i propagandy, z mirażów „Altneuland” wyłania się ta realna, ta istotna, ta rzeczywista Palestyna!

„Kraj, w którym wszystko się urzeczywistnia, czegokolwiek kto się spodziewa”... Kłamstwo! Ta Palestyna — to jest ten sam wyzysk, ten sam rozbój, ta sama pogoń za groszem, co i w golusie.

Lawi rzuca się na ziemię, wije się:

— Nie stanie naszymi rękami Palestyna! Herzl też na nas patrzył tylko jak na bydlę robocze! Worki złota!... Worki złota!... Worki złota!...

Inni są zszokowani tym wybuchem, podnoszą go. W milczeniu wracają do portu. Ogromna kula słońca tonie w morzu. Jest krwawo i groźnie. To już ostatni przejazd.

Umówili się z przewoźnikami Arabami za pośrednictwem miejscowego Żyda, że zapłacą po pięć piastrow za przewóz. Odbiwszy, stojąc między lądem a okrętem, Arabowie wraz z Żydem — oszustem żądają po dwadzieścia pięć piastrow. Kiedy już statek daje drugi gwizdek, zmuszeni są zapłacić po dziesięć piastrow.

Żyd ich oszukał u wrót do Ziemi Świętej! Lawi nie zmrzyży oka przez całą noc. Tyleż walki z niewiarą, tyleż ofiar, by u kresu go nawiedziło zwątpienie. „Wejrzyś, Panie, bom ci utracony, wnętrzności moje strwożone są, wywróciło się serce

moje we mnie przeto żem był bardzo oporny” (Jerem. 1, 20).

O świecie — zarysował się brzeg! Wygięty przez parapet, chłonie widok Tej, o której marzył.

Jaffa — Joppe! Tędy szły na świątynię cedry libańskie, stąd uciekał Jonasz przed przeznaczeniem swoim, jako i on, mały wiary człowiek, zawahał się wczoraj w przeznaczeniu swoim.

I począł powtarzać sobie prorocstwo Jonaszowe:

„Gdy ustawała we mnie dusza moja wspomniałem na Pana” (II, 8).

„Ale ja z głosem dziękczynienia ofiarować Ci będę, com ślubował, spełnię; od Pana jest obfite wybawienie” (II, 10).

„I rozkazał Pan onej rybce, aby rzuciła Jonasz na brzeg” (II, 11).

Obdrapany towarowiec wyrzucił przyszłego lidera robotniczego na brzeg Ziemi Obiecanej.

Łatwiej jednak wylądować było Jonaszowi z rybiego brzucha. Znowuż w pół drogi do brzegu arabscy wioślarze zatrzymują łódź i żądają po 10 rubli od osoby, zamiast po rublu jak się umówili. Zgnębieni Żydzi milczą, wioślarze przyskakują, grożąc wrzuceniem do wody, dwie godziny trwają targi, Żydzi poczynają wymiotować, są zmuszeni zapłacić po cztery ruble.

W porcie znowuż muszą się wykupywać tureckim urzędnikom, płacąc po trzy ruble. Promienny Erez Izrael — to ziemia w obcej niewoli, a oni pierwsze kroki poczynają jak w golusie przekupując, prosząc, kłaniając się.

Idą do „Mami” — gospody. Stary, żyłasty Żyd — farmer z 1-ej aliji, który zdarł na ten kraj młodość swoją, który wierzy w Ugandę, który uwierzyłby w piekło, byle wydostać się z tej Ziemi Przeklętej, wysysającej szpik z kości — rzuca się na nich z pięściami. Żyłasty, wypalony pracą i słońcem starzec, widząc tych młodzianków wrzuconych przez sjonizm w piec ognisty, szamle bezzebnymi ustami:

— Precz z Erez Izrael...

Młody kolonista się zlitował:

— Nie traćcie odwagi, skoroście już przyjechali. Dostaniecie pracę. Idźcie przede wszystkim do Petah-Tikwy.

Ta nazwa najstarszej kolonii żydowskiej, założonej w 1878, oznacza — „Szpara Nadziei”.

Może się wślizgnąć do „Altneuland” tą szparą?

Zładowali nędzne manatki na wózek ciągniony przez osiołka i pobrnęli piaszczystymi bezdrożami. Przeżywali wstrząs duchowy, jak tyłu przed nimi i tyłu po nich. „Jak z ciężkiego snu budziliśmy się i otrząsali z brudu golusowego. Znowu nogi nasze wstępowały na te wzgórza, znowu odkrywaliśmy dalekie horyzonty, a uszy nasze łowiły odgłos kroków Mesjasza” — pisał jeden z takich, Zwi-Szac.

Piaszczysto i dziko i pusto było w on czas pod Jaffą.

Nie zważając na wzruszanie ramion kolegów, przybysz wstę-

pował na wzgórze piaszczyste, usypane niegdyś jeszcze rękami żołnierzy Napoleona. Wdrapując się na to nędzne wzgórze, modlił się słowami, kończącymi pięcioksiąg Mojżesza:

„Tedy wstąpił Mojżesz z onych równin Moabskich na górę Nebo, na wierzch pagórka, który jest naprzeciwko Jerychu; a ukazał mu Pan wszystką ziemię od Galaad aż do Dan. I wszystką ziemię Neftalimową i ziemię Efraimową i Manasesową i wszystką ziemię Judeową aż do morza ostatniego. I stronę południową i doliny Jerycha, miasta osadzonego palmami, aż do Segor”.

„Tedy mu rzekł Pan: Tać jest ziemia, o którą przysięgł Abrahamowi, Izaakowi i Jakóbowi, mówiąc: Nasieniu Twemu dam ją”.

Chłopak z Płońska z nasienia Lewi, znów ją obejmował w posiadanie. Oczom jego wynurzyły się nie ziemie Efraimowe i Manasesowe, jeno dziki ponury krajobraz z kleconymi z gliny wsiami arabskimi na horyzoncie.

Kroki kolegów zamilkły. Pod miedzianym niebem zachodzącego słońca modlił się do tej ziemi, żeby nie umarł z głodu, żeby mu dali pracę. Nigdy tak żarliwie się nie modlił.

Głos mu się załamuje, tłumaczka milczy spłoszona. Stary człowiek wyblakłym wzrokiem patrzy w młodość.

Melchior WAŃKOWICZ.

„What man dost thou dig it
for?”

(Hamlet).

— *«Jeśli ma Polska pójść nie drogą mleczną
W cało-ludzkości gromnym huraganie,
Jeżeli ma być nie demokratyczną,
To niech pod carem na wieki zostanie!»*

— *«Jeśli mi Polska ma być anarchiczną,
Lub socjalizmu rozwinąć pytanie,
To już ja wolę tę pansławistyczną,
Co pod Moskałem na wieki zostanie!»*

*Tu oba dłońmi uderzą w kolana,
Aż się poruszył stół, za stołem ściana,
Aż się oberwał z gwoździem krzyż gipsowy
I padł jak śniegu garść . . .*

Koniec rozmowy.

C. K. NORWID.

Dwa światy

Mieszkaliśmy w dzielnicy nowoczesnych domów. Stały one równymi, mocnymi prostokątami, lśniły w słońcu bielą murów i jaśniały ogromnymi oknami. Były wszystkie zdumiewająco do siebie podobne. Trudno też było żyć się z nimi, oswoić z ich monotonnym wyglądem. Przez jakiś czas próbowaliśmy na przekór logice, a także i na przekór domom tym, doszukiwać się w nich drobnych chociaż, nieznaczących cech, które mogłyby wyróżnić je od siebie, określić ich indywidualności. Grę tę jednak przegrywaliśmy z reguły. Dlatego też, znudziliśmy się dosyć szybko tymi bezowocnymi próbami, daliśmy za wygraną i właściwie przestaliśmy się nimi interesować. Wiedzieliśmy tylko, że po prostu były i że były nieznosnie do siebie podobne.

W mieście tym, położonym daleko na południe, domy wyróżniały się także i tym, że życiu mieszkańców ich dostarczały tylko częściowej zasłony. Ciepłe, upalne czasami wieczory i noce, wyskrzzone słońcem dnie wyciągały ludzi na balkony i ulice, narzucały im inny, bardziej publiczny tryb życia, sprzyjały rozrastaniu się wspólnoty codziennego obcowania. Życie wylewało się poza domy i może nawet wbrew im, wiązało i zbliżało do siebie ludzi.

W konsekwencji, jednym z pierwszych i najoczywistej narzucających się nam zajęć, po sprowadzeniu się do tej dzielnicy, było obserwowanie życia naszych sąsiadów. Stanowiło to zresztą dostojne i szanowane długoletnim zwyczajem prawo, czy obowiązek każdego mieszkańca owego miasta, któremu — mam wrażenie — poddawali się oni wszyscy z należytym zamilowaniem, czasami, nieukrywaną pasją. My — ten nieunikniony obowiązek — przyjęliśmy z właściwym szacunkiem.

Po krótkim stosunkowo czasie wiedzieliśmy też już bardzo dużo o osobach, mieszkających w najbliższym otoczeniu.

Od razu jednak wśród obserwowanych osób rozróżniliśmy kilka odmiennych kategorii. Kategorie te klasyfikowaliśmy według stopnia w jakim osoby te miały lub chciały mieć (rozróżnienie to było już bardzo subtelne i tylko długa, drobiazgowa obserwacja dostarczyć mogła potrzebnych elementów do ustalenia owego rozróżnienia) życie swe ukryte lub zamaskowane. Zresztą klasyfikacje te nie były sztywne.

Zdarzało się dosyć często, że już zaklasyfikowane osoby prze-

suwały się z jednej kategorii do drugiej, że stopień ich zamaskowania ulegał z niewiadomych dla nas i bliżej nieokreślonych przyczyn radykalnej zmianie.

Najbardziej drastycznym przykładem pod tym względem była mieszkająca w domu naprzeciwko nas, na trzecim piętrze, niedużego wzrostu, zasuszona panienka, o ogromnej, rozwichrzonej czuprynie rudawych włosów. Miała małą, bladą twarzyczkę, pokrytą drobnymi piegami i jakieś dziwne, prawie że prostopadłe brwi. Całymi dniami była zupełnie niewidoczna, zapomniało się najzupełniej o jej istnieniu, tylko czasami, bardzo rzadko ukazywała się jej blada, smutna twarzyczka w oknie i wówczas stwierdzić można było prawie nieomylnie, jak dalece pogrążona była w jakimś bolesnym zamyśleniu, oderwaniu od otoczenia i jak jej brązowe oczy spod prostopadłych brwi, patrząc na ulicę, nic na niej nie dostrzegały.

Nie wiedzieliśmy o niej nic absolutnie. Nigdy najdrobniejszym gestem, oznaką ożywienia lub zainteresowania nie dała nam podstawy do snucia takich czy innych przypuszczeń. Ilekrotnie ją widzieliśmy, zawsze, jej mała twarzyczka z prostopadłymi brwiami, w chmurze rudawych włosów tkwiła w jakimś zastygłym późnie, w jakimś apatycznym, zamyślonym bezruchu.

I nagle, któregoś dnia nastąpiła zmiana. Moja żona, która zajęta gospodarstwem, czas cały prawie spędzać musiała w domu, stwierdziła, że „ruda” — tak ją bowiem nazywaliśmy — przesiedziała cały dzień w oknie, kilka razy nawet ukazała się na balkonie. W następne dni było to samo.

— Wyrzucili ją na pewno z biura — stwierdziłem po kilku dniach stanowczo.

W jakiś czas potem okazało się jednak, jak dalece przypuszczenie moje było błędne i niczym nieuzasadnione. Przesunięcie się rudej z jednej kategorii do drugiej było wywołane przyczynami całkiem innego rzędu, chociaż równie banalnymi. Ruda po prostu się zakochała.

Z punktu widzenia rudej był to niewątpliwie ewenement. Rozwichrzone włosy doprowadzone zostały do jakiegoś skomplikowanego porządku, blada twarzyczka zarumieniła się, brązowe oczy spoglądały z zainteresowaniem na ulicę, ukazały się nie widziane dotychczas sukienki. Tylko jej prostopadłe brwi tkwiły nadal w swym niemym bezruchu, nadając całej twarzy wyraz wiecznego zdumienia.

Ruda kochała się w młodym, zawsze uśmiechniętym synu rzeźnika. Nazywał się Alberto, mówiono o nim, że jest bardzo bogaty i że ma zainteresowania intelektualne. Zawsze też, na ladzie, tuż przy nim, wśród odpadków i kawałów krwawego mięsa leżała jakaś książka. Kiedyś, zaciekawiony, zajrzałem poprzez ladę by zobaczyć co czyta — było to ostatnie wydanie pamiętników Ciano.

Uśmiechnięty Alberto ukazywał się często na ulicy — roznosił bowiem zamówienia do domów. Ruda całymi godzinami wypatrywała swego ukochanego i jak tylko dojrzała go na

rogu ulicy, zbiegała szybko po schodach, doganiała go i wtedy przez kilka minut jej mała twarzyczka rumieniała się w zachwycie i przelatywały po niej szybkie, nieśmiałe, drobne uśmiechy, jak fale.

Wypadek rudej stał się w jakiś czas potem niezmiernie ciekawym fenomenem. Ł kilka miesięcy później stanęliśmy bowiem ponownie wobec konieczności powtórnego jej przeklasyfikowania.

Ponowne przesunięcie się rudej do innej kategorii nastąpiło tym razem jednak w sposób o wiele mniej gwałtowny, jaskrawy, dostrzegalny. Tym razem robiło to wrażenie, jakby powolnego stopniowego zamierania jej niezamaskowanego życia. Sprawę jej ponownego zakwalifikowania komplikowało jeszcze dodatkowo i to, że od czasu do czasu jej niezamaskowane życie budziło się nieoczekiwanie, w gwałtownym podskoku jakby, w proście, na krótko — co prawda — na dzień, dwa najwyżej. W dnie te miała znowu twarzyczkę zarumienioną, barwne sukielki jaśniały w bezlitosnym słońcu i wybiegała naprzeciwko Alberto. Tylko w czasie rozmów z nim było coraz mniej jej drobnych, nieśmiałych uśmiechów.

Potem przychodziły okresy, kiedy nie widywaliśmy jej zupełnie, lub takie dnie, gdy mimo ukazującego się na ulicy Alberta, pozostawała w oknie, zatopiona w nawiedzającym ją teraz coraz częściej bezruchu, półśnie.

Męczyły nas wtedy niezdolne wahania i wątpliwości i naprawdę trudno było powziąć jakąś decyzję. Utrzymywałem — pamiętam wówczas — że Alberto z rudą się kłóca. Sprawę jednak ostatecznie i bezapelacyjnie wyjaśniła przypadkowo moja żona.

W rozmowie z ojcem Alberta, w czasie kupowania jakiejś polędwicy, nagle i niespodziewanie stary rzeźnik rozgniewał się. Oświadczył on że Alberto najniepotrzebniej na świecie zwraca sobie głowę tą panią — wie Pani — tą, która mieszka naprzeciwko Pani — na trzecim piętrze, że nigdy do żadnego małżeństwa z nią nie dopuści, że to przecież nie jest nic, że to żadna partia dla jego syna.

— Zakazałem mu widywać się z nią — powiedział — mój syn zawsze mnie słuchał, posłucha mnie także i teraz.

Stanowczość tonu starego rzeźnika była podobno bardzo przekonująca. Z drugiej zaś strony, młody, wiecznie uśmiechnięty Alberto nie budził w nas specjalnego zaufania, jeżeli chodzi o jego zdolności do oporu. Wydawało się więc rzeczą najzupełniej pewną, że płaszczyzna niezamaskowanego życia rudej zmniejszać się będzie stale, aż do chwili, gdy osiągnie ona swój pierwotny stan, prawie że całkowitej nicości.

W przypuszczeniach naszych nie myliliśmy się, wiele.

Widzieliśmy jeszcze wielokrotnie bladą twarzyczkę z prostopadłymi brwiami, ale wyraz oderwania, zastygłej, nieruchomej nieobecności ukazywał się na niej coraz częściej, powracał coraz uparciej. Niezamaskowane życie rudej zamierało na naszych oczach. Ile bolesnego cierpienia kryło się za tym jej wycofaniem,

ile smutku i rozczarowania towarzyszyło temu przeklasyfikowaniu — pozostanie dla nas zawsze niewiadome.

Wśród osób kategorii pierwszej, to jest tych, których życie było najbardziej widoczne, otwarte i dostrzegalne wyróżnialiśmy dwa zasadnicze typy — typ ludzi, u których za całą tą ogromną widocznością kryła się — mimo wszystko — jeszcze jakaś bliżej nieokreślona niewiadoma, życiu temu nadająca charakter pewnej zagadkowej, interesującej tajemniczości. Drugi typ — to byli osoby, u których wszystko było jak na dłoni, nieznośnie jasne i oczywiste, nużące monotonne.

Tą drugą kategorią osób przedstawialiśmy się interesować — rzecz jasna — po bardzo krótkim czasie. Staraliśmy się nie zwracać na nie uwagi, próbowaliśmy ich nie widzieć, postanawialiśmy ich po prostu nie dostrzegać. Od razu jednak okazało się, że zamiar ten był bardzo trudny do przeprowadzenia i że urzeczywistnianie jego było w pewnym sensie niezależne od naszej woli, leżało poniekąd poza jej granicami. I wtedy też, w zetknięciu się z tą kategorią osób — wyrosło przed nami w całej swej potężnej rozciągłości zjawisko — którego nie uświadamiłaliśmy sobie zupełnie uprzednio — zjawisko ich uporczywej, nieustannej obecności.

Jak dalece byliśmy wobec zjawiska tego bezradni — okazało się na przykładzie Adriany.

Adriana była służącą u otyłej, smutnej i jakby wiecznie zadowolonej, starszej pani, snującej się po mieszkaniu w brudnym, otłuszczonym szlafroku, koloru szaro-niebieskiego i w starych, oczapanych pantoflach. Czasami — a było to bardzo rzadko — gdy odwiedzali tę starą, smutną panią jacyś równie starzy i smutni ludzie, zmieniała szlafrok na inny, trochę mniej brudny i otłuszczony, tym razem koloru błado-żółtego. Pantofli jednak nie zmieniała. Pantofle, bez względu na mijanie dni, lecz zapewne dla tym dobitniejszego podkreślenia ich szarej monotoności — były zawsze te same dlatego też przezwaliliśmy ją z moją żoną pantoflem.

Stosunek Adriany do pantofla był zgoła niecodzienny.

Przez dosyć długi okres czasu byliśmy przekonani, że Adriana jest córką owej starszej, smutnej pani i to córką, narzucającą matce swą wolę w sposób raczej stanowczy i bezwzględny. W mieszkaniu bowiem istniała tylko Adriana. Starsza, smutna pani snuła się po mieszkaniu bezszelestnie, nieśmiało, nieomal że pokornie. Wielokrotnie też, widzieliśmy rozpartą, śmiejącą się Adrianę na balkonie i pantofla smutnie pochylonego nad garnkami w kuchni, wielokrotnie widzieliśmy zaleknięty wzrok starszej pani utkwiony w Adrianę i zniecierpliwione wzruszenie ramionami Adriany, jako jedyną odpowiedź na nieśmiało zadawane jakieś pytanie. Czasami, temu wzruszeniu ramion towarzyszył jeszcze szeroki, pewny siebie, lekko pogardliwy śmiech.

Sprawa owego niezrozumiałego stosunku pantofla do Adriany wyjaśniła się znacznie później, dopiero w okresie, gdy podję-

liśmy, jakże bezowocną i z góry skazaną na przegraną, walkę z Adrianą.

Adriana nie była ładna, rozumiem jednak, że mogła się podobać. Gdy patrzyło się na nią z pewnej odległości, poprzez ulice wyglądała bardzo pociągająco. Była niedużego wzrostu, bardzo zgrabna, miała mocne, proste, bardzo opalone nogi i dość wyraźnie zarysowujące się piersi. Twarz w obramowaniu kasztanowatych, wijących się w puklach włosów była dość pełna, a za zmysłowymi, szerokimi wargami lśły się zęby o przedziwnej, olśniewającej białości.

Z bliska Adriana wyglądała znacznie gorzej. Okazywało się bowiem, że usta były zbyt szerokie, co nadawało jej twarzy wyraz pewnej wyzywającej wulgarności, nos był gruby i bezkształtny, oczy zaś ginęły prawie że zupełnie za napuchniętymi powiekami. Poza tym oczy Adriany unikały na ogół spotkania z czymś wzrokiem i było w nich coś nieuchwytnie przebiegłego, zdradliwie chytrego.

Adriana dzień cały, a nawet późno w nocy była widoczna. Życie swe spędzała na balkonie, w oknie, na ulicy. Od samego rana rozbrzmiewał jej metaliczny, nieco krzykliwy głos, od rana toczyła rozmowy z balkonem, lub okna z sąsiadami, ludźmi mieszkającymi naprzeciwko, z przechodniakami.

Stara, smutna pani snuła się bezszelestnie po mieszkaniu, Adriana zaś wychylona po połowy na balkonie swym głośnym, metalicznym śmiechem napęniała ulicę.

Tak było codziennie i tak było przez cały dzień prawie.

Głównym ośrodkiem zainteresowania Adriany (tak samo zresztą jak wszystkich młodszych służących tej dzieńnicy) były koszary lotników, znajdujące się w gmachu sąsiadującym z naszym domem. Zainteresowanie to manifestowała ona w sposób nie budzący najmniejszych wątpliwości. Jakże często byliśmy świadkami jej niekończących się rozmów, prowadzonych nad naszymi głowami z lotnikami w koszarach, jakże często, błyskając białymi zębami zaczępiła z balkonu przechodzących żołnierzy, jakże często widzieliśmy ją wieczorami wtuloną w mniej oświetlone załamanie muru, w ramionach jakiegoś żołnierza. Znała też nieomal wszystkich lotników i do wszystkich ich usmiechała się zalotnie.

Stwierdziliśmy też po pewnym czasie, że w stosunkach między Adrianą i jej towarzyszkami a lotnikami zasada wyłączności nie obowiązywała zupełnie. Stosunki te robiły wrażenie gry, opartej na prawie dowolnego, przypadkowego i wydaje się nie-trwałego doboru. W konsekwencji, elementy współzawodnictwa, walki, zazdrości zostały zredukowane do rzeczy, o których się mówiło, lecz które w rzeczywistości żadnej roli nie odgrywały. Adriana w swych głośnych rozmowach z przyjaciółkami mówiła o nich z emfazą i zadowoleniem. Fakt, że Adriana do elementów tych przywiązywała wagę, że chciała je — na przekór oczywistości — wskrzesić, wprowadzić w rzeczywistość, nadać im

charakter pewnej stanowczej wartości, stanowił jej może jedyną sympatyczną cechę.

Adriana w swej romantycznej tendencji do fikcyjnego poszerzania rzeczywistości nie była jednak szczerą. Tylko tu i tylko w tej dziedzinie nie miała odwagi swych przekonań. Wstydyła się swego przywiązania do tego, co nazwać by można, romantyzmem. I dlatego, gdy mówiła o jakichś na pewno nieistniejących, a celowo wyimaginowanych objawach budzącej się zazdrości czarnego jak smoła lotnika Antonio, opowiadanie swe kończyła krótkim wybuchem pogardliwego śmiechu. Dlatego, dopatrując się współzawodnictwa ze strony ciemnej, koloru oliwki służącej Anny-Marii, podkreślała jak dalece obojętne jej było powodzenie tej ostatniej.

Adriana poza lotnikami interesowała się także, z niemniejszą pasją każdym, najdrobniejszym objawem życia na ulicy. Rozparta w oknie, całymi godzinami wymieniała kolejno ze swymi przyjaciółkami i znajomymi z naprzeciwka, z dołu, góry, lub na ulicy swe obserwacje, uwagi, komentarze, podawała świeżo zdobyte wiadomości, wypytывała się z akcentami nieukrywanej ciekawości o szczegóły jakiegoś wydarzenia, o przebieg jakiegoś zajścia. Adriana nie tylko żyła na ulicy, ale żyła ulicą. Była z nią zrośnięta nierozdzielnie i nieodwołalnie.

To zrośnięcie się Adriany z ulicą było logicznym uzupełnieniem jej wiecznej widoczności.

Na Adrianie, tak samo zresztą, jak na innych podobnych jej wypadkach sprawdzało się, wykryte przez nas w owym czasie, pewne prawo, wielokrotnie potem potwierdzone doświadczeniem. Prawo, które mówiło, że nieuniknioną niestety konsekwencją pewnej widoczności w życiu jest żywy, bezpośredni udział w tym życiu. Prawo to miało swój bezlitosny bieg, swój nieubłagany rozpęd, swe nieuniknione konsekwencje. Własna widoczność w życiu nie tylko zmuszała do udziału w tym życiu, lecz w dalszym rozwoju wytwarzała pasję szukania tejże widoczności i u innych. Adriana miała więc swój postulat.

Postulatem Adriany było domaganie się widoczności i od innych.

Nie chciałbym naprawdę być niesprawiedliwy w stosunku do Adriany, nie chciałbym by mnie posądzono kiedykolwiek o stronniczość i brak obiektywizmu. Mam wrażenie jednak, że Adriany nie uproszcilem, mam wrażenie, że mimo najlepszej woli, nie doszukałby się w niej nikt innych, bardziej skomplikowanych cech, że nie było w niej nic, poza opisanymi powyżej właściwościami charakteru. Adriana zamykała się w swej, jakże zrozumiałej pasji do czarnych, smagłych lotników i w swym postulatcie widoczności. Była jak na dłoni.

I na pewno wypadek Adriany nie obudziłby w nas żadnego specjalnego zainteresowania, gdyby nie to, że był tak niezmiernie charakterystyczny.

Jak powiedziałem powyżej, po zdaniu sobie sprawy z tego, czym Adriana była, staraliśmy się nią nie interesować, nie zwraca-

cać na nią uwagi, odgrodzić się od niej murem nic nie widzącej obojętności. Co nas bowiem mogły obchodzić jej banalne flirty z lotnikami i jej równie banalna ciekawość wydarzeń ulicznych?

Tymczasem stało się inaczej.

Adriana mimo nas i wbrew naszemu zdecydowanemu stanowisku wciągnęła nas w swe nieskomplikowane życie. Okazało się, że prawa, które rządziły jej życiem były silniejsze od naszego uporu, stanowczości, nawet dobrej woli. To jednak, że ze strony Adriany grozić mogło nam i naszemu otoczeniu niebezpieczeństwo uświadomiliśmy sobie dosyć późno i to w chwili, gdy już wypadki toczyć się zaczęły niezależnie od nas, jakby równoległe do nas.

Pierwszą wskazówką tego niebezpieczeństwa, wskazówką, która ukazała nam w całej pełni jak silnym i bezwzględny było u niej przywiązanie do postulatu widoczności — była historia jej ze studentem Alessandrem, mieszkającym na tym samym piętrze co ona, lecz w sąsiednim mieszkaniu.

Student ten należał niewątpliwie do tej kategorii osób, u których życie posiadało szeroko zakrojoną dostrzegalność, lecz gdzie za dostrzegalnością tą kryła się jakaś zagadkowa niewiadoma. Przyznać się muszę, że i my przez czas dłuższy z pewną dozą zaciekawienia obserwowaliśmy Alessandra.

Na pozór było to życie człowieka wesołego, łatwo i z przyjemnością rozmawiającego ze wszystkimi, interesującego się w miarę, bez przesady żadnej, otoczeniem. Z daleka Alessandro był przystojny. Miał może trochę zbyt długie, czarne, lśniące włosy, które — wydaje się — pielęgnował specjalnie, i które długo czesał codziennie, miał przyjemne, cienkie rysy i pogodny uśmiech. Ubrany był starannie, czysto, mimo upałów nosił zawsze krawat i nie zawijał nigdy rękawów od koszuli. Był zdaje się studentem filozofii, często widywało się go nad książkami, często w oknie, gdy wesoło rozmawiał z kolegami.

Na czym jednak polegała zagadkowość jego życia, gdzie tkwiła niewiadoma?

Tkwiła ona przede wszystkim (— bo najłatwiej się to dostrzeżało) w tym, co nazwać by można było — skokami. Na ogół zawsze uśmiechnięty i pogodny Alessandro, co pewien czas — a powtarzało się to dosyć regularnie — zmieniał się nie do poznania. Był to — jakby skok we własne zaprzeczenie. W dnie te, Alessandro zapadał w stan dziwnego odretwienia, apatii, zniechęcenia. W dnie takie, Alessandro nie odpowiadał na zadawane pytania, uciekał od ludzi, nie dostrzegał powitań i najczęściej, czas cały spędzał nieruchomo na łóżku, (widzieliśmy to najdokładniej z naszych okien) z rękami podsuniętymi pod głowę, ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt na suficie. Gdy koledzy i przyjaciele wołali na niego z ulicy — Alessandro nie ruszał się, nie wstawał z łóżka. Często bardzo, w dnie te zamykał dokładnie okiennice i pogrążał pokój i siebie w zupełnej ciemności.

Skoki Alessandra były niewątpliwie rzeczą interesującą, to

jednak, co nadawało im charakter owej zagadkowej tajemniczości — to był, jakiś bolesny grymas, który wówczas ukazywał mu się na twarzy. Czasami był to niepokój — niepokój człowieka zapędzonego w sytuację bez wyjścia. W owym bolesnym grymasie twarz Alessandra zmieniała się nie do poznania. Wydawało się też wtedy oczywiste, że Alessandro cierpi.

W swe pogodne dnie Alessandro dosyć często rozmawiał z Adrianą. Nonszalancko oparty o framugę okna, uśmiechał się do niej wesoło, żartował, może dokuczał niefrasobliwie i zalotnie. Adriana szczerzyła do niego swe olśniewająco białe zęby i wybuchała radosnym, metalicznym śmiechem.

Jakże trudno jednak powiedzieć czym był naprawdę Alessandro dla Adriany; może krótkim, zabawnym flirtem, tak jak wielu, wielu innych, może partnerem wesołych, dowcipnych rozmów, może kimś, który kiedyś ewentualnie zaprosi na kolację, zaprowadzi na dancing, lub do kina. Doprawdy, nie wiem.

Nam się jednak raczej wydawało, że Alessandro Adrianę irytuje. Irytuje, szczególnie owymi niezrozumiałymi skokami. W dnie te bowiem Alessandro na nawoływania Adriany nie odpowiadał, a jeżeli przypadkiem znalazł się przy oknie, odwracał się do niej plecami i znikał w głębi pokoju.

Któregoś dnia w swej głośnej, codziennej rozmowie z Anną-Marią, Adriana wybuchnęła gniewem na Alessandra. Okiennice pokoju Alessandra były szczelnie zamknięte i mam wrażenie, że nie mógł on słyszeć długiej litanii gniewnych, obraźliwych słów, złych i dokuczliwych uwag, rzucanych pod jego adresem, za te jego niezrozumiałe niegrzeczności, za brak wychowania, za głupie, nieuzasadnione humory. Wykrzyknikom tym towarzyszyły wymowne wzruszania ramionami i niemniej wymowna mimika, która odmalować miała całą pogardę Adriany dla podobnego postępowania. Widać było, że Adriana ze skokami Alessandra pogodzić się nie może. Nie mogła i nie chciała ich tolerować.

Ten cichy, ukryty konflikt przybrał któregoś dnia dosyć nieoczekiwany obrót.

Dnia tego, jak zwykle zresztą, Adriana wołała poprzez ulicę na Annę-Marię. W głosie jej jednak dostrzegłem tym razem, coś niecodziennie gwałtownego, niecierpliwie namiętnego. Zaciekawiony, zbliżyłem się do okna. Adriana stała oparta łokciami o poręcz balkonu i twarz jej drgała w radosnym podnieceniu. W chwilę potem, z balkonu pode mną odezwała się Anna-Maria:

— Anna-Maria, Anna-Maria — wołała przeciągle Adriana — słuchaj — mam ci coś do powiedzenia — coś ważnego — słuchaj.

Po ulicy z zagłuszającym wszystko hałasem przejechał samochód ciężarowy; Adriana pochyliła głowę i radośnie tupiała nogami.

— Słuchaj — Anna-Maria — byłem wczoraj z Alessandro, wczoraj, całą noc — u niego i wiem wszystko — wszystko. — Mocny, wesoły śmiech Adriany napełnił ulicę.

W tym też momencie, na chwilę, mgnienie oka ukazała się w oknie, blada, skrzywiona w bolesnym grymasie twarz Alessandra.

— No co — niecierpliwiła się hałaśliwie Anna-Maria.

Adriana wyciągnęła głowę i szczyrzyła zęby w jakimś niedbałym, zadowolonym uśmiechu.

— Wiem wszystko — wszystko — Alessandro jest chory — ma całe ciało pokryte wrzodami, ani kawałka zdrowej skóry — skóra mu pęka wszędzie — wszędzie.

Adriana znowu zatupała radośnie nogami.

— I to go boli — czasami bardzo boli.

Dnia tego pomyślałem — że nie wystarczy Adrianą irytować się — Adrianę należy się wystrzegać.

Było jednak już za późno.

Do owego, tak niepotrzebnego zetknięcia się z Adrianą doszło oczywiście z przyczyn najzupełniej niezależnych od nas. Myślę, że Adriana interesowała się i nami, lecz zainteresowanie jej nie wychodziło poza granice zwykłej, beznamietnej obserwacji. Zresztą, w życiu naszym nie było nic, co mogłoby przykuć jej uwagę, zaangażować jej pasję. Do konfliktu z Adrianą doszło dzięki Angeli.

Angela była u nas służącą. Pamiętam — że w chwili, kiedy ujrzelśmy ją po raz pierwszy, w chwili, gdy wchodziła do naszego mieszkania, przysłana z czyjegoś polecenia — uderzyła nas jej twarz, zamknięta w jakimś spokojnym skupieniu. Było to nawet coś więcej — wydawało się, że jej pełna, z lekka zaróżowiona twarz z dziwnie jasnymi, przezroczystymi, szklannymi jakby oczami — była zakuta w jednym, niezmiennym wyrazie. Wyrazie opanowanej, spokojnej obojętności, niewzruszonej, zastryglą martwoty. Pomyślałem wówczas, że wyraz taki daje przeżyte kiedyś, dawno, mocne i niezatarte cierpienie.

Angela była znakomitą służącą. Po mieszkaniu poruszała się bezszelestnie, sprawnie i szybko załatwiała wszystkie polecenia, zgadywała nasze myśli i życzenia. Po kilku dniach pobytu znała już nasze drobne przyzwyczajenia, niewinne, codzienne słabostki, skromne, uparte upodobania. Te nasze upodobania i słabostki były dla niej groźnym, potężnym prawem. W tej dziedzinie Angela nie uznawała zmian i robiła na mnie czasami wrażenie niepokojącego automatu.

Angela mówiła bardzo mało i prawie nigdy się nie uśmiechała; nie istniały dla niej kina, spacer, dancingi, rozmowy z ludźmi, flirty; miała jednak dwie pasje: psy i czytanie.

W wolnych chwilach, po skończonej pracy Angela zasiadała w kuchni na krześle i czytała — czytała lekkie, popularne romanse, zapominając o otoczeniu, o późnej godzinie w nocy, o wszystkim. Kiedyś wieczorem wszedłem przypadkowo do kuchni i przyznaję się — ogarnęło mnie zdumienie; na pochylonej nad książką, twarzą Angeli nie było owego kamiennego wyrazu spokojnego skupienia; wyraz ten znikł gdzieś, rozwiął się, roztopił;

na twarzy Angeli ukazała się niewidziana dotychczas radość i zachwyt.

Wydało mi się wtedy, że odkryłem prawdziwą Angelę. Angela z niewiadomych — to prawda — przyczyn zrezygnowała z udziału w życiu i potrzeby swej bogatej w uczucia natury zaspakajała fikcją; fikcją tą żyła. Może tą przeżywaną przez siebie głęboko i namiętnie fikcją pragnęła od życia się odgradzić, może w świat fikcji od życia uciekała?

Oczywiście Angela nie zwracała najmniejszej uwagi na Adrianę, tak samo zresztą jak na wszystkich innych. I to był zapewne jej błąd.

Na wszystkie próby Adrianę nawiązania znajomości Angela odpowiadała upartym milczeniem; widać było, że wejście w świat ten nie pociąga, nie zajmuje, że wolała swój świat fikcji. Na zaczepki i nawoływania Adrianę, Angela nie reagowała, gdy spotykała ją na ulicy, mijała ją, nawet jej nie dostrzegając, zamknięta w swej obojętności.

Raz jeden widziałem jak Adriana i Angela zetknęły się — jak to się mówi — oko w oko, na rogu ulicy; Adriana zaczęła od razu mówić coś szybko, żywo, gestykulując; Angela stała nieruchomo, po ustach jej przewijał się tylko jakiś odległy, nieuchwytny, obojętny uśmiech; wydało się mnie, że nic nie mówiła.

Jest jasne, że podobne zachowanie się Adrianę gniewało niepomniernie. Zmieniła więc taktykę.

Już nie zwracała się bezpośrednio do Angeli, lecz w swych długich, codziennych, słyszanych przez wszystkich rozmowach zaczęła mówić o niej, na początku z odcieniem tylko lekko wzgardliwej ironii i niechęci. Potem w rozmowach tych Angela wracać zaczęła coraz częściej. Z biegiem czasu i ton także zmieniać się zaczął coraz bardziej. Ze wzgardliwej niechęci przemieniał się w dokuczliwą, czasami gniewną zaczepliwość, stawał się coraz bardziej napastliwy, zajadły, obraźliwy.

Na jakieś dwa miesiące przed historią z Alessandrem, Angela słysząc urywki takiej rozmowy, niespodziewanie rozplakała się.

— Czego ona chce ode mnie — skarżyła się cicho, chowając głowę w ramionach.

— Nie rozumiem zupełnie — powiedziałem wówczas do mojej żony — dlaczego Angela nie wstąpi po prostu do klasztoru, przecież jest stworzona dla klasztoru.

Jakże nie rozumiałem jeszcze wtedy niebezpieczeństwa Adrianę.

Od sceny owego płaczu Angela zaczęła coraz bardziej zamykać się w sobie. I to był jej drugi błąd. Wydawało się bowiem, że jeszcze wtedy za cenę kilku ustępstw, takich czy innych poświęceń ze strony Angeli, można było znaleźć kompromis, zapobiec narastaniu konfliktu. Angela jednak, tak samo zresztą, jak i Adriana była bezkompromisowa. A może nie zdawała sobie sprawy ze wszystkich następstw swego postępowania, może nie rozumiała praw rządzących życiem Adrianę, może już zbyt

bolesne były dla niej wszystkie napaści Adriany? A może wiedziała, że Adriana i inni ludzie o niej zapomną, przestaną się nią interesować? Trudno na pytania te odpowiedzieć.

Angela w okresie tym nie zbliżała się do okna w kuchni, unikała wychodzenia na balkon, na ulicy przemykała się szybko, z pochyloną głową. I coraz więcej uciekała od ludzi, od rozmów z nimi. Jeszcze mniej mówiła i jeszcze więcej czytała.

Nie potrzebuję chyba dodawać jak w czasie tym losem Angeli się przejmowaliśmy, jak współczuliśmy w jej odosobnieniu i samotności. Co jednak mogliśmy zrobić, w czym jej pomóc, jak jej trudną sytuację naprawić?

Stan owego zamknięcia się Angeli trwał bez zmiany przez dwa, trzy miesiące. Wydawało się na pozór, że ten nierówny pojedynek, chwilowo przynajmniej, wygrany został przez Angelę. Ze swym uporem, stanowczością, zaparciem się siebie potrafiła wybudować mur, otoczyć się nim, odgradzić się od ludzi. Było to jednak tylko złudzenie.

W jakieś dwa tygodnie po zajęciu z Alessandrem, Angela wróciwszy od rzeźnika i wyjmując z papieru zakupione mięso wybuchnęła ponownie płaczem. Potem obróciwszy się do nas plecami, oparła głowę o ścianę i szlochała. Czuliśmy się z moją żoną całkowicie bezradni.

— Co się, stało, proszę powiedzieć — zadawałem niemądre pytania.

I wtedy Angela, nie odrywając głowy od muru, obrócona do nas plecami, między jednym szlochem a drugim, zaczęła mówić krótkimi, urywanyymi zdaniem:

— Co ja tej dziewczynie zrobiłam — czym jej przeszkadzam — czy tym, że nie latam jak ona za lotnikami — czy tym, że z nią nie rozmawiam — mało to ludzi na świecie — dzisiaj stary rzeźnik powiedział mi, że Adriana — że ludzie opowiadają, że byłam w więzieniu — w więzieniu — za kradzież — za kradzież — przecież to nieprawda — z psami tego nie ma — psy ludziom przykrości nie robią — teraz psy lubię coraz więcej.

Staliśmy z moją żoną w bezradnym milczeniu. Przez chwilę pomyślałem, że może trzeba Angeli powiedzieć o istnieniu pewnych bezlitosnych, nieubłaganych praw życia. Zaraz jednak wydało mi się, że byłoby to zbyt głupie i nietaktowne. Więc powiedziałem tylko:

— Najlepiej na Adrianę i wszystko to, co opowiada nie zwracać najmniejszej uwagi.

Wtedy Angela obróciła do mnie swą twarz zalaną łzami i rzuciła spokojnie:

— Wie pan — czasami nie wystarczy zawinąć się w płaszczu własnej godności.

— Tak jest, tak powiedziała Angela. Pamiętam to najdokładniej — czasami nie wystarcza zawinąć się w płaszczu własnej godności.

Tego dnia postanowiliśmy z moją żoną bronić Angeli za wszelką cenę. Po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że

najlepiej byłoby wybrać się do pantofla i przeprowadzić z nim to, co się nazywa rozmową zasadniczą. Trzeba było tylko oczekiwać momentu, kiedy Adriana nie będzie. Gdzieś, po kolacji żona moja dostrzegła roześmianą Adrianę u boku jakiegoś lotnika, oddalającą się w stronę kina. Wyszliśmy też natychmiast.

Na ulicy i na schodach tego nowoczesnego domu z naprzeciwka, który widzieliśmy tak często i w którym byliśmy po raz pierwszy, próbowaliśmy beładnie ustalić to, o czym mieliśmy zamiar mówić. W chwili jednak, gdy znaleźliśmy się w obecności pantofla wszystkie ułożone pytania i stanowcze żądania zapadły się gdzieś daleko, znikły bez śladu.

Stara, zatroskana pani, otwierając nam drzwi, podniosła brwi nad szarymi oczami w lekkim zdziwieniu.

— Ah to państwo — państwo mieszkają naprzeciwko, na czwartym piętrze — powiedziała.

— Tak jest — zabełkotałem — chcielibyśmy — to jest — czy można by z panią chwilę porozmawiać.

Zniszczone, stare pantofle poczłapały powoli, prowadząc nas do salonu. Tutaj też, wyprostowany i sztywny, siedząc na jakimś niewygodnym fotelu w pokrowcu, powiedziałem o co chodzi. Pamiętam — mówiłem ciężko, powoli, jękając się. Stara, zatroskana pani siedziała naprzeciwko mnie, bez ruchu, zaplótłszy swe grube, czerwone ręce na brudnym, szaro-niebieskim szlafroku.

Gdy skończyłem, nie podnosząc wzroku, zapytała krótko:

— Więc o co chodzi, czego państwo chcą, co mam zrobić?

— Chcielibyśmy właśnie poprosić, czy nie byłaby pani łaskawa wpłynąć na Adrianę.

Zatroskana pani w nagłym, niespodziewanym ruchu wstała z fotela. Jej zniszczone, wykrzywione pantofle zaczęły nerwowo po pokoju.

— Wpłynąć na Adrianę? — zapytała niespokojnie — ależ to nieporozumienie, bezmyślne nieporozumienie — to państwo nic nie wiedzą chyba.

Zatrzymała się na środku salonu, patrząc na nas swymi szarymi, dobrymi oczami.

— Ja przecież nie mam żadnego wpływu na Adrianę — żadnego powtórzyła.

Potem siadła z powrotem na fotelu i już spokojniej, z pochyloną głową, z zaplecionymi czerwonymi rękami na szlafroku, powiedziała:

— Ja Adrianę wzięłam z przytułka — miała wtedy cztery lata i była ładną, przyjemną dziewczynką — ja Adrianę karmiłam, ubierałam, wychowałam — to ja prowadziłam ją za rękę na spacer — to ja uczyłam ją czytać i pisać — to ja zaprowadziłam Adrianę po raz pierwszy do kina, do teatru — ale Adriana o tym nie myśli — Adriana myśli teraz, że gdyby nie ona, to ja nie dałabym sobie rady — bo Adriana jest młoda — a ja jestem stara. — I Adriana myśli, że jej wszystko wolno — w tym mieszkaniu to nie ja rozkazuje — rozkazuje Adriana.

Podniosłem się z fotela.

— To dlaczego pani Adriany nie wyrzuci? — powiedziałem ostro.

Czerwone, grube ręce, zaplecione na szaro-niebieskim szlafroku zadrgały nerwowo.

— Pan nie jest pierwszy, który o tym mówi — ale wszyscy tego nie rozumiecie — nikt tego nie rozumie — przecież gdybym wyrzuciła Adriane, to byłaby tutaj pustka — straszna, rozpaczliwa pustka.

Gdy wróciliśmy do domu, Angeli w mieszkaniu nie zastaliśmy. Nie było Angeli w jej małym pokoiku koło kuchni, nie było jej starej, zniszczonej walizki, nie było jej skromnych, biednych rzeczy. Angela po prostu uciekła. Uciekła, jak ktoś, który się czegoś boi panicznie, nieodwołalnie.

Józef URSYN.

“Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.

PRZEDSTAWICIELSTWA :

BELGIA: Jadwiga Jurkszus, 23, rue Felix Delhasse, Bruxelles-St. Gilles. Wpłata prenumeraty: kwartalnie 24 fr., półrocznie 48 fr. na: CCP 7556 89 Jadwiga Jurkszus, Bruxelles.

HOLANDIA: Ks. Leon Romala, Utrecht, Nieuwe Gracht 92. Prenumerata 1,20 Fl. miesięcznie, 3,00 Fl. kwartalnie, wpłacać przekazem pocztowym, podając cel wpłaty.

FRANCJA: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e (Metro: Sully Morland). Prenumerata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

Najnowsza historia Polski

Sejm w Wilnie

1

Piszę te słowa bez dokumentów pod ręką. Źródłem jedynym — jest pamięć, narzędzie, jak wiadomo, zawodne, ale też nie pozbawione wartości — bo daje to, czego papier nie może utrwalić — przeżycia. Nie mogę tedy powiedzieć z poetą, że „z faktów wam nic nie ukradnę” — ale może uda mi się wydobyć spod ich warstwy coś — istotnego.

To jedno omówienie. Drugie jest bardziej ogólnej natury.

Inteligentny Polak na ogół czytał **Pana Tadeusza**. A jeżeli lata zatarły sporo szczegółów tej epopei, to przecie każdemu w pamięci została inwokacja do Litwy Ojczyzny. W moim pokoleniu była ona czymś jeszcze żywym. W wędrówkach czy tułaczkach spotykaliśmy się nie tylko jako Polacy, ale Litwini lub Koroniarze. I było to rozróżnienie istotne nie tylko ze względu na łańcuch pokrewieństw i powinowactw — jakżeż serdecznie zajmujących na obczyźnie — ale, że Litwa — to nie tylko pojęcie geograficzne. I w Rzeczypospolitej Obojga Narodów i w kulturze naszej pospólnej posiada ona własną, mocno zarysowaną twarz.

To nie tylko fantazja rębajłów Bandy Albańskiej Ks. Panie Kochanku, ani głoszony szeroko obskurantyzm „żubrów” — ulubiony temat w rozmowach pseudo-postępowych nieuków. To niesłychany rozmach budownictwa XVII-go i XVIII-go wieków, który z cegiełek maleńkich wznosił potężne kolumny Katedry, który cudowną koronką pieści wzrok w Berezwezu, przytłacza wzlotem w Budstawiu, czaruje harmonią linii w Głębokiem, a pieśnią przejmującą upaja przed kościołem OO. Misjonarzy Wileńskich. To dalej — zupełnie swoista sztuka współżycia ludzkiego, uwieczniona na ścianach jednego z kościołów Słonimskich.

Na poświęcenie jego ściągnęli wierni. Ale że o pomnożenie

chwały Opatrzności chodziło, przybyli też w osobach swych kapłanów, ministrów czy nauczycieli — wszyscy Boga Jedynego wyznawcy. I schizmatycy wschodni i heretycy luterscy a kalwińscy, i mahometañscy Tatarzy i Starozakonni i Karaimi. A każdy z gości, z poważaniem witanych, wypisał na murze werset ze swoich ksiąg świętych, aby powszechnej radości wierzących dać wyraz. A potem malarz miejscowy utrwalił te napisy na wieczną rzeczy pamiątkę.

A kiedy przyszedł czas organizacji oświaty, tu wypełniono naprawdę tytaniczną robotę. To nie o sam uniwersytet chodzi. Komisja Edukacyjna a potem kuratorium Ks. Czartoryskiego założyły tu szkół więcej (w liczbach absolutnych) niż mogliśmy się ich doliczyć w roku 1913-tym. Na tym samym przykładzie widać, jak okaleczyła Litwę niewola moskiewska. Spustoszyła ją i wojna 1914-1920. A przecie w życie nowej Rzeczypospolitej wchodziła nie tylko z przedwczorajszym dorobkiem. Na każdym polu naszej pracy szli hurmą całą Litwin. Wyliczać nie trzeba.

Obraz etnograficzny tych ziem znajdziemy w pracach Władysława Studnickiego, Leona Wasilewskiego, Eugeniusza Romera, Mariana Świechowskiego i wielu innych. Wszystkie one dają ciekawe fakty. Żywioł narodowo-polski nie cofał się. Rzedły szeregi wielkich właścicieli ziemskich, wciskali się na ich miejsce „zasłużeni” wobec caratu Rosjanie. Ale na wsi postępował proces białorusizacji Litwinów i polonizacji Białorusinów. W szeregu osiedli trzy pokolenia mówiły różnymi językami, a najmłodsze posługiwało się polskim. Było tak w czasach panowania caratu.

2

I oto w roku 1919-tym, na samą Wielkanoc, wpadają do Wilna wojska polskie. W prześlicznej książeczce Piłsudskiego na ten temat może zbyt wiele jest egocentryzmu. Toteż bardziej tam występuje wyścig Beliny z Zaruskim — niż udział samego Kraju w tej walce. Więcej jest swady leguńskiej niż politycznej myśli. Wykorzystał to w swoim czasie bardzo zręcznie Waldemaras w swej pamfletowej odpowiedzi. A przecie skutkiem tego pochodz była pamiętna odezwa Naczelnego Wodza, odezwa do ludności Wielkiego Księstwa Litewskiego, która odrzucała myśl o aneksji i przyszłość tych ziem uzależniała od woli ludności, od postanowienia przedstawicieli tej ludności swobodnie wybranych.

To była pierwsza zapowiedź wileńskiego sejmu. I powiedzmy sobie dziś całkiem wyraźnie, że słowa tej odezwy — to nie była tylko defensywa dyplomatyczna, nie tylko uprzedzenie zarzutów imperializmu, które sypały się na nas ze stron wszystkich pod wpływem propagandy sowieckiej i... czeskiej. To było wyciągnięcie ręki na Wschód, za Mińsk i Berezynę dla stworzenia sił zespolonych narodów. To była próba podniesienia do życia wolnego poza siedmiona milionami Białtów — ośmiu milionów Białorusinów. Było to w przeddzień układu z Petlurą o stworzeniu 35-cio

milionowego państwa ukraińskiego, co prowadziło do zorganizowania potężnego bloku narodów, liczącego ponad 80 milionów ludności, ogarniającego dorzecza Wisły, Niemna, Dniestru, Dniepru i Dźwiny i Donu. Staliśmy wobec możliwości ogromnych, kładących na stulecia kres wojnom na tych obszarach, dających zupełnie nowe, trwałe podstawy równowagi politycznej na świecie.

Wstyd, żeśmy tego nie wykorzystali, nieumiejętność przyznania się do win własnych ze strony wszystkich — bez żadnego wyjątku — działaczy politycznych owego okresu powstrzymuje myśl polską od poddania go analizie. Sam autor bynajmniej nie pisze tego dla własnego wybielenia. Owszem, przyznaję, że nawet tych możliwości, jakie miałem — nie wykorzystałem, że dziełem tedy odpowiedzialność z innymi.

3

Już sam wypad na Wilno zaskoczył opinię polską. Czynniki nieprzyjazne Naczelnikowi Państwa zestawiały użycie znakomitych sił na tym odcinku, gdy brakło ich dla obrony Lwowa. Widziano w tym pobudki — może osobiste, a może... Kto wie, czy Piłsudski nie zechce przywdziać kołpaka wielkoksiażęcego? Różne tam rzeczy szeptano. Ale już sama odezwa została potraktowana jako prowokacja nieomal. Zestawiano ją z niemieckim orędziem, wydanym po wypędzeniu wojsk carskich w roku 1915-tym, które Wilno perłą korony polskiej nazywało. Więc my kwestionujemy to, co nawet wrogowie nam przyznawali? Wola ludności. Czy nie wystarczy wymowa walk zwycięskich, czy nie wystarczy liczby statystyczne. Cień federalizmu przerażał ludzi. Bo była w nim wielkość.

A nasze wojska szły dalej. Zdobywały miasto po mieście. Szereg powiatów Letgalskich oddaliśmy Łotwie do życia wstającej. Mińsk znalazł się w naszych rękach — a z wiosną roku następnego pochód na Kijów...

Aż ofensywa Tuchaczewskiego runęła.

Nie o ziemię, jakie zajęła, chodzi w tej chwili, ale o cios moralny, jakiego psychika polska doznała. Zachwiana została nasza wiara w siebie samych. W Poznaniu — nie wiedziano, co będzie z Warszawą. Dyplomacja szukała pomocy — za wszelką cenę. Poddawaliśmy się presji Anglików, którzy wydzielali nam możliwości sukcesu w plebiscycie na Prusiech, zrezygnowaliśmy z Zaolzia, bez próby sił nawet. Nieomal byśmy przyjęli linię osławioną Curzona, a komisja delimitacyjna już uznała przynależność Wilna do Republiki Kowieńskiej. Rezygnacja za rezygnacją. Nie czekając na rozstrzygnięcia, ustępowaliśmy krok za krokiem, aby... uchronić coś.

Nieraz publicystyka powoływała tego lub innego naszego ministra przed kratki, rzucając winę na jakieś „kozły ofiarne”. W istocie — odpowiedzialnością za to wszystko trzeba obarczyć znacznie szersze kręgi. Ustępował rząd Obrony Narodowej. I

jego to przedstawiciele z Janem Dąbskim na czele szli poprzez linie bojowe — przyjąć warunki pokoju narzuconego. Że do tego nie doszło, że skończyło się na upokorzeniach zewnętrznych — sprawiło uderzenie od Dębłina, wsparte ciosem z Modlina. Cud Wisły odwrócił zagładę i znów poszliśmy naprzód.

I oto wbrew zawartym układom delimitacyjnym z Litwą, dywizja Litewsko-Białoruska z gen. Lucjanem Żeligowskim na czele odrywa się od armii Sikorskiego i zajmuje Wilno.

Zaskoczenie było całkowite. Ale nie tylko Litwinów — całego świata. Paderewski w Genewie, nieuprzedzony o niczym — traci głowę. Sam Witos w pierwszej chwili — mówił mi o tym osobiście — chciał podać się do dymisji. A Żeligowski tymczasem ogłasza niepodległość Państwa Litwy Środkowej i na suwerena jej powołuje Witolda Abramowicza, którego zastępuje niebawem Meysztowicz.

Generał usuwał się, aby rządziły władze cywilne, aby wykażać, że sam na wynik decyzji ludności miejscowej o swoim losie wpływać nie chce i nie będzie.

I była to druga zapowiedź zwołania Sejmu do Wilna.

4

Ziemia była zmęczona i wyniszczona. Przez dwa lata przebiegał ją front wryty w ziemię, zastygły. Od Smorgoni po Ospe szedł pas okopów. Za nimi i przed nimi nierównie szerszy pas przyfrontowy, gdzie całe lasy wysiekał ogień działowy. I jeszcze szerszy pas wysiedlania, rekwizycji, rabunków i wszystkiego, co niesie najazd i soldateska. Potem anarchia rewolucji. Już w roku 1915-tym cofająca się armia carska usiłowała zabrać ze sobą jak najwięcej ludności. Poddawała się jej naciskowi część rosyjska i prawosławna. Polacy, Litwini, Białorusini katolicycy wgrzyźli się w grunt i trwali. A było coraz gorzej. Ostatnie chwile były najcięższe. Gdy nasze oddziały wkraczały z tą odrobiną chleba, nieraz biedacy miejscowi rzucali się nań — i padali w kurczach na ziemię. Trzeba było wydzielać po małym kawałku, by przyzwyczajać do pracy żołądki.

Teraz wracali ludzie na dawne osiedla. Z gałęzi i gliny klecili ni to szałas na miejsce dawnych chałup. W zrujnowanych miasteczkach gnieździł się po ocalałych piwnicach. Całe tłumy pakowały się do dawnych okopów niemieckich, szczęśliwsi znajdując schronienie w betonowych bunkrach, inni pod blindażami z brewion i darni.

Fotografie tych nor załączałem do moich raportów, bombardując władze centralne o pomoc. Była ona niezbędna istotnie. Trzeba było widzieć ten straszny chleb — z wrzosu czy kory drzewnej — jakieś trawy tam również mieszano. Widziało się postacie z rozdętymi brzuchami, opuchłe, z gorączką w oczach... Higiena? Po cóż mówić o takich rzeczach!

Pomoc zaczynała napływać. Polsko-Amerykański Komitet pomocy dzieciom już przesyłał mąkę, cukier, skondensowane

mleko, kakao, potem odzież, obuwie. Gdzie tylko udało się sklecić jakiś komitecik dający bodaj pozory odpowiedzialności, urządzano kuchnie. Niejedna z nich osłonięta była tylko jakimś daszkiem z blachy falistej. Kocioł zawieszano na kozłach, lub ustawiano na kamieniach i w godzinach posiłków długie ogonki dzieci wynędzniałych dostawały kolejno porcje białych bułek, kakao. Wokoło stał tłum i przyglądał się, wchłaniając wonną parę znad kotła.

Patrzałem w oczy tych ludzi. Był w nich głód aż doskwierliwy. A przecie — spośród nich nieraz komitet dobierano. Oni pilnowali, by wszystko dostało się dzieciom. Można tam było nabrać czci dla człowieka. Nie twierdzę że nadużyć nie było. Może więcej widziałem ich niż kto inny. Ale ile było prawdziwej dobrej woli i zaparcia się siebie — tego nikt nie wie.

5

Od Wschodu szła ucieczka. Wracał kto mógł. Znad Donu i Wołgi — znad Obi. Pieszo i końmi. Miesiące trwały owe podróże.

Raz w okolicach Dołhinowa spotkałem na gościńcu piaszczystym taką „tieleżkę”, wyładowaną tobołami i ludźmi. Koniki zdrożone ciągnęły ją nawet niezgorzej. Okrzyknąłem jadących — stanęli. Pytam skąd. Odpowiadają nieufnie. Ale moja polszczyzna nieco rozwiązuje języki. Jadą z Symbirsk. Ruszyli wczesną wiosną — teraz jesienią już ciągnie. Pytam jak i gdzie przejechali granicę. Chłop zaniemówił. Złazł z wozu — podchodzi, sięga rękę do szyi mego wierzchowca.

— To my już za granicą, panoczku? — No i wybuch radości taki, że aż mnie samego zdławiło.

Sami nie wiedzieli, że przebyli tę rubież. Nie zdziwiłem się zbytnio, bo kiedyś, zwiedzając ten pas samotnie — mimowoli znalazłem się parę kilometrów po tamtej stronie. Kiedy spotkana baba uświadomiła mi co do tego — byłem w niemałym strachu. Szczęście posłużyło.

A właśnie tak strzeżona granica miała nas zabezpieczyć nie tylko od przemytu. (Co by tam zresztą z tamtej strony można było przemycić?) Nie tylko od propagandy bolszewickiej, ale od wroga najstraszniejszego — zarazy, która dziesiątkowała ludność w Sowietach.

Kwarantanny urządził JUR, czyli urząd dla Jeńców, Uchodźców i Repatriantów, na czele którego stał zrazu Władysław Korsak, potem Władysław Grabski. Mieli lokale na dziesiątki — kiedy tysiące trzeba było umieszczać. Porcji przysłano ledwie połowę potrzeb pokrywając. Środków brakło — ludzi — wszystkiego. Wszędzie od czasu do czasu wciskała się jakaś kanalikka dla robienia drobnych interesów. Ale częściej po prostu oszałamiała zacięta wola ludzka, która bez niczego, zdawało się, prowadziła walkę przy pomocy strzykawki, lekarstwa, jakoś skleconych łaźni, komór dezynfekcyjnych. Nieraz w raportach

pisywałem, że tymi środkami nie sposób dać sobie radę. A raporty te czytano, badali je ludzie myślący, poważni, ideowi jak Rożnowski, Kuncewicz, że innych nie wspomnę. Nieraz usiłowali czynić zadość żądaniom. Ale możliwości ich... Szkoda gadać.

Raporty. Nigdy nie miałem wrażenia rzucania grochu o ścianę. Ale — nie one stanowiły najważniejszą podjętą do działania ze strony naszych władz. Bo nim urzędnik coś zdołał zreferować — uprzedzała go prasa. Setki piór chwyciło każdy temat. Ten sam jegomość co dziś pouczał ministra skarbu, jutro grzmiał na wychowanie, pojutrze odsłaniał potworności jakiegoś punktu repatriacyjnego, dalej krzyczał o machinacjach z końmi w jakimś starostwie, „Nadużycia”, „nieuctwo”, „karygodna opieszałość”. Sypały się artykuły o wojsku, o policji, o służbie lekarskiej, więziennictwie, opiece społecznej. Jedni pisali z talentem, inni bez talentu, jedni ostrożnie — inni waliłi z rozmachu wszystko na prawo i lewo. Ale — wszystko to wytwarzało atmosferę czujności, zainteresowania każdym krokiem władzy. Wszystko to alarmowało. Był to niesłychanie czuły organ kontroli społecznej całego życia publicznego. Krzywd wyrządził on wiele. Pomyłek popełniał co niemiara, ale w tym czasie kiedy wszystko dopiero powstawało — odegrał rolę ogromną. — Raporty nasze nieraz szły w ogonie za prasą, a często powodowane były jej wystąpieniami. Ten temat nadaje się do głębszego studium.

6

Administracja tworzyła się. Niby tam urzędy były, ale... Ta inteligencja miejscowa, która niedawno cudów w pracy społecznej dokazywała, teraz szła w zawody z żywiołem napływowym w dziedzinie... nieumiejętności zwyczajnie. Rozporządzenia z centrali — uważano za niedostosowane do warunków, albo za zgola głupie. A więc tam i sam po starostwach urządzano narady, co się do wykonania nadaje, a co nie nadaje. Oceniano zgodność okólników z ustawami sejmowymi. Byli tacy — co w ogóle zrezygnowali z odczytywania „głupstw” które im przysyłano. Przecież w owych czasach nawet minister nie był jeszcze pewien swojego dygnitarstwa. Najprędzej uczyli się rozkazywać urzędnicy terenowi, mający bezpośredni stosunek z ludnością, ci co „wzywali”, „nakazywali”. I właśnie oni tą „swobodą” działania imponowali przełożonym, którzy nie bardzo wiedzieli, czy wypada ludziom tak stanowczym coś polecać. A „stanowczy” urzędnicy nieraz okazywali istotnie ogrom władzy. Toż starosta braciawski np. odstąpił w pewnej chwili dwie nasze gminy Łotwie.

Budowano szkolnictwo. Kto? Władze administracyjne, wojsko, panny-społeczniczki... Szukano izb, nauczycieli... Tu brano pod oficera, który liźnął seminarium, tam dawnego listonosza, gospodynię księżą, służącą — większość pozostawała w zacieklej

wojnie nie tylko z „rz” i „ó”, ale z każdą literą alfabetu. W powiecie lidzkim, uprzywilejowanym, z dobrą komunikacją, w pewnym okresie siły fachowe w szkolnictwie stanowiły ledwie 8%. Inspektorowie szkolni załamywali ręce. A jednak... uczono czytać i pisać. Czasem zwiedzając szkołę, na czele której stała naprawdę pół-analfabetka — byłem zdumiony intuicyjną umiejętnością radzenia, urządzania zabaw. Szalało to wszystko na punkcie deklamacji, przedstawień, inscenizacji i — uczyło się. Większość tych ludzi z czasem nadrobiła braki, pozdawała egzaminy. Wykładając potem na wyższych kursach wakacyjnych — nieraz spotykałem znajomków. Pchał ich naprzód pęd organizacyjny społeczeństwa.

7

Do tworzenia szkół zabrali się i Białorusini. Z nimi było jeszcze gorzej. Raz w Radoszkowiczach znany działacz białoruski Własow, zapoznał mnie z kandydatem na kierownika szkoły rzemieślniczej. Wyglądał poważnie, imponował ogłada. Po polsku wysławiał się z trudnością, ale prześlicznie mówił po francusku. Przy którymś spotkaniu rozgadaliśmy się — mieliśmy wspólnych znajomych w Petersburgu.

— Nie mogę się nadziwić — rzekł w przystępie szczerości — że pan, człowiek inteligentny, może mówić o języku białoruskim. Narzecz, panie, narzecz, i to kiepsko uformowane. Jest przepis — dobrze, będziemy nazywali to do czasu szkołą białoruską. Ale przecie — żart żartem — toż to będzie szkoła rosyjska.

Ta nie był fakt wyjątkowy. Działacze białoruscy często wpadali w sidła tego rodzaju ludzi, którzy skryli się na obszarze polskim przed bolszewikami. Chcieli się jakoś urządzić — no i grali rolę „Białorusinów”. Byli i prawdziwi patrioci. Byli — ale fermentowało to jeszcze wszystko i każdy wykształcący rwał się do odegrania roli politycznej — a ta pchała do opozycji.

Litwini nieliczni, nie stanowili wiele. Było ich nieco w powiecie braciawskim i dalej w święciańskim, w lidzkim — kilka dziesiątków tysięcy. Żywioł na ogół górujący nad innymi kulturą rolną, obyczajowością — opozycyjnie nastawiony, pragnął przyłączenia do Kowna.

A Żydzi? Siedzieli po miasteczkach. Rzucono wśród nich hasło neutralności. Chodziło o to, by się żadnej części ludności nie narażali, by czekać — co przyszłość przyniesie. Znaczna ich część używała języka rosyjskiego, część pism ich wychodziła po rosyjsku. Usiłowali w szkołach rosyjskich uczyć młodzież. I to pogłębiało rozdzźwięk pomiędzy nimi i resztą społeczeństw. „Neutralność” nie zjednała nikogo, czyniła ich obcymi — wszystkim. Zwłaszcza, że — na ogół nieliczne żywioły pro-bolszewickie krzyczały najgłośniej a odium spadało na ogół.

Oczywiście że najpełniej dojrzałe i zróżniczkowane było społeczeństwo polskie. We wszystkie jego warstwy przeniknęła kultura państwowa. Może w tej chwili za wiele powiedziałem. Istniała bardzo silna tradycja państwowa, dążenie do stworzenia własnej organizacji. Ale właśnie kultury — to jest umiejętności tworzenia tej organizacji — nie było.

W tym kraju odbierano nam wszystko — język i wiarę. Tu od Katarzyny II było przymusowe nawracanie na prawosławie, zabieranie kościołów, kaplic, świętości. Duża część ludności białoruskiej poddała się temu. A w polskich kołach trwała świadomość, że to prawosławie jest gwałtem, który trzeba odrobić. I oczywiście na tle dążeń rewindykacyjnych objawiały się fakty nieraz... nie miłe. W Krasnem np., które parę razy z rąk do rąk przechodziło, gorętsze elementy — wbrew woli księdza — rzucili się do zrywania krzyża prawosławnego, rzucając go w błoto i poniewierkę. Bolszewicy, wróciwszy, rzucili znów krzyż katolicki, który przy dalszej zmianie znów został wywyższony, a w błocie znów pięcioramienny się znalazł. Któryś z naszych oficerów położył kres temu, nadając wydobyciu z bagna krzyża prawosławnego nawet cechy uroczyste, z oddaniem honorów wojskowych. Ale fakty podobne powtarzały się tu i ówdzie. A towarzyszyło im czasem i pądrowanie plebanii. Skutki niewoli wiekowej zapadły w ludzką duszę i wybuchały to tu, to tam — jak niedopały po polach.

8

A polska myśl polityczna? Męławicowa była w stolicy. Kształtowała się zapewne w samym Wilnie, jako odbicie prądów Warszawy. Opinia publiczna przyswajała kierunki stamtąd idące. Wokoło Eustachego Sapiehy, Meysztowiczów, gromadziły się żywioły konserwatywne. Duchowieństwo, a z nim i spora część ziemiaństwa ciążyła ku Narodowej Demokracji, skupiając spora część inteligencji i wsi. Pewną liczbę raczej sympatyków miało Stronnictwo Ludowe. Lewica chłopska tworzyła na obraz i podobieństwo Wyzwolenia — Odrodzenie. W samym Wilnie i w ośrodkach bardziej przemysłowych skupiała się PPS, mając za sobą bogatą tradycję walki konspiracyjnej. Wokoło Witolda Abramowicza i Jana Piłsudskiego zbierali się, w charakterze „demokratów”, zdecydowani zwolennicy federalistycznej polityki Piłsudskiego. Tu i ówdzie poczynano nawet wiecować.

Wszystko to jednak było słabe, anemiczne. Toż partie utrzymywały się wtedy własnymi środkami. Stały w znacznym stopniu na pracy posłów, których Ziemia Wschodnie jeszcze nie miały. A miejscowi ludzie cały wysiłek kierowali ku odbudowie.

Na ten nieprzeorany obszar przyszedł jeszcze inny czynnik. Zorganizowane zostało Towarzystwo Straży Kresowej, które pochwyciła w swe ręce pro-piłsudczykowska „młodzież narodowa”. Zgromadziła ona spory zastęp ludzi wartościowych, ideowych, czynnych. Ci jęli się z prawdziwym zapałem pracy spo-

łecznej. Szli z książką, z pismem — organizowali szkoły, kursy, odczyty, pogadanki, przedstawienia — szli z pomocą opiece społecznej, tworzyli kuchnie, organizowali wysiłek społeczny, gdy było trzeba, sprowadzali siły z zewnątrz. Praca to duża i pożyteczna. Ludzie tacy jak Stefan Mydlarz, Czesław Nussbaum, Antoni Zalewski, wkładali w nią duszę i spory talent organizacyjny. Ich dążenie oparcia tej roboty o żywioł miejscowy, przede wszystkim chłopski, ludowy w najszerszym tego złowa znaczeniu było słuszne i naturalne. I oto w ten sposób poczęły się tworzyć tzw. Rady Ludowe, które pokryły swą siecią całą Wileńszczyznę i spora część ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Rady te jednak nie zadowolili się samą działalnością społeczną. Z natury rzeczy, jako organizacja lokalna, poczęły występować w obronie interesów ludności — akcja interwencyjna wobec władz z ich strony rosła. Stawały się nielada czynnikiem politycznym. Powstała nowa partia — partia posiadająca rozgałęziony aparat, wyrobione stosunki, a przede wszystkim sporo ludzi zapalonych, wierzących, że na kresach Rzeczypospolitej wytworzą siłę nową. Że programowe ich stanowisko nie miało pełni jasności, nie doczekało gruntownego opracowania — to sprawa inna. I — to nie pozwoliło Radom przetrwać sejmu wileńskiego.

9

Oto kilka plam, rzuconych dla zobrazowania sytuacji w Kraju, który obecnie, w roku 1923-cim, miał odegrać pewną rolę w całości naszego życia.

Przypominamy, że poza nami już był traktat zawarty w Rydze. Traktat, który stanowił śmiertelny cios dla polityki Piłsudskiego. Zasiadliśmy tam do układów nie z samą Rosją, ale z Ukrainą i Białorusią. Tym samym zdradziliśmy niepodległe państwo Petlury i zaprzepaściliśmy ryngraf rycerzy wolności narodów Europy Środkowej. W ciągu obrad o rozejm — wycofaliśmy się z Mińska, owej naturalnej stolicy Białorusi. Ale zostawiliśmy w swoich granicach miliony Ukraińców i Białorusinów, którym coś teraz mogliśmy dać? Polskie żywioły nacjonalistyczne mówiły bez ogródek o wynarodowieniu. Polska lewica bąkała o pełni „praw narodowych w... dziedzinie oświaty — tam i ówdzie jeszcze bardziej nieśmiało mówiono o autonomii... To wszystko. A przecie było to po traktacie wersalskim, gdy każda grupka etniczna dążyła do wolności zupełnej, do suwerenności nieograniczonej.

Traktat ryski był przekreśleniem ideologii, rozwijanej przez Chołoniewskiego, przez Artura Górskiego. Dla naszych słowiańskich sąsiadów staliśmy się uczestnikami rozbioru ich krajów. A wtedy Rosja jeszcze ludziła z widmem federacyjności ustroju. Siła jej pociągająca wobec rozczarowań przez nas sprawionych rosła.

Została nam karta Wileńska. To było już coś znacznie mniej-

szego — ale wartość jej była okazała. Chodziło o całe wybrzeże Bałtyku, na którym rozsiadły się Litwa, Łotwa, Estonia — kraje, z których żaden nie sięgał trzech milionów ludności, które przecież zdumiewały siłą przetrwania i energią, z jaką się dźwigały. Kultura ich, pilność, konsekwencja gospodarcza — zdawały się otwierać im widoki pięknego rozwoju. Nasze stosunki z nimi — zależały od uregulowania sporów z Litwą, i tu właśnie olbrzymią rolę mogła odegrać Litwa Środkowa — Wilno i cały kraj wileński.

Pretensje Litwy — Letuwy do Wilna — ze względów etnograficznych były pozbawione jakiejkolwiek podstawy. Litwini stanowili tu drobiazg kilku procentowy. Historyczne ich uzasadnienie — było tylko powierzchowne, bo miasto zostało stolicą Księstwa, gdy nawet panujący i w domu i w życiu publicznym używali białoruszczyzny. Od chwili założenia jego Polacy stanowili tu rdzeń ludności miejskiej, a w jego obronie przeciw Krzyżakom odgrywali rolę decydującą.

Ale Wilno z drugiej strony nie mogło oddychać bez Kłajpedy. Z zakorkowanym ujściem Niemna nie sposób było w nim żyć, nie sposób było nadać jego życiu odpowiedniego rozmachu. Jak pogodzić te sprzeczności? Studnicki rozumiał to bardzo dobrze, gdy stawiał sprawę ugody z Niemcami i podzielenia się bałtyckimi ziemiami z Rosją. Nie będąc zwolennikiem tej koncepcji, uważając ją nawet za iluzoryczną i nieosiągalną, uważając starcie z Niemcami za rzecz nieuniknioną, z powodu nie naszego, ale niemieckiego nacjonalizmu — musiałem przyznać, że posiadała ona logikę — i szwankowała jedynie pod tym względem, że szła drogą uproszczeń, których dzieje nie znoszą.

Pozostawała koncepcja federacyjna. Litwa Środkowa miała odegrać w niej rolę samodzielną i zapoczątkować stworzenie dziesięciomilionowego państwa na kształt Szwajcarii Bałtyckiej, poręczającego wolność wszystkim narodom i dając tym narodom siłę wspartą przez jak najściślejszy związek, związek organiczny, z Rzeczpospolitą Polską.

Pozostawało pytanie, czy owe poczucie krajowości litewskiej, owej samodzielnosci Litwy jako pojęcia członu Rzeczypospolitej Obojga Narodów pozostało jeszcze siłą rzeczywistą, na której można było budować.

10

Na przeszkodzie stanął kompleks niższości. Kompleks niższości nie tylko po jednej stronie. Po obu. Litwini, naród chłopski, bali się pańskiej Polski i przyciągającej siły kultury polskiej, która wynaradawiała ich przez setki lat bez żadnego urzędowego nacisku. Chcieli się właśnie od Polski oddzielić jak najszczelniej. Polacy bali się nacisku Litwinów i Białorusinów. Brak było w nich poczucia siły do zachowania swej twarzy. Chcieli być nie tylko gospodarzami, ale wzmocnić swe uprawnienia mandatem Warszawy.

I ten kompleks niższości objawiał się najmocniej nie w środowiskach inteligenckich, ale właśnie chłopskich, to jest tam, gdzie najmocniej odczuwano nacisk po litewsku lub po białorusku usposobionych księży, protegowanych przez carat, potem przez Niemców, potem przez Litwinów. A ziemiaństwo lękało się reformy rolnej radykalnie przeprowadzonej u Bałtów. Tragiczna pomyłka. Nacisk dołów chłopskich wykołbał i stanowisko Rad Ludowych. Studia nad tym momentem to istna kopalnia zjawisk niezmiernie ważnych dla kształtowania się organizmów państwowych.

Kompleks niższości sparaliżował całkowicie Białorusinów, którzy nie zdobyli się na żaden akt pozytywny i gdy chodziło o losy narodów — zadawali się biernymi protestami. Ten sam kompleks kazał Żydom trwać w zupełnej bierności, w pogardzie dla rozwijającej się rzeczywistości, skutkiem czego było rosnące odosobnienie i wszechstronny antysemityzm.

11

Więc sprawa Litwy Środkowej musiała być rozpatrzona i zdecydowana. Dwukrotnie akty państwowe polskie zapowiadały zdecydowanie jej przez przedstawicielstwo miejscowe. Zwołanie Sejmu w Wilnie było koniecznością również ze względów międzynarodowych. Prawica była mu zasadniczo przeciwna. Uważała, że sam fakt odwoływania się do opinii miejscowej podaje w wątpliwość wiarę w polskość kraju. Ustąpiła pod naciskiem opinii zagranicy. Ale gdy przyszło do włączenia w obszar „plebiscytowy” dwóch powiatów przyległych do Wileńszczyzny, lidzkiego i brackowskiego — powstał gwałt. To są ziemie nasze, już przez administrację polską objęte. Rozpoczęła się opętająca agitacja za zbojkotowaniem wyborów w tych powiatach. Wystarczy chwilę pomyśleć by zrozumieć co taki „protest” mógł spowodować.

A przecie sytuacja była tak poważna, napięcie agitacji tak mocne, że do Lidy zjechał Naczelnik Państwa, aby osobiście przedstawić konieczność głosowania.

W herbaciarni Koła Polek, przy ledwie oheblowanym stole na krzyżakach, odbyła się konferencja. Przy Naczelniku Państwa zasiadł minister Spraw Wewnętrznych, Stanisław Downarowicz, po drugiej stronie wojewoda nowogródzki, Władysław Raczkiewicz, przy nim starosta Zdanowicz. Mnie umieszczono przy Downarowiczu.

— Szkoda, — rzekł do mnie szeptem — Komendant ma dziś zły dzień.

Komendant zdejmował rękawiczki. Na jednej z nich była spora łata...

Zaczął. Przynależność tych ziem na terenie międzynarodowym jest zakwestionowana. Uważają, że zajęliśmy je gwałtem. Ich polskość statystyki rosyjskie i niemieckie podają w wątpliwość. Dziś są one zdobyte szablą. Trzeba stworzyć prawne podstawy

do posiadania ich, a te może dać w dzisiejszych warunkach tylko jasno i wyraźnie wypowiedziana wola ludności. Plebiscyt już jest skompromitowany. Posłowie wybrani w powszechnych i proporcjonalnych wyborach muszą nie tylko dać decyzję, ale ją uzasadnić. Kiedy taki akt będzie dokonany — to będzie miał podstawy prawne do strzeżenia go z bronią w ręku. Mogę was zapewnić, że woli waszej będę bronił szablą.

Kilka słów o trudnościach międzynarodowych, o nieuznaniu traktatu ryskiego przez Zachód. Piłsudski działał przez swoją obecność. Rezygnował z poważniejszego argumentowania. Postawił na końcu pytanie, jak wybory zostaną zorganizowane i jak liczny udział ludności jest spodziewany. Potem udzielił głosu ministrowie, wojewodzie, staroście, którzy zwięźle referowali sytuację.

Za przykładem Naczelnika Państwa wszyscy usuwali tematy sporne. Konieczność wyrażenia woli ludności. Konieczność rozwinęcia szerokiej agitacji za udziałami w wyborach. To wszystko.

A przecież — miejscowy aptekarz, Bergman, o ile się nie mylę, rozpoczął atak. Jakim prawem kwestionuje się przynależność Lidy. Niezręczność naszej polityki zagranicznej. My nie chcemy brać udziału w akcie, który osłabia naszą pewność siebie, itd. Stał za ławą, wymachiwał rękami. Poparł go jakiś ziemianin okoliczny.

Piłsudski lekko zreasumował wyniki. Po czym z wyszukaną grzecznością i z tym nieopisanym czarem, jakim odziaływał nieodparcie, zaproponował obu panom, by w przyszłym tygodniu zechcieli go odwiedzić w Belwederze. Nie wiele mam czasu, ale pokażę panom kilka dokumentów w tej sprawie, które na pewno wystarczą do przekonania każdego.

Konferencja była skończona. Naczelnik Państwa wyszedł. Od progu odwrócił się jeszcze do Bergmana:

— To jeszcze się zobaczymy? Tak?

Tamten stał zmieszany, nie bardzo wiedząc co odpowiedzieć. Ostatecznie nie pojechał. Ale — posłował.

12

Akcja wyborcza się rozpoczęła. Technikę jej ujął Zabierzowski mocno i sprawnie. Spisy sporządzane w gminach obejmowały wszystkich uprawnionych, wszechstronna kontrola była zapewniona. Komisje delegowały stronnictwa zgłaszające listy. Czystości pilnowali wszyscy z pasją właściwą nowicjuszom, dla których każdy cień już wydawał się zbrodnią.

Litwini zdecydowali od razu zbojkotować wybory. Za nimi w imię neutralności poszły stronnictwa żydowskie. Białorusini wahali się. Propolsko nastawiony Aleksyuk, nie mając żadnych środków przede wszystkim w ludziach, pragnął jakiejś fuzji z którymkolwiek stronnictwem polskim; kołatał do Rad Ludowych, do Odrodzenia. Bardziej opozycyjny Taraszkiewicz zre-

zygnował z walki i również zalecał wstrzymanie się od wyborów.

A zatem zostali na arenie tylko Polacy. A hasła wyborcze?

Przeciwstawiono sobie dwa: wcielenie — stawiała Demokracja Narodowa. Przyłączenie do Polski — lewica. Przyłączenie i wcielenie. Słowa bogate w treść, słowa, w magię których nagle uwierzano. Nagle uznano, że pomiędzy tymi dwoma pojęciami jest przepaść. Wcielenie było silniejsze. Rady Ludowe przyjęły je wobec tego. Zresztą walka odbywała się na tle dyskusji społecznej. Mówiono o reformie rolnej i o innych podobnych sprawach. Tam gdzie trzeba było, wołano „niech żyje Piłsudski” — narodowi demokraci odpowiadali: „niech żyje Żeligowski”. I tak przeciwstawiano Piłsudskiemu Żeligowskiemu.

Momenty federalistyczne — znikły nieomal zupełnie. Stawiał je w swej agitacji mocno tylko Stefan Mickiewicz, przywódca zdecydowanie „krajowego” skrzydła „Odrodzenia” — samo „Odrodzenie” wraz z ludowcami i demokratami mówiło tylko o autonomii, redukując zasadnicze polityczne stanowisko do zagadnienia sprawiedliwości narodowej. Rady Ludowe, akcentując społeczny demokratyzm szły w kierunku nacjonalistycznym, tak, jak pchały je nastroje. Operując na każdym kroku nazwiskiem Piłsudskiego — stanęły w rażącej sprzeczności z jego polityką.

Głosowanie przeszło we wzorowym porządku. Udział wzięło w wyborach — (styczeń, — mrozy!) — ponad 64% uprawnionych. Mowy nie ma o tym, by Polacy głosowali w 100%. Udział ich trzeba ocenić najwyżej na 80%. Wynika stąd, że około 20% mniejszości narodowych głosowało jednak, głosowało na listy polskie, głosowało, by nie dopuścić do zmiany przynależności tej ziemi.

Wysiłek społeczny, wysiłek jednostek w tej akcji był znaczny. Ale o środkach użytych do agitacji niech świadczy bodaj fakt, że podjąwszy wtedy wydawnictwo dziennika — musiałem go od deski do deski wypełniać, łamać, odbierać depesze, telefony, korygować. W administracji pracowały jedynie dwie siły. W redakcji nie było nikogo. Pensję pobierał tylko administrator.

Tak samo mniej więcej było i gdzie indziej.

13

A więc zebrał się sejm. Atmosfera była uroczysta. Ale w kularach toczyła się walka. Lewica, licząc wraz z Radami Ludowymi, stanowiła większość. Ale i Stronnictwo Narodowe posiadało bardzo poważne siły. I oświadczyło wyraźnie, że uznaje wybrane ciało za zgromadzenie o charakterze plebiscytowym, które ma za zadanie wyrazić wolę wcielenia do Polski i rozwiązać się natychmiast. Stanowisko lewicy było zgodne z Warszawą — Sejm wybrany ma zalegalizować zamach Żeligowskiego, przejąć z rąk tymczasowego suwerena, Meysztowicza, władzę, ogłosić suwerenność i wstąpić w pertraktacje z Rządem Polskim.

Z Rządem Polskim — a może i jeszcze z innymi. Może z li-

tewskim, może z Ligą Narodów. Może zdoła postawić sprawę federacji północnej...

Powiedzmy sobie, że nie wiele było widoków po temu. Szał niepodległości opanował wszystkich. Wierzano w Ligę Narodów i w pokój. Czechosłowacja była tak pewna opieki Francji, że odrzucała wszelkie próby porozumienia. Litwa ufała że utrzyma się zrzecząc się wygrywając przeciwieństwa Polski, Niemiec, Rosji. Łotwa ani chwilę nie wątpiła, że dobre stanowisko w Lidze i przyjaźń Stanów Zjednoczonych są wystarczającą poręką. Polska, jako siła — była wątpliwa. Jako ośrodek zjednoczenia po pokoju ryskim skompromitowana — nie pociągała. A już mniejszości poczynały ją pozywać na sądy. Przeciwko nietolerancyjności naszej powstawali Niemcy, Ukraińcy, Żydzi. Trzeba by było kolosalnego wysiłku, by to odrobić. I odrobienie tego spadało na barki kraiku — którego życie kilkoma plamami usiłowałem tu scharakteryzować.

Ratować sytuację przyjechał ówczesny minister Robót Publicznych, Gabriel Narutowicz w towarzystwie Witolda Giełżyńskiego, naówczas dyrektora departamentu w Prezydium Rady Ministrów. Mam wrażenie, że im samym nie rysowała się przyszłość wyraźnie. Dużo było mowy o dyplomacji, o stworzeniu podstaw prawnych, o zobowiązaniach. Nie było mowy o stworzeniu siły, o wykrzesaniu realnego potencjału, jak to się potem mówić przyjęło, do obrony niepodległości. Niepodległość zdawała się tak niewzruszona. Przecież Niemcy rozbite, przecież Rosję my, własnymi wojskami zmusiliśmy do odwrotu, przecież jesteście nie byle Litwą, albo Estonią. Przecie...

A tymczasem już zarysowało się porozumienie sowiecko-niemieckie w Rapallo. Gdy trzeba było bić na alarm wobec nadciągającego niebezpieczeństwa, przedstawiciele Warszawy mówili o dyplomacji i rozprawach w Lidze Narodów. Więc uwierzono im, że przyszłość kraju zależy od... zredagowania rezolucji. I spór sprowadzono do tekstu tej rezolucji, aby ułatwić pracę naszemu ministrowi spraw zagranicznych.

W parę miesięcy później mówiłem o tym z Narutowiczem. Miał już wtedy resort Spraw Zagranicznych. Tłumaczył dwoistość swego stanowiska pomiędzy Rządem a Naczelnikiem Państwa — brakiem pełnomocnictw. Ale — on także ulegał tej chorobie pokoju, wiary w pokój, sugestii odniesionych zwycięstw, z którą potem dopiero walkę miał podjąć Marian Kukiel.

I ostatecznie w kularach doszło do ugody. I tak i nie. Meysztowicz otworzył obrady — złożył władzę. A Sejm — nie. Wybierze komisję mandatową, polityczną, do opracowania wniosku zasadniczego, regulaminową, interpelacyjną, konwent...

Bleganiny było sporo, przywódcy klubów porozumiewali się nieustannie. Konwent seniorów zbierał się dla uregulowania obrad. Sejm sam był bardzo dobrze wychowany. Posłowie wygłaszali przemówienia na ogół dobrze opracowane, czasem świetne w formie. Uzasadniali gruntownie prawa Kraju należenie do Polski. Przerywano sobie — dla zasady, ale bynajmniej

nie krępowano zupełnej swobody. Marszałek Łokuciewski lub zastępujący go wicemarszałkowie Krzyżanowski, Małogoski czy Fedorowicz mieli pracę bardzo ułatwioną. Parę razy zerwano **quorum**, gdy chodziło o uchwały nie uzgodnione poprzednio w konwencie seniorów.

Tylko przy każdym początku nowej mowy na urząd wynikał mały hałasik. Prawica bowiem zawsze zaczynała od „Panowie przedstawiciele Ziemi Wileńskiej”, co gniewało lewicę, domagającą się inwokacji „Wysoki Sejmie”. No i koniec końców uchwalono setką głosów przeciwko dwom tekst włączenia Ziemi Wileńskiej do Polski.

Po czym wybrano delegację z dwudziestu posłów, którzy mieli akt doręczyć Rządowi w Warszawie i których Sejm Ustawodawczy miał przyjąć w swe grono jako posłów włączonej prowincji.

14

Były uroczystości, i raut u Meysztowicza, i uroczyste **Te Deum** w katedrze i przedstawienie w teatrze. Ludność Wilna otaczała Sejm niesłychanym zainteresowaniem. Obradował on w teatrze na Pohulance. Na scenie było prezydium i mównica. Parter zajmowali posłowie — łoże, balkony wypełniała publiczność. Miejsca wolnego nie było. W dniu uchwały tłumy się zgromadziły pod teatrem. Tłumy odprowadzały pochód posłów do Katedry. Okrzykom, wiwatom końca nie było. Gmach świątyni wileńskiej napchany...

Przecież to nie była manifestacja nakazana. Nikt na nią nikogo nie spędzał. Stuletnia tęsknota za wolnością wybuchała z żarem, który porywał każdego. Tak nieprzeparta była magia słowa — wolność. Urzeczywistniona.

A kiedy na przedstawieniu **Krakowiaków i Górali** buchnęły ze sceny śpiewki o Wilnie i Warszawie — skotłowało się wszystko. Biegli ludzie ścisnąć tych górali, jak gdyby oni dokonali złączenia.

15

Od tych momentów świetnych — i świętych, przejdźmy do toku opowiadania.

Pojechaliśmy tedy do Warszawy. Przyjazd rano. Spotyka nas premier Ponikowski w otoczeniu. Chwila odpoczynku. Potem wspólne zebranie Rządu i Delegacji w gmachu Prezydium Rady. Rząd zaprezentował tekst aktu przyłączenia Ziemi Wileńskiej do podpisania.

I nagle trudność. W tekście znalazła się dość mglista wzmianka o nadaniu uprawnień Ziemi Wileńskiej. Przedstawiciel Stronnictwa Narodowego oświadczył, że tego ustępu przyjąć nie może i aktu nie podpisze.

Rząd wiedział już o przygotowanej **demarche** przedstawicieli wielkich mocarstw z uprzedzeniem, że w żadnym razie aneksja

wileńszczyzny *pure et simple* nie będzie uznana. Rząd tekst ten ułożył — bo zaraz po jego podpisaniu zjeżdżała się w Warszawie konferencja państw bałtyckich. Im to trzeba było okazać naszą drogę polityczną.

I nagle — nie!

Obrady trwały przez dzień — noc całą. Nad ranem doszło do imiennego głosowania. Z dwudziestu delegatów dwunastu zadeklarowało podpis. Rząd zdecydował przyjąć podpisy bodaj większości takiej — niż tekst odmienić i wyrzucić ów ustęp. Smętna była chwila kładzenia podpisów.

W wielkiej sali zasiedli wymęczeni do ostateczności ministrowie. Skirmunt ledwie na nogach się trzymał. Zawsze poprawny Stesłowicz nadrabiał miną. Sam premier Ponikowski błądy, znużony, siedział wyprostowany, patrząc na dokonywanie obrzędu. Jeden Sosnkowski nie tracił postawy. Giełżyński zapraszał każdego z osobna do stołu, na którym leżał rozciągnięty na rysownicy, wykonany artystycznie akt.

W parę tygodni później podpisany on został i przez resztę delegatów z dodatkiem, że inkryminowane uprawnienia będą zgodne z wolą ludności Ziemi Wileńskiej.

Walki o słowa popsuły uroczystość. Wola ludności — została wykonana.

Ale ani ludność ani jej przedstawiciele nie rozumieli, że w tej chwili spada ostatnia karta w grze Piłsudskiego o nowe urządzenie Europy. Zamykaliśmy się na tym obszarze, który bagнет polski zarysował. Nawet na mniejszym. Uwierzyliśmy, że ślady jego są niestarte i że jesteśmy mocarstwem. Myśl Naczelnika Państwa o bloku narodów — została pogrzebana — na długo. I kto wie, czy poniechanie jej nie stało się jedną z najważniejszych przyczyn następnej zawieruchy światowej.

Wskazałem zresztą, że przyczyn tej porażki Belwederu — szukać należy nie tylko w niemocy Litwy-Ojczyzny, nie tylko w nas. Nie tylko w samym narodzie polskim — ale w psychice całej ludzkości.

Niemniej nasze winy przejrzeć należy, by ich nie powtórzyć w chwili sposobnej.

Adam UZIEMBŁO.

Archiwum polityczne

Studium o technice rządzenia Premier *Kazimierz* Bartel

*Per varios usus artem experientia fecit.
Exemplo monstrante viam...*

MANILIUS, I-59.

Urzędowanie prof. Kazimierza Bartla w Prezydium Rady Ministrów trwało bez przerwy niemal trzy lata: od 15 maja 1926 r. do połowy marca 1929 r. Żegnając go listem z dnia 16 kwietnia 1929 r. Marszałek Józef Piłsudski pisał:

«Panie Kazimierzu! Wśród wielu rzeczy, które przeżyłem w ostatnich latach, Ty byłeś tym, który mi najwięcej pomagał. Wśród spraw, których dokonałeś, została jedna rzecz, która jest *aere perennius* — technika pracy państwowej, która dzięki Tobie stała się znacznie wyższa niż dawniej... Ty sam może nie doceniasz tej swojej zasługi wobec państwa, a przecie państwo może istnieć tylko wtedy, gdy umie się rządzić».

Marszałek Józef Piłsudski do pochwał nie był skory i nikogo innego ze swoich premierów listem takim nie żegnał.

Szkic niniejszy jest zaledwie przyczynkiem do politycznego życiorysu. Oparły na osobistym wspomnieniu bliskiego uczestnika pracy K. Bartla w owym okresie, ma za cel przypomnienie niektórych z jego zasług w zakresie techniki pracy państwowej.

Bartel doszedł do władzy w sposób dla niego samego niespodziewany. Osiem miesięcy przed datą oficjalnej nominacji w połowie września 1925 r. został on zaproszony do Sulejówka na prywatną z Panem Marszałkiem rozmowę. Dowiedział się z niej, że Pan Marszałek widzi w jego osobie premiera swego

pierwszego rządu i prosi go o przygotowanie się do tej roli. Żadnej daty Pan Marszałek nie ustalił. Wynikało co najwyżej z jego oceny sytuacji, że rządy sejmowładztwa mają się ku końcowi. Nie ustalił również żadnej określonej taktyki na czas najbliższy. Propozycja była równie nęcąca, jak pełna tajemnic. Wybitny profesor matematyki został w ten sposób wciągnięty w zakres spraw najzupełniej niewymiarnych. Decyzja pozytywna mogła być tylko aktem wiary. K. Bartel podjął we wrześniu 1925 r. taką nietatwą decyzję. Jego polityczny «stan posiadania» na tle ustroju sejmowego był wtedy bardzo skromny. Stał on na czele małego liczebnością «Klubu Pracy». Posłów w tym klubie, poza Bartlem, było pięciu: St. Thugutt, Śmiarowski, Chomiński, Barański i M. Z.-Kościałkowski; senatorów czterech: Gaszyński, Krzyżanowski, Wyślouch i Dobrucki. Wszyscy oni stanowili secesję z klubu Wyzwolenia, który opuścili dla powodów rozmaitych. Od sierpnia 1925 r. sekretarzo- wałem w tym klubie i biorąc udział w jego naradach, stano- wiłem jednocześnie jego aparat wykonawczy.

Decyzja Pana Marszałka co do osoby Bartla przyjęta została w klubie bez sprzeciwu, ale przy częściowym tylko poparciu. Kwestionowano, rzecz prosta, realność szans Bartla, nie jego kwalifikacje. Wysoko ceniono jego polityczną rozagę, rzeczo- wość, rzetelność i ofiarność. Pamiętano, że przeszedł przez ży- cie jako człowiek pracy i twardego czynu. Wiedzano, że stopnie naukowe zdobył, pracując jako czeladnik ślusarski. Pamiętano również, że trzydziestokilkuletni profesor w mundurze kapitana saperów zapisał własną bohaterską kartę w 1918 r., zapobiegając wybuchowi podpalonego pociągu z amunicją na dworcu we Lwowie, a dwa lata później, powołany na stanowisko ministra kolei, działalnością swoją w czasie wojny prawdziwie się od- znażył i zasłużył.

Wybór, uczyniony w Sulejówku, był rzeczowo całkowicie usprawiedliwiony. Mimo to sytuacja, w której się znalazł Bartel, nie była łatwa. Szanse uzyskania większości sejmowej dla wzglę- dów rzeczowych należało zaliczyć do marzeń. Niemity był pozór ubiegania się o majaczącą w odległej perspektywie wła- dzę. Zgoda, wyrażona na propozycję Pana Marszałka, wymagała od Bartla konkretnie dwóch rzeczy. Wypadało mu przestawić się wraz z Klubem Pracy na bezwzględne poparcie zamierzeń J. Piłsudskiego i rzeczową opozycję w stosunku do rządów istniejących, a jednocześnie dokonać prac przygotowawczych do objęcia władzy.

Zadanie pierwsze, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ułatwił mu znakomicie St. Thugutt. Jak wielu z naszych polityków lewicowych, był to opozycjonista z urodzenia. Jego najwyższe walory osobiste i obywatelskie przerastały znacznie stopień opanowania przezeń politycznego rzemiosła i politycznej wie- dzy. W ówczesnym życiu publicznym zabłysnął on prawdopo- dobnie za wcześnie. Jako były minister spraw wewnętrznych i wicepremier, jako przewodniczący jednego z największych

klubów sejmowych, był on w 1922 r. jednym z kandydatów na Prezydenta R. P. Wszystko to należało już w 1925 r. do przeszłości. Swoją biografię polityczną zamknął wtedy w jednym lapidarnym zdaniu. Późną godziną nocną, usposabiającą do zwierzeń, powiedział mi: «Widzi pan, w Polsce to jest tak: byle człowiek silniejszy przechodzi przez tę Polskę jak nóż przez masło». A po pauzie milczenia dodał: «ale potem wpada w próżnię». Sytuację rządową jesienią 1925 r. Thugutt oceniał bardzo pesymistycznie. Było dla niego jasne, że koalicyjne rządy partyjne zarówno W. Grabskiego jak i A. Skrzyńskiego nie są w stanie podźwignąć walącego się na nie ciężaru. Deflacyjna reforma walutowa Grabskiego zawiodła. Rolnictwo i przemysł przechodziły ciężki kryzys. Bezrobocie rosło jak lawina. W polityce zagranicznej doznaliśmy kilku dotkliwych porażek w postaci Locarna, konkordatu i przewag Benesza. W sprawach wojskowych gen. Sikorskiego pochłaniały zabiegi o polityczną popularność. Wiara w sejmowych przywódców ulegała gwałtownemu zanikaniu. Thugutt twierdził, że lada chwila rząd rozpe- dza krzykiem przekupki z hal Mirowskich i władza znajdzie się na bruku ulicy. Ostre i cięte, często trafne Thuguttowe dia- gnozy stały się osnową skromnego «Biuletynu Klubu Pracy», który «redagowałem» pod jego kierownictwem. Bartłowi przy- padło tym razem w pełni zadanie wyciągnięcia konsekwencji z tych diagnoz i tworzenia pozytywnego programu przyszłego rządu.

Cechą niezmienną politycznego stylu Bartla była konstruk- tywność. Nasuwała mu ona ustawicznie pracę jak gdyby na dwa tempa. Tempo pierwsze to mocne oparcie konstrukcji o uko- chaną przez niego «rzeczywistość rzeczywistą», wynikającą z krytycznego przemyślenia i przepracowania faktów i zjawisk, by uniknąć «budowania na piasku». Tempo drugie to zapro- jektowanie zmian — reform istniejącej rzeczywistości, licząc się surowo z możliwościami, którymi się w danej chwili rozpo- rządza, mobilizując potrzebne środki i narzędzia działania w postaci przede wszystkim... ludzi. Należy już tu na wstępie mocno podkreślić, że to co szczególnie wyróżniało Bartla wśród polityków współczesnych, to jego niechęć do wszelkich zbyt radykalnych poczynać, do wszelkiego łamania, niechęć do gru- zów, do jednostronnych rozwiązań i wyroków. W okresie przy- gotowawczym, o którym mowa, dostrzegliśmy od razu u Bartla, że umiał on nie tylko uczyć, ale także się uczyć. Pamięć nasuwa mi wciąż wspomnienia o niezmiernie licznych konferencjach, rozmowach i «wywiadach», które w tym okresie przeprowadził Bartel w poszukiwaniu wiedzy o zjawiskach przede wszystkim gospodarczych, w poszukiwaniu także możliwych rozwiązań na- suwających się zagadnień, w poszukiwaniu ludzi, z którymi mógłby współpracować. Słuchał z równą uwagą uczonych wy- wodów teoretyka «Lewiatana» prof. Tennenbauma, jak wnios- ków Szturm de Sztrema. Uczył się bólać współdzielczości od Prez. Chmielewskiego, ale cenił sobie także wywody o wiele

mniej radykalnego hr. Krystyna Ostrowskiego. Odkrył, że pod pseudonimem Leliwa ukrywa się wybitny, chociaż wtedy szerzej nieznany dyrektor departamentu Czechowicz.

Jednocześnie nie zaniedbywał Bartel badania sytuacji w poszczególnych dzielnicach. Natknął się w ten sposób na dwie sprawy, które stały się przedmiotem specjalnego zainteresowania Klubu Pracy. Pierwszą z nich była sprawa pokrzywdzonych przez los osadników wojskowych na Pomorzu. «Pokrzywdzenie» wynikało w sposób prosty z jakichś zawyżonych przesłanek biurokratycznych miejscowej administracji, widocznie niechętniej dla przybyszów. Osadzono ich na zasadzie arcypruskiego prawa czynszowego o rencie wieczystej. W okresie inflacyjnym marki czynione przez nich spłaty nie dawały im wprawdzie żadnego prawa do uwłaszczenia nawet w najdalszej przyszłości, ale w realnej wartości «renta» była znikoma. Po rewaloryzacji na złote sytuacja zmieniła się dla nich tragicznie. «Renta» okazała się bardzo ciężka, utrzymanie się na działkach bardzo trudne, a normalne odstąpienie ich niemożliwe. Władne w tym zakresie ministerstwo reform rolnych nie widziało powodu do interesowania się tym niepopularnym wśród tubylców zagadnieniem. Sprawą drugą, której Bartel poświęcił wiele uwagi, było bezrobocie tzw. inteligencji pracującej. Bezrobotni ci założyli własny związek, liczący około 50.000 członków, z czego w samej Warszawie ponad 20.000. Była to gromada częściowo po prostu nierobów i wykończonych, w przytłaczającej jednak większości ludzi tak czy inaczej skrzywdzonych, dla których w ramach istniejącego prawodawstwa i związków zawodowych nie było żadnego ratunku. Dla żadnej z partii politycznych ten zespół lotny nie był interesujący. Stopniowo, przykłady tego rodzaju, opinie fachowców gospodarczych i dane rzeczywistości poczęły się kształtować w umyśle Bartla w zupełnie określonej syntezie. Stało się przed nim w całej ostrości samo zagadnienie rządzenia. Stan rzeczy pod tym względem zdawał się wskazywać na nieprzydatność systemu rządów partyjnych.

Uwaga Bartla skupiła się na kilku zasadniczych cechach tego systemu.

Obserwował, przede wszystkim, jego znaczną bierność i nieporadność. Krzyżujące się wpływy partyjne były dość silne, aby każdą decyzję zahamować, za słabe, aby decyzje dla interesów jakiejś partii niedogodne — przeforsować. Co gorzej, miarodajne źródło decyzji leżało często poza rządem i było niemal zwyczajem, że poszczególni ministrowie, przed zajęciem stanowiska na radzie ministrów, udawali się po instrukcje do swojej partii. Nieporadność rządów potęgowało dalej rozparcelowanie resortów pomiędzy partie polityczne. Utracono się, że resorty były domeną i narzędziem wpływów poszczególnych partii. Tworzenie rządu było jednoznaczne z przekreśleniem z góry jego jednolitości. Decyzje w poszczególnych dziedzinach wpływały z przesłanek programowych różnych, często sprzecznych. Prezes rady ministrów nie był kierownikiem działalności ministerstw

i ograniczał się z konieczności do funkcji reprezentowania rządu i roli przewodniczącego, rejestrującego uchwały powzięte przez większość.

W tym «politycznym» stanie rzeczy szczególnie niepokoił Bartla brak *rzeczowości* w pracy rządowej i daleko idący brak *kompetencji* w pracy administracyjnej i ustawodawczej. Uderzała wreszcie Bartla inna jeszcze, na pozór paradoksalna, cecha rządów. Ingerencja czynników partyjnych do działalności aparatu rządowego była bardzo rozwinięta. Posłowie interweniowali osobiście i listownie, nie tylko u ministrów, ale u dyrektorów departamentów, naczelników wydziału, wojewodów i starostów. Zdawało się, że w ten sposób powstawać winien żywszy i bliższy kontakt pomiędzy władzami i społeczeństwem. Nie bez pewnego zdziwienia Bartel skonstatował, że jest przeciwnie i że aparaty partyjne odgradzają aparat rządowy od fachowego społeczeństwa, od jego wiedzy, potrzeb i doświadczeń, a przywalają go natomiast mnogością spraw protekcyjnych i personalnych. Wynikało wyraziście dla Bartla, że w reasumowaniu obserwacji w sprawie rządu warunkiem wstępnym wszelkich reform i wszelkiego postępu jest usunięcie rządów partyjnych. Powiedzieć należy od razu, że w wyciągnięciu wniosków z osiągniętej diagnozy Bartel zachował i wtedy i trwale daleko idący umiar. Konstatując, że partie polityczne nie mogą sprawować rządów, konstatując, że sama ich ingerencja bezpośrednia w sprawy rządzenia jest dla państwa szkodliwa, Bartel nie negował potrzeby istnienia i rozwoju partii politycznych. Rozumiał, że w zakresie orientowania opinii politycznej kraju, w zakresie szerzenia poczuciu obywatelskich i mobilizowania energii społeczeństwa dla celów państwowych, w zakresie kontroli rządu i aparatu rządowego partie mają do odegrania rolę korzystną dla życia państwa. Bartel był optymistą i wierzył, że odsunięcie od władzy i skupienie się na innych, bardziej im dostępnych zadaniach, partie polityczne dadzą sobie wyperswadować i że pogodzą się z tą swoją skromniejszą ale pozytywną rolą.

Dojście Bartla do władzy mogłoby być lekcją poglądową nieprzydatności przewidywań i obliczeń w zakresie zjawisk wynikających ze zderzeń woli ludzkich, popularnie zwanych politycznymi wypadkami.

Kryzys z listopada 1925 r., kiedy rząd koalicyjny utworzył niespodziewanie namówiony przez przywódców partyjnych A. Skrzyński, przyniósł Bartłowi rozczarowanie. W kwietniu 1926 koalicja, na której opierał się Skrzyński, uległa częściowemu rozbiciu, a kiedy w pierwszych dniach maja rząd podał się do dymisji, szanse Bartla zdały się wzrastać. Po nieudanych próbach pierwotnych utworzenia rządu przez Witosa, desygnaację na premiera otrzymał Wł. Grabski. Przed utworzeniem rządu dn. 9 maja pragnął on przeprowadzić rozmowę z Panem Marszałkiem w obecności Prezydenta Wojciechowskiego w Belwe-

derze. Pan Marszałek zgodził się na taką rozmowę, wyznaczając jednocześnie na godz. 10 wieczór zebranie przedstawicieli tzw. Centrolewu z Bartlęm na czele. Nowy dotkliwy zawód oczekiwał prof. Bartlę. Pan Marszałek zakomunikował zebranym, że Grabski zrezygnował z tworzenia rządu, on sam zaś, postanowiwszy iść, jak mówił, etapami, uzgodnił z Panem Prezydentem listę nowego gabinetu Skrzyńskiego, w którym, przy utrzymaniu na ogół dotychczasowego koalicyjnego składu, cztery teki przypadły Panu Marszałkowi i jego przyjaciółom w postaci: M.S.Wojk. dla niego, kolei dla Bartlę, pracy i opieki dla Ziemięckiego i robót publicznych dla Moraczewskiego. W poniedziałek dn. 10 maja w południe Pan Prezydent Wojciechowski podpisał nominacje rządu Witosa. Nastąpiły znane wypadki majowe.

W nocy z dn. 12 na 13 maja, wobec zajęcia miasta przez wojska Pana Marszałka, aż po ul. Piękną, wyznaczono w Komendzie Miasta prowizorycznych komisarzy do poszczególnych resortów. M.S.Z. objął R. Knoll, M.S.Wewn. W. Jaroszewicz, Komisariat Rządu gen. Sławoj-Składkowski; Bartłowi przypadło najważniejsze może w tej chwili ministerstwo kolei. W czwartek nastąpiła kontrofensywa wojsk rządowych i wojska Pana Marszałka zostały cofnięte po linię Alei Jerolimskich. Resort Bartlę znalazł się na terytorium strony przeciwnej. W pewnej chwili został on powiadomiony przez sekretarkę, że sztab gen. Rozwadowskiego zajął parter gmachu. Bartel nie przerwał wydawania poleceń poszczególnym dyrekcjom kolejowym. Dopiero pod wieczór, po zakończeniu urzędowania, przeszedł ogrodami do swego mieszkania w Sejmie.

W piątek w nocy z 14 na 15 maja wszedł do Bartlę około godz. 3 rano marszałek Rataj, powracający z Wilanowa. Pokazał nam akty dymisji rządu i abdykacji Prezydenta R. P. i oświadczył, że zgodnie z konstytucją objął zastępczo funkcje głowy państwa. Prosił o zawiadomienie o tym Pana Marszałka i zaproponowanie mu niezwłocznego przybycia na rozmowę w sprawie tworzenia rządu. O godz. 6 rano marsz. Rataj wezwał Bartlę do siebie i powiedział, że w żadnym razie nie może powierzyć mu tworzenia rządu, ma już natomiast gotowy projekt «rządu pojednania narodowego» z pos. Dębskim z P.S.L. na czele. O godz. 8 Bartel poinformował Pana Marszałka o tym wszystkim. Wrócił z troską i niepewnością, bo Pan Marszałek nie zajął w rozmowie z nim żadnego stanowiska i prosił tylko Bartlę o udział w rozmowie z Ratajem o godz. 10-tej. Rozmowa ta rozpoczęła się punktualnie i zakończyła szybko. Marsz. Rataj powierzył tworzenie rządu Bartłowi, prosząc go o przedstawienie listy gabinetu na godz. 5-tą po południu, bo o tej godzinie miał znowu przybyć do Sejmu Pan Marszałek. Sytuacja wymagała istotnie nieprzedłużania kryzysu. Tempo, narzucone Bartłowi, było tak niezwykle, że mógł mu sprostać tylko dzięki uprzednim przygotowaniom i przemyśleniom.

Nazajutrz, pod datą 16 maja, pojawia się już w Dzienniku Ustaw R.P. pierwsza uchwała nowej rady ministrów. Jest nią rozporządzenie Rady Ministrów o uchyleniu dokonanego dn. 12 maja przez rząd Witosa zawieszenia praw obywatelskich: wolności osobistej, nietykalności mieszkania, wolności prasy, tajemnicy korespondencji, prawa zgromadzania się itd. na obszarze miasta Warszawy, województwa warszawskiego oraz powiatów siedleckiego i łukowskiego. Charakterystyczne jest dla Bartlę, że działa w danym wypadku nie jako pryncypalista, ale jako empiryk. W kilka tygodni później wprowadzi na krótko analogiczne surowe przepisy w poznańskim.

Objęty przez Bartlę resort Prezydium Rady Ministrów posiadał pewne cechy szczególne. Architektura gmachu, rozmiary i proporcje widnych, często sklepionych gabinetów pracy i salonów, wzdłuż spadającego ku Wiśle parku, na który wychodzi długi i przestronny taras pałacowy, fontanny i baseny ze złotymi rybkami sprawiały, że była to najładniejsza z siedzib urzędowych. Cały ten gmach objął Bartel od razu w bezsporne władanie wypełniając go wszędy i wznosząc nad siebie swoją energią, wybuchami śmiechu, kończącymi się łwowskim «ta-joj»... i wybuchami gniewu, od których drżały szyby apartamentów. Pod «pańskim okiem» Bartlę złote rybki rozłyły się do nieprawdopodobnych rozmiarów.

Jako aparat rządzenia Prezydium przedstawiało się o wiele gorzej. Należały do tego resortu przede wszystkim Prokuratura Państwa, Trybunał Administracyjny i Najwyższa Komisja Dyscyplinarna. Należały do Prezydium Kapituła Orderu «Polonia Restituta», Polska Agencja Telegraficzna (PAT), Drukarnia Państwowa, wydawnictwo *Monitor Polski*, później Radio. Właściwie Prezydium mieściło departament polityczny, prawny, sekretariat komitetu ekonomicznego rady ministrów, wydział prasowy, wydział personalny, wydział budżetowy — wszystko pod kierownictwem podsekretarza stanu. «Przydział partyjny» Prezydium miało do P.S.L. Należał do tego stronnictwa podsekretarz stanu i niejeden wyższy urzędnik. Dwaj poprzedni premierzy — aparatem Prezydium posługiwali się mało. W. Grabski miał za najbliższego politycznego współpracownika dyr. Kauzika w Skarbie, Al. Skrzyński — dyr. Łukasiewicza w M.S.Z.

Osiągnięcie jednolitej pracy rządu bez reorganizacji Prezydium było niemożliwe. Bartel przystąpił do tej reorganizacji nie od razu, na wstępie, bardzo zrzęcznie uniknął zaangażowania rządu w pertraktacje z partiami sejmowymi na temat wyboru nowego Prezydenta R.P. Rozmowy konieczne zostały powierzone kilku politykom, urzędującym na mieście w specjalnie zaimprovizowanym biurze. Wszedłem do tego zespołu razem z Kościalskim, Świąłskim i Hołówką. Mandatów naszych nikt nie kwestionował i wynik był zadawalający. Dopiero po upewnieniu się, że rząd jego posiada zaufanie Głowy

Państwa i po reorganizacji tego rządu tj. po 20-tym czerwca 1926 r. Bartel przeprowadził pierwsze zmiany personalne w Prezydium, zwalniając podsekretarza stanu i naczelnika wydziału prasowego. Reorganizacji rządu towarzyszyły dwa na pozór drobne posunięcia, wzmacniając władzę premiera. Przede wszystkim, z inicjatywy Pana Marszałka, każdy z ministrów przy otrzymywaniu aktu nominacji podpisywał jednocześnie prośbę o dymisję. Na akcie tym brakło dla uprawnienia tylko kontrsygnaty premiera i daty. W ten sposób teki ministerialne były z góry całkowicie do dyspozycji Bartla. Pierwszy taki cyrograf złożył premierowi sam Pan Marszałek. Niemniej istotnym było novum w regulaminie Rady Ministrów. Mocą tego novum premier był wyłącznym gospodarzem porządku dziennego Rady Ministrów. Nie tylko wprowadzenie na porządek dzienny wniosków zgłaszanych przez resorty zależało od jego uznania, ale nawet w czasie rozpatrywania sprawy na R.M. premier był władny zdjąć sprawę z porządku dziennego. W ten sposób żadna uchwała nie mogła być powzięta wbrew jego woli.

Trzy zmiany techniki zostały wprowadzone w stosunkach rządu z Sejmem. Interpelacje sejmowa, dotyczące działalności poszczególnych resortów mogły być kierowane tylko do premiera i tylko premier, po uzyskaniu rzeczowych danych od resortu, na nie odpowiadał. Interwencje poselskie osobiste w urzędach uległy zanikowi. Premier zastrzegł sobie wyłączne prawo przedstawiania programu rządu Sejmowi i jego exposé obejmowało wszystkie resorty. Wyjątkowo dopuszczane wystąpienia poszczególnych ministrów w Sejmie musiały być uprzednio przez szefa rządu aprobowane. Co tydzień, o ściśle określonej godzinie, Bartel «spowiadał» każdego z ministrów resortowych.

Konsolidując w ten sposób stanowisko i pracę rządu Bartel miał do przeprowadzenia w Sejmie dwie doniosłe sprawy: zmianę konstytucji i upoważnienie Prezydenta R.P. do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy.

Obie te ustawy zostały przeprowadzone przez Sejm i w pierwszych dniach sierpnia 1926 r. uzyskały podpis Pana Prezydenta R.P. Zmiana konstytucji polegała, jak wiadomo, na uporządkowaniu trybu uchwalania budżetu przez Izby, umożliwiała rozwiązanie Sejmu i Senatu na wniosek rządu, precyzowała warunki votum nieufności dla rządu, wprowadzała sankcje do art. 22, zabraniającego posłom korzyści materialnych, dostaw i koncesji rządowych, przewidywała, wreszcie, rozporządzenia Prezydenta R.P. z mocą ustawy. Upoważnienie Prezydenta do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy obejmowało zakres uzgodnienia ustaw z konstytucją, reorganizacji i uproszczenia administracji Państwa, uporządkowania stanu prawnego wymiaru sprawiedliwości i świadczeń społecznych, równowagi budżetowej, stabilizacji waluty i naprawy stanu gospodarczego w dziedzinie rolnictwa i leśnictwa. Dotychczasowe

zaniedbania narzucały te sprawy rządowi Bartla. Ustawa wyłączała z pełnomocnictw Prezydenta sprawy konstytucyjne, podatkowe, ordynacji wyborczej itd.

Pierwszym z wydanych na mocy tej ustawy był dekret Prezydenta R.P. z dnia 6 sierpnia 1926 r., w rocznicę wymarszu Pierwszej Kadrowej Legionów, o sprawowaniu dowództwa nad siłami zbrojnymi w czasie pokoju i o ustanowieniu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych.

W dniu 25 sierpnia 1926 ukazało się w Dzienniku Ustaw R.P. podpisane przez premiera rozporządzenie Rady Ministrów o następującym brzmieniu:

«1. W kolumnie «I kategoria — stanowiska oraz tytuły do nich przywiązane» skreśla się stanowiska «Podsekretarz Stanu» i «Naczelnik Wydziału», a wstawia się stanowiska: «Szef Gabinetu Prezesa R.M.» i «Szef Biura Prezesa R.M.». — Było to obwieszczenie stylem urzędowym dokonanej przez Bartla reorganizacji Prezydium R.M.

Reorganizacja ta szła po linii doświadczeń i wzorów niektórych państw zachodnich, daleka jednak była od naśladownictwa. Właściwe Prezydium R.M. podzielone zostało na trzy samodzielne działy: Gabinet Prezesa R.M., Biuro Prezesa R.M. i Biuro Prawne Prezesa R.M. Szef gabinetu nie był bezpośrednio odpowiedzialny za pracę dwóch innych działów, ale miał za zadanie łączenie i orientowanie działalności wszystkich trzech działów, jako poniekąd primus inter pares.

Biuro prawne miało za zadanie reprezentowanie zamierzeń i stanowiska premiera przy opracowywaniu przez resorty projektów ustaw. Biuro Prezesa R.M. było komórką ściśle biurokratyczną, obejmującą działy stałej pracy Prezydium R.M. Biuro prasowe Bartel skasował i przeniósł jego zakres działania do M.S. Wewn.

Nowością w stosunkach polskich był ustrój Gabinetu Prezesa R.M. Celem jego było skupienie wokoło premiera ekipy najbliższych jego pomocników, pracujących dla niego sprawy aktualne poszczególnych ministerstw i odgrywających rolę stałych łączników pomiędzy szefem rządu i resortami. Gabinet składał się z szefa i urzędników do zleceń. Ci ostatni nie byli urzędnikami etatowymi, a kontraktowymi o stosunkowo wysokich uposażeniach. W zasadzie mieli oni odejść razem z premierem. Bartłowi bardzo dogadzały wszelkie koncepcje «trustu mózgów» i dlatego urzędnicy do zleceń zostali skompletowani pod kątem nie tyle doświadczenia biurokraty, co pod kątem kompetencji i zainteresowań w danym dziale. Referat spraw wewnętrznych otrzymał Henryk Józewski, matematyk i artysta, były wiceminister spraw wewnętrznych — Polak w rządzie Petlury. Obok niego stanął Jerzy Stempowski, jako znawca spraw mniejszościowych i, jak wiadomo, wielu innych. Sprawy oświatowe przypadły Januszowi Jędrzejewiczowi, dyrektorowi uniwersytetu korespondencyj-

nego i erudycie w zakresie pedagogii. Z pracy gospodarczej wyrwany został już wówczas zapowiadający się świetnie Stefan Starzyński, aby objąć zagadnienia przemysłu i handlu, później skarbu. Instruktor ze szkoły Wawelberga, niegdyś wieloletni więzień fortecy szlisselburskiej. Wincenty Jastrzębski, — znawca zagadnień organizacji pracy — rozłoczył opiekę nad sprawami komunikacji i robót publicznych. Rolnictwo objął hr. Krystyn Ostrowski, młody działacz gospodarczy na miarę europejską. Antoni Kotużyński, ekonomista niezwykle poważny i systematyczny, referował premierowi sprawy ministerstwa reform rolnych. Dwa przydziały miały charakter raczej formalny. Dotyczyły one resortów pozostających pod osobistym kierownictwem Pana Marszałka. Waleri Sławek objął w Prezydium sprawy wojskowe, ale w rzeczywistości pochłonięta go prawie całkowicie praca nad przygotowaniem organizacji bezpartyjnego bloku współpracy z rządem. Mnie, jako szefowi gabinetu, przydzielił Bartel sprawy formalne ministerstwa spraw zagranicznych. Z tego gabinetu Prezesa R.M. wyszło następnie dwóch premierów, minister spraw wewnętrznych i trzech podsekretarzy stanu. Waleremu Sławkowi i Stefanowi Starzyńskiemu przypadły już tytuły jeszcze wyższej kategorii.

Nowy aparat Prezydium przyjęty został przez resorty, a nawet przez niektórych członków rządu, z pewną nieufnością. Dopatrywano się w nim instrumentu specjalnego politycznego nadzoru. Stwierdzono jednak bardzo szybko, że gabinet Prezesa R.M. nie zajmuje się ani plotkami o ministrach, ani personaliami pod kątem politycznym, ale rzeczową stroną spraw wynikających z inicjatywy premiera lub nadsyłanych przez poszczególne ministerstwa na Radę Ministrów. Wnioski resortów przydzielane były jednocześnie odpowiednim urzędnikom do zleceń i biuru prawnemu Prezesa R.M. Przed wprowadzeniem sprawy na Radę Ministrów premier wysłuchiwał opinii rzeczowej i prawnej swoich współpracowników. Urzędnik do zleceń miał za obowiązek zbadać zarówno uzasadnienie nadesłanego wniosku, jak i jego zgodności z nakreślonym przez premiera programem rządu. W poszukiwaniu danych i wyjaśnień zwracał się do resortu i członkowie rządu przekonali się wkrótce, że działalność gabinetu Prezydium jest także dla nich pomocna. W połączeniu z osobistym autorytetem szefa rządu gabinet Prezesa R.M. stał się skutecznym narzędziem jednolitej pracy rządu.

Gabinet miał swój specjalny klimat i styl pracy. Indywidualności zebranych przez Bartla współpracowników nie nadawały się do urzędniczych prac zespołowych. Bartel konferował z każdym z nich osobno. Zebrania gabinetu pod moim przewodnictwem miały z reguły charakter informacyjny. Stefan Starzyński rychło nazwany został w tym gronie «samowarkiem», tak kipiał ciągle inicjatywą i nowymi pomysłami. W. Jastrzębski odznaczył się zdolnością streszczenia na jednej stronie zawitych projektów ustawodawczych. Gabinet miał także swój

pejzaż. Około godziny drugiej pojawiała się przed Prezydium karetka Krystyna Ostrowskiego, zaprzęgnięta w dwa uczciwe gniadosze własnego chowu. Oczekując na przerwę w pracy urzędowej niemłody stangret patrzył pobłażliwie ze swego wysokiego kozła na zgiełkliwe wozy dostojników państwowych, zalegające dziedziniec Prezydium. O tej samej porze kroczył zazwyczaj ku głównemu wejściu Jerzy Stempowski z zamiarem rozpoczęcia urzędowania. Urzędowanie to odprawiał późno w noc i jarzyły się wtedy samotnie okna jego gabinetu. Wabiły one nieraz premiera, który lubił udawać się na pogawędkę z najbardziej wykształconym ze swoich współpracowników.

Kontrolującemu aparatowi «mózgów» przydał Bartel aparat kontrolujący, rzecz można, mechaniczny. Wielką salę, łączącą jego sekretariat z moim gabinetem, wypełniły oprawne w ramy, bardzo starannie wykonane i co miesiąc regularnie uzupełniane wykresy. Uwydatniały one plastycznie zmiany zachodzące w nasileniu bezrobocia, w najważniejszych gałęziach produkcji, w przewozach kolejowych i portowych, w przywozie i wywozie zagranicznego handlu, w obiegu banknotów, w kursach waluty i kursach giełdowych. Każde ważniejsze i aktualne zagadnienie gospodarcze uzyskiwało swój własny wykres, na którym można było śledzić je z miesiąca na miesiąc.

Jedną z trosk Bartla było poszukiwanie fachowej opinii o poszczególnych sprawach. Dla znalezienia tej opinii nie było innej drogi, jak sięgnąć szerzej do społeczeństwa.

Najpierw, rozporządzeniem Prezydenta R.P. z dnia 12 września 1926 r. utworzona została przy ministrze sprawiedliwości Rada Prawnicza. Celem jej było udzielanie opinii o projektach ustaw przed rozpoznaniem ich na Radzie Ministrów. Następnie przy Prezydium R.M. utworzone zostały trzy komisje opiniodawcze, liczące każda trzydziestu sześciu członków. Pierwsza z nich, komisja gospodarcza, składała się z czołowych przedstawicieli organizacji przemysłu, handlu i bankowości z całego kraju. Przewodniczył tej komisji poseł Andrzej Wierzbicki, dyrektor «Lewiatana». Drugą była komisja rolna, złożona z przedstawicieli organizacji zarówno wielkiej jak i drobnej własności rolnej, dosyć wyraźnie podzielona pomiędzy prawicę i lewicę. Stał na jej czele sen. Stecki. Trzecia wreszcie, komisja pracy, reprezentowała pod przewodnictwem B. Ziemięckiego z P.P.S. punkt widzenia i interesy warstw pracujących. Każdy projekt ustawy, przed wejściem na porządek dzienny Rady Ministrów, opiniowany był przez jedną, przynajmniej, z tych komisji. W posiedzeniach komisji brali udział odpowiedzialni przedstawiciele resortu, który ustawę, wnosił, i odpowiedni urzędnik do zleceń Prezesa Rady Ministrów. W ten sposób Bartel miał możliwość zapoznania się z poglądami fachowców spoza sfer urzędniczych i poinformowania się o opinii miarodajnych przedstawicieli społeczeństwa. W każdej z komisji sześć miejsc było zarezerwowanych dla teoretyków danego

zakresu, przeważnie profesorów wyższych uczelni. Zdarzało się, że premier miał do wyboru pomiędzy opinią większości i mniejszości komisji. Dzięki komisjom opiniodawczym zainteresowane sfery społeczeństwa były informowane z góry o zamierzeniach ustawodawczych rządu. Prezesi i członkowie komisji mogli stale interweniować w celu przedstawienia swoich argumentów bądź to u premiera bezpośrednio, bądź to u jego szefa gabinetu, i pozostawali w stałym kontakcie z urzędnikami do zleceń.

Wyrazem konsekwentnego i uporczywego dążenia Bartla do obiektywnego zbadania warunków życia gospodarczego stały się wkrótce po powołaniu do życia komisji opiniodawczych dwa dalsze zarządzenia. Rozporządzeniem Prezydenta R.P. z dnia 10 grudnia 1926 ustanowione zostało Biuro Badania Cen przy ministerstwie przemysłu i handlu. Rozporządzeniem z dnia 22 grudnia ustanowiona została komisja ankietowa badania warunków i kosztów produkcji oraz wymiany. Po blisko roku pracy wydała ona wyniki swoich badań w kilku pokazanych i pouczających tomach. Przewodniczącym tej komisji był b. minister Czesław Klärner, a dyrektorem biura urzędnik do zleceń Prezesa R.M. — W. Jastrzębski.

Spomiędzy rozporządzeń Prezydenta R.P. z mocą ustawy, rozpatrywanych przez komisje opiniodawcze, przytoczyć można dla przykładu ustawy o zniesieniu służebności, o prawie przemysłowym, o ochronie rynku pracy, o zagospodarowaniu lasów nie stanowiących własności Państwa, o inspekcji pracy, o utworzeniu Główniej i Wojewódzkich Rad naprawy ustroju rolnego, o zwalczaniu zaraźliwych chorób zwierzęcych, o planie stabilizacyjnym i o stabilizacji złotego.

Dzień pracy Bartla rozpoczynał się stosunkowo wcześniej, a kończył późno. Jeszcze w łóżku pobieżnie przeglądał on czasopisma w dosyć znacznych ilościach. Około godz. 10-tej rano Bartel schodził do swego gabinetu na parterze gmachu i, jeśli nie był to dzień wymagający jego obecności w sejmie, rozpoczynał normalne urzędowanie. Poza konferencjami z urzędnikami Prezydium i członkami rządu dużo czasu zabierało Bartłowi przyjmowanie licznych interesantów najróżnorodniejszego pokroju. Był w nim ciągły, zdawałoby się nienasycony głód bezpośredniego kontaktu z ludźmi i z życiem. Jego niespożyta energia i naukowy nawyk krytycznego myślenia pozwalały mu na opanowanie ogromnego materiału danych i faktów bez gubienia się w szczegółach, bez ujemy dla systematycznej konstruktywnej pracy.

W omawianiu i ocenie pracy Bartla należy ciągle pamiętać, że czuwała nad nią z bliska woła i myśl Józefa Piłsudskiego. Ociążeniem dla pracy Bartla nie miały być osobiste kierownictwo Pana Marszałka sprawami polityki zagranicznej i wojska, a także stosunkami pomiędzy rządem i ciałami ustawodaw-

czymi. Kilkakrotnie Pan Marszałek sam obejmował premierostwo, zachowując Bartla jako wicepremiera. Zakres pracy i kompetencji Bartla nie zmieniał się w tych okresach, co zapewniało ciągłość jego trzyletniego rządzenia w Prezydium R.M.

Kontakt Bartla z ludźmi przedłużał poza godziny urzędowania jego szeroka gościnność. Premier i pani Bartłowa przyjmowali niemal co wieczór przyjaciół, członków rządu i współpracowników premiera. Często odbywały się herbaty popołudniowe, gromadzące korpus dyplomatyczny i licznych znajomych. Uroczyste przyjęcia w salonach Prezydium zaszczycali swoją obecnością Prezydent R.P. i Pan Marszałek. Rojno i szumnie było wokoło Bartla w okresie jego gospodarzenia w pałacu radziwiłłowskim. Do stałych rozrywek Bartla należał teatr, który często odwiedzał, i sport samochodowy, któremu, sam prowadząc, z zapalem się oddawał.

Wielka impulsywność Bartla przejawiała się zarówno śmiechem jak i wybuchami gniewu. Śmiech Bartla był z reguły wyrazem jakiejś radości, nigdy szyderstwa. Gniewy jego miały powody rozliczne i nieraz bardzo skomplikowane. Powodem pospolitym była mechaniczna bezmyślność maszyny urzędowej, intrygi i wszelkie formy tchórzostwa w życiu publicznym. Bywały takie gniewy natury raczej osobistej. Pamięć nasuwa mi jeden przykład charakterystyczny dla stosunków w czasach owych.

Zbliżały się Zielone Świąta 1927 r. Bartel, zadowolony ze stanu gospodarczych wykresów, polecił mi, abym wezwał do siebie młodego kreślarza, importowanego ze Lwowa, doręczył mu gratyfikację dosyć hojną i zaproponował w imieniu premiera, odpoczynek i zabawienie się przez Świąta. Młody człowiek zastosował się ściśle do życzenia naszego szefa. Na drugi dzień świąt Bartel wpadł do mego gabinetu, bardzo wzburzony, wołając: «Pan wie co się stało... mego kreślarza zaaresztowali!». Wyraziłem gotowość zatelefonowania do ministra spraw wewnętrznych z prośbą, w imieniu premiera, o wyjaśnienie sprawy. Bartel zgodził się dosyć niechętnie, bo tak spokojna reakcja widocznie mu nie dogadzała. Zaproponowałem, dla zmiany tematu, zreferowanie mu porządku dziennego rady ministrów, mającej się odbyć nazajutrz. Bartel zgodził się i przez długą godzinę słuchał i rozważał spokojnie. Zbieg okoliczności chciał, że na końcu porządku dziennego punkt czternasty zawierał «wniosek ministra spraw wewnętrznych, uzgodniony z ministrem skarbu, o powiększenie o 500.000 zł. kredytów na areszty gminne». Bartel wybuchł na nowo. Zażądał ode mnie obietnicy, że telefonować nie będę i nikomu informacji o aresztowaniu nie udzielę. «Ja mu pokażę na radzie ministrów!..» — groźnie zakończył Bartel. Ostrzegłem go, że wniosek ma zgodę skarbu, że uzasadnienie nie nasuwa wątpliwości i że biuro prawne nie ma zastrzeżeń. Nie wpłynęło to na zmianę decyzji. Nazajutrz, przy czternastym punkcie porządku dziennego, Bartel zabrał głos. Wzburzonym tonem

wywiódł, że skoro tak jesteśmy dbali o tępienie złych obyczajów w wielu dziedzinach, to powinniśmy zwrócić szczególną uwagę na złe obyczaje naszej administracji i naszej policji. W tym zakresie nie widać żadnej poprawy, samowola administracji szaleje. Należy najpierw uzdrowić stosunki w policji, a potem dopiero myśleć o rozszerzaniu aresztów gminnych. «Do tego dochodzi, proszę panów» — zakończył Bartel — «że policja aresztuje moich ludzi!». Na radzie ministrów zapanowało kłopotliwe milczenie i wszystkie oczy zwróciły się na ministra spraw wewnętrznych. W panującej ciszy usłyszeliśmy przepisowe stuknięcie obcasami i brzęk ostróg pod stołem. Gen. Sławoj-Składkowski wyprostował się na swoim fotelu i patrząc prosto w oczy premiera głośno skandował: «Panie premierze, melduję posłusznie, że ludzie pana premiera wszędzie mają pierwszeństwo». Nieoczekiwany argument nie pozostał bez wrażenia. Przez całą podkrowę rady ministrów buchnął śmiech. Najgłośniej śmiał się Bartel. Kredyt na remont aresztów gminnych został przez niego zaaprobowany. Nazajutrz, kreślarz był już przy pracy. Ambitny młodzian, po jakiejś niegroźnej awanturze, odmówił wylegitymowania się i to było przyczyną jego przełrzymania.

Wynik rządów Bartla okazał się, jak wiadomo, wysoce pomyslny. Aktywność bilansu handlowego została osiągnięta już po kilku miesiącach. Bezrobocie zmalało stopniowo do nieprzekraczalnego minimum, dzięki wzmózonej produkcji węgla i poprawie w przemyśle włókienniczym. Budżet państwa osiągnął nie tylko równowagę, ale wykazał znaczne nadwyżki. Stabilizacja złotego została dokonana. Pożyczki zagraniczne zostały pomyślnie zrealizowane. Na podstawie uzyskanych od Sejmu pełnomocnictw rząd przystąpił do zakrojonej szeroko przebudowy i naprawy ustroju rolnego przez zniesienie serwitutów, komasację, parcelację i upemnorolnienie. Równie szeroko zakreślona została i zrealizowana rozbudowa ubezpieczeń społecznych na rzecz robotników i pracowników umysłowych. Powstał Fundusz Kultury Narodowej i zapoczątkowana została Akademia Literatury. Rozbudowa portu w Gdyni weszła na właściwe tory. Nastąpił zakup statków handlowych. Poprawa i rozwój we wszystkich dziedzinach były tak widoczne, że już w grudniu 1926 r. przedstawiciele rolnictwa i przemysłu opozycyjnie usposobionego poznańskiego wypowiedzieli się za współpracą z rządem. Niemalą zasługą Bartla było osiągnięcie znacznej stabilizacji na stanowiskach ministerialnych. Siedmioletnie rządy sejmowe pozostawiły po sobie około dwustu byłych ministrów. Trzyletnie rządy Bartla pomnożyły tę długą listę zaledwie o kilka nazwisk.

Pomimo te wszystkie sukcesy droga po której kroczył Bartel bynajmniej nie była usłana różami. Historyk zgłębi kiedyś i wytłumaczy dlaczego rząd Bartla był tak gwałtownie zwalczany przez partie polityczne. Historyk wykryje może także

źródło i powody nieustannych napaści i kalumnii szerzonych przez niektóre partie polityczne. Nie badając głębiej tych zjawisk miało się wrażenie, że jakieś fatum wewnętrzne popycha je na drogę bezładnej i bezpłodnej opozycji. Poparcie udzielane rządowi Bartla przez ugrupowania centrolewu zmalało szybko. W listopadzie 1926 r. zrzekł się swego sejmowego mandatu z ramienia P.P.S. Andrzej Moraczewski, na tle zatargu pomiędzy Sejmem i rządem z powodu rozporządzenia Prezydenta R.P. o karach za rozpowszechnianie nieprawdziwych wiadomości i za zniewagę władz, zwanego popularnie «dekretem prasowym». W kilka miesięcy później opuścili władze P.P.S. posłowie Jaworowski i Hołowko. Umocniło to kurs opozycyjny pozostałych przywódców. Na próżno poszukiwał Bartel porozumienia na tle zasad liberalnych, które mu były bliskie.

Wybory z marca 1928 r. przyniosły dość znaczne zmiany w składzie izb ustawodawczych. W Sejmie związek ludowo-narodowy utracił dwie trzecie swoich mandatów (40 zamiast 120 w Sejmie poprzednim), P.P.S. utraciła jedną trzecią (40 zamiast 60), stronnictwo Piast uzyskało 35 mandatów zamiast 94. Nieznacznie wzrosli komuniści, blok mniejszościowy i Wyzwolenie. Powstał nowy 130 mandatowy Blok Bezpartyjny Współpracy z Rządem. W Senacie blok ten uzyskał większość.

Wskaźnikiem sytuacji w Sejmie stały się wybory na przewodniczącego tej izby. Wysunięta przez B.B.W.R. kandydatura Bartla upadła. Marszałkiem Sejmu został Ignacy Daszyński. W lipcu 1928 r. Bartel stanął na czele rządu po raz czwarty. Jednym z głównych zadań tego rządu było złożenie izbom projektu nowej konstytucji. W październiku Bartel udzielił *Kurierowi Wileńskiemu* wywiadu, w którym konstatawał, że mamy do czynienia nie z kryzysem, ale z chorobą parlamentaryzmu. Chorobę tę Bartel określał w sposób następujący: «Za istotę klasycznego parlamentaryzmu uważane jest powoływanie rządu przez większość parlamentarną. W ten sposób owa większość bierze niejako na siebie odpowiedzialność swego rządu. Zара- zem jednak, głównym jej zadaniem jest, jak mi się zdaje, kontrola rządu. A więc w rezultacie okazuje się, że ta sama grupa partii, która stanowi większość parlamentarną, powołuje rząd, bierze za niego odpowiedzialność i ma ten rząd skutecznie i bezstronnie kontrolować. Tkwi w tym oczywisty nonsens. Jest to sprzeczność sama w sobie i w tej właśnie sprzeczności dwóch najważniejszych kompetencji parlamentu leży, moim zdaniem, źródło całej choroby parlamentaryzmu». Na pytanie, jakie stąd płyną wnioski, Bartel odpowiedział: «Jestem bezwzględny, zwolennikiem kontroli rządu przez parlament, ...powoływanie władzy rządowej powinno być atrybutem głowy państwa, a nie ciała, którego zadaniem jest kontrolowanie tej władzy». Jednocześnie, mówiąc o organizacji rządu, Bartel wypowiedział się za systemem kanclerskim.

Sformułowane w ten sposób myśli przewodnie nowego ustroju nie trafiły do przekonania większości sejmowej. Co więcej,

wobec zaostrenia dążeń przeciwnych umiarkowany program Bartla stał się na dalszą metę nie do utrzymania. W grudniu nastąpił atak w Sejmie na budżet ministerstwa spraw wewnętrznych. Mimo to, Bartel robił jeszcze usiłowania porozumienia się z częścią opozycji sejmowej w szczególności z P.P.S., i w lutym 1929 r. złożył projekt nowej konstytucji izbom ustawodawczym. W parę tygodni później Sejm postawił wniosek o oddanie min. Czechowicza pod sąd Trybunału Stanu za przekroczenia budżetowe dokonane z nadwyżek wpływów, bez upoważnienia Sejmu. Bartel zgłosił solidarność ze swoim ministrem skarbu i ustąpił, tym razem już ostatecznie. Premierem został minister W. R. i O. P. w rządzie Bartla, Kazimierz Świtalski. Odcinając, Bartel ogłosił artykuł, podając za powód swego ustąpienia fiasco zupełne próby współpracy z Sejmem, mimo że koncepcji tej pozostał wierny. «Muszą teraz być użyte inne metody, a ja nie czuję się na siłach, ani nie mam chęci do ich stosowania». Takie były pożegnalne słowa premiera Kazimierza Bartla.

Wacław GRZYBOWSKI.

Kronika kulturalna

Książka polska w W. Brytanii

WSTĘP

Nie jest potrzebne podkreślanie, że zagadnienie książki polskiej i jej roli na emigracji jest zagadnieniem ważnym.

O sprawach tych wspominać będę jedynie przy charakterystyce ustalonych już też w tej dziedzinie i ich realizacji.

Jedno tylko uzasadnienie chcę uczynić na wstępie: akcja szerzenia i prowadzenia czytelnictwa jest nie tylko samodzielną formą pracy oświatowej, lecz również jest formą pomocniczą dla wszystkich innych działań oświatowych.

Można sobie wyobrazić prowadzenie w jakimś ośrodku pracy oświatowej tylko za pomocą czytelnictwa i może to być, w szczupłym zakresie, ale normalnie prowadzona praca oświatowa, nie można natomiast pomyśleć jakiegokolwiek formy pracy oświatowej — czy to będzie kurs, świetlica czy uniwersytet ludowy — prowadzonej racjonalnie bez oparcia o najmniejszą chociażby biblioteczkę.

Zagadnienie książki jest zagadnieniem bardzo obszernym i można na nie spojrzeć z wielu punktów widzenia.

Nie byłoby możliwości w jednym krótkim artykule ujęcia wszystkich aspektów tego zagadnienia. Chcę więc wyraźnie określić granice i zastrzec się, że sprawę tę będę motywować jedynie od strony organizacyjno-bibliotecznej i to wyłącznie bibliotek typu powszechnego.

Sprawa bibliotek naukowych, zaspokojenie potrzeb młodzieży studiującej i pracowników naukowych jest zagadnieniem odrębnym i w dużo większym stopniu załatwionym przez istniejące i dobrze działające biblioteki.

Sprawa zaspokojenia głodu czytelniczego szerokich mas jest kwestią otwartą i wymagać będzie dużego wysiłku społecznego.

EMIGRACJA A KRAJ

Jednym z motywów, formułowanych przez różne środowiska emigracyjne swojej decyzji niepowracania obecnie do Kraju, jest argument, iż w Kraju kultura polska nie ma warunków swobodnego rozwoju. Zbyt znane są wszystkim metody sowietyzacji duchowej, abym je miała tu omawiać.

Podstawa emigracji protestująca przeciwko pacyfizmowi, wszystko to, co się dzieje w Kraju niepokojącego i negatywnego, wszystkie pozytywne i niesłychanie ofiarne wysiłki i osiągnięcia ludzi w Kraju — wszystko to nakłada na emigrację ciężkie i zaszczytne obowiązki.

Dla zilustrowania atmosfery i nastawienia pracy ludzi w Kraju chcę przytoczyć urywek ze świeżo wydanej książki, uzupełnionego wydawnictwa przedwojennego.

«W ciągu okupacji niemieckiej przepracowano szczegółowe plany wznowień i nowych wydawnictw. Praca była dokonywana w atmosferze całkowitej wolności ducha, charakterystycznej dla ówczesnego życia podziemnego.»

Popularne określenie amerykańskie z doby rozkwitania bibliotek głosiło: «Naród bez bibliotek — to twierdza bez broni.»

Jeśli uważać się mamy, nie we frazesach, ale naprawdę za emigrację polityczną, za emigrację walczącą — jednym z najpotrzebniejszych narzędzi jej działania — musi być książka.

Do jakiego stopnia książka w Polsce została «upaństwowiona» — mogą służyć cytaty z obowiązującej ustawy bibliotecznej (z 17 kwietnia 1946 r.):

«Art. I. 1. Biblioteki i zbiory biblioteczne zarówno krajowe, jak znajdujące się zagranicą, a będące własnością lub w posiadaniu obywateli polskich lub instytucji polskich — uznaje się za narodowe mienie kulturalne, powołane do służenia dobru ogólnemu.

«Art. II, par. 2. Minister oświaty może włączyć do sieci (bibliotecznej) z zastrzeżeniem praw własności, również biblioteki społeczne i prywatne za zgodą ich właścicieli. Minister oświaty może bez zgody właścicieli zarządzić w całości lub częściowo włączenie naukowych bibliotek społecznych i prywatnych do sieci bibliotek publicznych oraz przejmować w wyjątkowych przypadkach na wniosek państwowej Rady Bibliotecznej i oddawać je w formie depozytu zakładom szkolnym i naukowym, o ile tego wymagać będą potrzeby oświaty i nauki. Przepis ten nie może się stosować w przypadkach kiedy biblioteka jest warsztatem pracy właściciela.»

Uznanie jednak za warsztat pracy decydują «odpowiednie czynniki».

STOSUNEK DO KSIĄŻKI NA EMIGRACJI

Przyjrzyjmy się teraz jak formułują swój stosunek do pracy oświatowej i książki niektóre z większych organizacji i instytucji emigracyjnych.

W тезach oświatowych *Światpola* znajdziemy ujęcie następujące: «Na czoło prac społecznych Polonii zagranicznej wysuwa się działalność kulturalno-oświatowa. Celem jej jest utrzymanie łączności duchowej z macierzą i zwalczanie niebezpieczeństwa wynarodowienia.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w statucie swym ujmując zadania kulturalno-oświatowe w sposób poniższy:

- «— uczestnictwo w życiu kulturalno-oświatowym uchodźstwa,
- stworzenie wśród Polaków zagranicą, a w szczególności wśród młodego pokolenia twórczego i dynamicznego ruchu kulturalnego, opartego na tradycji narodowej i organicznych związkach z cywilizacją chrześcijańską,
- pełne zaspokojenie potrzeb kulturalnych i oświatowych członków stowarzyszenia i ich rodzin.»

Sprecyzowaniem postanowień w dziale bibliotecznym są uchwały Rady Głównej.

Rada Główna uchwała, iż majątek książkowy otrzymany po Polskich Siłach Zbrojnych zostanie rozdzielony proporcjonalnie między wszystkie oddziały SPK. Stanie się to podbudową w zakresie akcji czytelniczej Stowarzyszenia. Na pierwszy etap przewidziany jest rozdział 1 książki na 1 członka SPK. W miarę napływu materiału, stawka będzie podniesiona.

Właściwe prowadzenie czytelnictwa wymaga stałego uzupełniania bibliotek nowymi wydawnictwami; w tym celu wzywa się oddziały do mobilizowania wysiłków dla uzyskania odpowiednich funduszy na zakup nowych książek przez:

- 1) wstawienie odpowiednich sum w budżetach,
- 2) wprowadzenie minimalnych opłat bibliotecznych,
- 3) organizowanie imprez dochodowych.

Celem oszczędności i racjonalnego gospodarowania funduszami na akcję biblioteczną — słuszną jest zasada zakupu centralnego. Dlatego też należy — w porozumieniu z Oddziałami — akcję zaplanować i prowadzić przez Zarząd Główny w ramach ustalonych sum.

Dział Oświaty Interim Treasury sprecyzował w swych wytycznych zupełnie szczegółowe zadanie w zakresie bibliotek.

§ VI. Każde polskie skupienie uchodźców musi posiadać własną, stale zasilaną bibliotekę. Zaopatrywanie bibliotek w książki i czasopisma trzeba uznać za jedno z naczelných zadań oświaty na uchodźstwie.

W trosce o rozwój czytelnictwa należy:

- a) opracowywać i ogłaszać katalogi bibliotek (na poziomie paru stopni, zależnie od wieku środowiska i wykształcenia) oraz podawać do wiadomości świeże nabytki biblioteczne,
- b) publikować sprawozdania informujące o wydawnictwach bieżących,
- c) wprowadzać działy polskie w krajowych lub miejskich bibliotekach publicznych,

d) organizować konkursy dobrego czytania, wieczory żywego słowa itd.

Statut Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii mówi:

1) W § III p. 1. Dbałość o zachowanie tradycji narodowej i o swobodny rozwój kultury polskiej oraz zacieśnienie współpracy kulturalnej z demokratycznym Zachodem,

2) Dążenie do zapewnienia Polakom możliwości nabywania i pogłębiania wiedzy fachowej i ogólnej,

3) Troska o los młodzieży polskiej, jej wychowanie i wykształcenie,

4) Zachowanie łączności z Krajem.

Drugi Kongres Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii w swych tezach oświatowych szczegółowo zajął się obecną sytuacją książki, uchwalając szereg rezolucji.

W § 2, pkt. c — domaga się usprawnienia obsługi bibliotecznej.

§ 5 stwierdza: Polski ruch wydawniczy w W. Brytanii przechodzi obecnie ostry kryzys, który znalazł swoje odbicie w prasie. Pewna liczba książek zakwalifikowanych do druku, nie została wydana z braku środków. Ogłaszanie nowych książek zarówno beletrystycznych jak i naukowych, napotyka na coraz większe trudności. Stan ten grozi zamarciem zbiorowej aktywności kulturalnej. Zjednoczenie w porozumieniu ze Zrzeszeniem Wydawców i Księgarzy oraz odpowiednimi władzami i instytucjami oraz organizacjami podejmuje akcję, zmierzającą do przezwyciężenia obecnego zastoju wydawniczego i wzbudzenia zainteresowania dla problemu książki wśród całego społeczeństwa.

§ 6: W zakresie spraw bibliotecznych organem Zjednoczenia będzie istniejąca przy Radzie Kulturalno-Oświatowej Komisja Biblioteczna, która skupia fachowych bibliotekarzy i pracowników bibliotecznych. Do zadań jej będzie należeć m.i. — upłynnienie znacznych zapasów książek polskich znajdujących się w W. Brytanii, oraz udostępnienie ich ogółowi w taki sposób, aby każda jednostka, niezależnie od miejsca zamieszkania, mogła korzystać z biblioteki polskiej. Zarazem należy zorganizować racjonalną gospodarkę zbiorami, które stanowiły własność społeczną, z myślą o ich szerokim udostępnieniu. W związku z tym, Kongres wzywa wszystkie organizacje do:

a) uporządkowania i udostępnienia czytelnikom posiadanego materiału książkowego,

b) zmobilizowania funduszy na właściwe prowadzenie i uzupełnianie bibliotek. Jeśli instytucje te i stowarzyszenia nie czują się na siłach, aby prowadzić biblioteki samodzielnie, wzywa się je w imię dobra ogółu do przekazania majątku książkowego (ewent. w formie depozytu) instytucjom lub organizacjom zdolnym do prowadzenia tych prac. Kongres uznaje za celową inicjatywę Komisji Bibliotecznej w sprawie wydawania periodyku, poświęconego recenzjom książek. Kongres zwraca również uwagę polskich instytucji kulturalno-oświatowych i naukowych

na konieczność prowadzenia bieżącej rejestracji Polonistów emigracyjnych i wznowienia Rocznika Bibliograficznego.

Ponadto Kongres powziął uchwałę: „*Drugi Kongres Zjednoczenia, powołując się na uchwałę pierwszego Kongresu § 1. Wśród celów jakie ma przed sobą Zjednoczenie sprawom kultury i wychowania, przypada w udziale miejsce czołowe, wzywa, aby przy realizowaniu budżetów sumy, wydatkowane na cele oświatowe, odpowiadały wadze tego zagadnienia.*”

Komisja Biblioteczna Zjednoczenia ujmuje swe zadanie następująco:

1) czuwanie nad losem książki polskiej w W. Brytanii,

2) ustalenie zasad udostępnienia książki polskiej uchodźstwu (opracowanie sieci bibliotecznej),

3) koordynacja i podział pracy bibliotek naukowych i społecznych,

4) współpraca z organizacjami zainteresowanymi książką polską — jak Związek Wydawców, Związek Pisarzy itd.,

5) Upowszechnienie zagadnień dotyczących polskiej książki przez zamieszczanie artykułów, urządzanie odczytów, wieczorów książki itd.,

6) opieka nad zagadnieniami zawodowymi bibliotekarzy,

7) pomoc w dokształcaniu i samokształceniu bibliotekarzy,

8) zastępowanie członków z zagadnieniami bibliotekarskimi w Kraju,

9) rejestracja i ewidencja bibliotekarzy na terenie Wielkiej Brytanii.

DANE LUDNOŚCIOWE

Zastanówmy się teraz nad warunkami realizacji akcji bibliotecznej.

Planując jakąś akcję konieczne jest ściśle określenie «adresu». Musimy znaleźć ramy dla «ilu» Polaków i dla «jakich» kategorii czytelników naszą akcję projektujemy.

W historii formułowania idei bibliotek powszechnych ujęcie jej przechodziło dwie fazy:

Faza I — Biblioteka powszechna dla wszystkich i dla nikogo specjalnie; Faza II — Biblioteka powszechna dla wszystkich i dla każdego z osobna.

Dziewięć dziesiątych niepowodzeń prac kulturalno-oświatowych polega na «mijaniu się motywów» — czego innego chcą odbiorcy, a co innego dają im czynniki oświatowe.

Zadaniem racjonalnie pomyślanej pracy oświatowej jest osiągnięcie stanu takiego, aby nie tracąc z oczu celów i nie zbaczając z drogi podnoszenia poziomu prac i zainteresowań, nie utracić kontaktu z dążeniami i pragnieniami odbiorców i zachować ich w formie czynnej — nie tylko jako biernych odbiorców, ale jako współuczestników. Celem określenia ilości naszych odbiorców posłużę się danymi wiceprezesa Zjednocze-

nia kol. Grocholskiego z jego referatu na Kongresie Zjednoczenia.

Liczbę Polaków, przebywających w W. Brytanii oblicza on na około 140.000. Obliczenie to zgodne jest z obliczeniami ostatnio wydanego Rocznika Polonii Zagranicznej. W ostatnim roku wyjechało ponad 15.000; w dalszym ciągu powyżej 15.000 czeka na wyjazd. Równocześnie jednak przybyło ze Środkowego Wschodu 10.000, dalsze 10.000 przybywa. Nie jest uchwytą liczbą Polaków robotników ochotniczych z Europy, gdzie trudny jest nieraz z wielu względów podział na grupy narodowościowe. Grupa ta powinna nas jednak specjalnie zainteresować gdyż w pewnych wypadkach powinniśmy rozszerzyć tam naszą działalność na Ukraińców, Białorusinów, Litwinów itd. A można już stwierdzić fakty, że pojawienie się polskiej biblioteczki w takim mieszanym hostelu wpłynęło nie tylko na zmianę pozycji polskiej grupy, ale pomogło do ułożenia wzajemnych stosunków.

Rozpatrzmy grono Polaków, zamieszkujących Wyspy Brytyjskie od strony poszczególnych grup i kategorii. Niestety dane te są bardzo płynne i co do niektórych właściwości — brak ich zupełnie. Na przykład nie można ogólnie ująć, jaki jest stosunek poszczególnych grup wykształcenia. Zdarzają się obozy złożone niemal wyłącznie z inteligencji, zdarzają się i takie, w których jest niemal absolutny jej brak. Tych danych nie można jeszcze niestety wyprowadzić. Gdybyśmy nawet je mieli — to należałoby przeprowadzić szeroko zakrojone badania czytelnictwa, gdyż poziom i zainteresowania np. czytelnika z ukończoną szkołą powszechną będą zupełnie inne po przejściu całego szlaku «żołnierza tułacza» — niż te jakie można by przewidywać przed wojną.

Przytoczmy jednak pewne charakterystyczne cyfry. W całym zespole 80% stanowią mężczyźni, 15% kobiety.

Należy fakt ten uwzględnić przy doborze książek. Znowu jednak musimy powiedzieć sobie, że wiele rzeczy zmieniło się zupełnie. Zginął niemal całkowicie typ kobiety-czytelniczki, której szczytem pochwały było: «to była taka śliczna książka — tak się nad nią spłakałam». Książka była wtedy śliczna, gdy doprowadzała do łez. Było to zrozumiałe ze strony kobiet obracających się w ciasnym świątku domu i gospodarstwa, które w książce szukały silniejszych wrażeń. Obecnie kobiety szukają już czegoś innego — nie płaczu. Natomiast wyraźnie zbliżyło się do kobiecego czytelnictwo męskie. Odrzucone przed wojną przez mężczyzn powieści typowo «obyczajowe» — obecnie są chętnie czytane. Dobrze się odpoczywa przy opisach spędzania dnia powszedniego w spokojnych czasach, przypominając sobie, jak było urządzone mieszkanie, co jedli na przyjęciach u bohatera książki. Przedwojenna powieść obyczajowa jest obecnie szeroko poczytna.

Grupa dzieci wykazuje tendencję zwykłą. 2.000 polskich dzieci, urodzonych w ostatnim roku — to nasi przyszli czy-

telnicy — o ile będą umiały mówić i czytać po polsku. (Gorzka to uwaga, ale konieczna).

Około 70.000 ma zatrudnienie cywilne — a więc są to ludzie żyjący już spokojniejszym i na dłuższą metę normalnym życiem; z tego jednak tylko 40% pracuje we własnym zawodzie. Należy to znowu wziąć pod uwagę, gdyż człowiek, któremu jego praca zawodowa nie daje zadowolenia — będzie szukał innych form wyżycia się. Boję się uogólniać, ale nie tylko negatywną stronę można w tym zjawisku obserwować. Dość wyraźnie już rysuje mi się spostrzeżenie, że w bibliotece, którą mam pod opieką, inteligenci, pracujący w zawodach «inteligentkich», czytają najmniej wartościowe książki, natomiast inteligenci, którzy przeszli do pracy fizycznej — czytają rzeczy najlepsze. Myślę, że można by to wytłumaczyć dążeniem do nie tracenia kontaktu ze swoją inteligencją.

8.000 inwalidów, 10.000 osób określonych jako posiadające osłabioną zdolność zarobkowania wymagać będą także specjalnego zainteresowania.

2.796 uczniów szkół polskich i 3.000 studentów dadzą nam czytelników przygotowanych do dalszego korzystania z dobrych książek.

600 dzieci, sierot samotnych, to znowu odrębne zagadnienie. Poza podziałem na kategorie, specjalne znaczenie będzie miało rozmieszczenie. Nie można niestety jeszcze ustalić rozmieszczenia Polaków na terenie tych Wysp.

Największe zgrupowania Polaków mieszczą się w Londynie, okolicach Manchester, Lancashire, Birmingham, Liverpool, Sheffield, Walii Południowej i mniejsze niż dawniej w Szkocji.

Samych hosteli w ewidencji Zjednoczenia jest 628. Specjalną pozycję dla prac kulturalno-oświatowych, ze względu na leżące na nim obowiązki, stanowią Domy Polskie (istnieje ich już 15). W przybliżeniu większe zgrupowania Polaków będą rozmieszczone w około 100 punktach.

LICZBA CZYTELNIKÓW I KSIĄŻEK

Od sumy ogólnej musimy odrzucić dzieci poniżej lat 7 i analfabetów jako grupę dolną oraz grupę górną — młodzież studiującą i pracowników naukowych, którzy będą obsługiwani przez biblioteki naukowe. (W zakresie książki beletrystycznej ich zapotrzebowania będą również przez te biblioteki zaspakajane).

Odrzucmy więc z ogólnej sumy 10.000 — otrzymamy wtedy 130.000 Polaków, którzy mogą być naszymi czytelnikami i są rozrzućeni w 1.000 punktach.

Ilu ich będzie czytelnikami rzeczywistymi?

Biorąc pod uwagę specjalny skład emigracji tak pod względem wieku, jak i wykształcenia, uwzględniając pewnego rodzaju «poprawkę» na stosunek do polskiej książki na emigracji, na podstawie spostrzeżeń i rozmów — przypuszczam, że możemy

przyjąć jako cyfrę czytelników 20% ludności. Czytelnikiem nazywam abonenta biblioteki — choć niejednokrotnie czytają książkę z danego konta 2 lub 3 osoby. (Jedynie takie obliczenie jest możliwe w oparciu o realne cyfry, a także daje możność porównania z danymi przedwojennymi). Wobec powyższego cyfrę czytelników możemy określić na 26.000.

Aby czytelnik mógł swobodnie korzystać z biblioteki, musimy mu dać możność wyboru. Przyjmijmy więc stawkę 5 książek na czytelnika, a więc dla zaspokojenia potrzeb czytelnich musimy mieć w bibliotekach 130.000 tomów. (Oznacza to 1 książkę na jednego mieszkańca Polaka. Według spisu bibliotek z r. 1930 w Polsce przypadała 1 książka na 5 mieszkańców, a liczba czytelników wynosiła 4%. W ciągu następnych lat 9, na skutek działalności samorządów, sytuacja się dość poprawiła — nie posiadamy jednak danych cyfrowych).

POSIADANY MATERIAŁ KSIĄŻKOWY

Ustaliliśmy sobie podstawowe zaopatrzenie księgozbiorów na sumę 130.000 tomów w 1000 ośrodków.

Rozpatrzmy się obecnie jak wygląda stan faktyczny — na podstawie bardzo niepełnych danych — na dzień 1 czerwca 1948 r.

	bibliotek	tomów
T. P. P.	260	67.850
S. P. K.	168	42.342
Y.M.C.A.	87	21.159
N.C.W.C.	60	12.000
Komitet Ośw.	8	8.307 ¹⁾
Bibl. Uniw.	1 plus centrala wysyłkowa	7.000 ²⁾
Research Centre	1	3.000 ²⁾
Biały Krzyż	13	1.400
Min. Zdrowia	3	2.000
T.U.R.	1	500
T-wo Polskie Ognisko	3	1.000
Parafia		
Hostele rolnicze		

Razem: 605 166.558

Należy do tego doliczyć Instytut Biblioteka Polska, który ma uruchomić biblioteki dla hosteli z posiadanego zapasu książek i powstające działy polskie bibliotek brytyjskich.

Gdyby do posiadanego materiału doliczyć książki unieruchomione, magazynowane w różnych składach — okaże się, że postulat posiadania 1 książki na mieszkańca Polaka jest już niemal osiągnięty. Po uzupełnieniu ewidencji liczba ta wzrośnie,

1) Na 14 obozów objętych opieką oświatową.

2) Cyfry dotyczą tylko książek polskich, typu bibliotek powszechnych.

po oczyszczeniu księgozbiorów — dość wyraźnie się obniży; w ostatecznym wyniku przypuszczalnie nie będzie jednak daleka od sumy 130.000.

Materiał ten jest jednak zgrupowany tylko w 400 ośrodkach, z 605 punktów trzeba 200 odliczyć na miejscowości, w których są zgrupowane 2 lub 3 biblioteki. Będzie należało przede wszystkim dostosować rozmieszczenie książek do miejsc zamieszkania Polaków. Nie dziwnego, że z 600 ośrodków wołają o książkę, której zupełnie nie posiadają, jeśli cały materiał książkowy znajduje się w 400 ośrodkach.

To nam daje stosunek taki, iż w jednej miejscowości 600 Polaków jest zupełnie pozbawionych książki, a w sąsiedniej na 400 mieszkańców (a więc 80 czytelników) znajduje się biblioteka z 1000 tomów.

Zasadniczy mój wniosek brzmi w ten sposób: jeśli chodzi o księgozbiory podstawowe — nie ma takiego braku książek, o jakim się mówi, jest tylko wyraźnie wadliwa organizacja.

Materiał książkowy określany cyfrowo nie daje nam jednak cyfr ścisłych — należy również ocenić ten materiał jakościowo.

W bibliotekach naszych spotykamy wydawnictwa z terenu W. Brytanii, Italii, Jerozolimy, Ameryki — niewiele z terenu Niemiec i Francji. Wiele wydawnictw wydanych na emigracji zostało już zupełnie wyczerpanych i nie ma możliwości nabycia ich obecnie do nowo tworzących się bibliotek. W obecnym okresie zaczynają do bibliotek napływać wydawnictwa z Kraju, budzące duże zainteresowanie, a stanowiące dużą trudność dla bibliotekarzy.

Jakościowo zestawy biblioteczne zawierają dużą liczbę broszur, niejednokrotnie zupełnie nieaktualnych, często w dużej ilości egzemplarzy — mających wartość nie raz tylko dokumentaryczną jedynie, a żadnej «czytelniczej». Nie ujmując wartości niektórym broszurom, trzeba stwierdzić, że przeciętny czytelnik ich nie chce i nie czyta (chyba, że broszura jest sensacją polityczną). Czytelnik chce książki solidnej, grubej — chce mieć co wziąć do ręki.

Pozwolę tu przytoczyć sobie autentyczną rozmowę: «Jakto mówię — domagacie się biblioteki, a macie na miejscu bibliotekę, tyle a tyle tomów. Na to mój interesant: «Ależ proszę pani — my mamy tylko same Wragi, a biblioteki nie mamy!» Niech się autor nie obraża — mówi to tylko o jego płodności i popularności. Jego nazwiskiem ochrzczono cały dział piśmiennictwa.

Tworząc zestawy biblioteczne będziemy wiedzieli, że możemy stworzyć dobry dział poezji, dość mocno jednostronny dział popularno-naukowy (mechaniczny i rolniczy), przeładowany i na ogół słaby jakościowo dział polityczno-propagandowy, słaby dział dziecienny (z b. dużym brakiem książek dla starszych dzieci), ogromnie niezaspakajający potrzeb dział powieści, dobry, ale mało czytany dział reportaży (czytają b. jeńcy i A.K.).

Trochę na poprawę tej sytuacji mogłaby wpłynąć wymiana książek znajdujących się w pewnych bibliotekach w nadmiernej

liczbie egzemplarzy (tam, gdzie potrzebny 1—23) na książki inne.

Po kroku pierwszym zewidencjonowania bibliotek, należy wykonać krok drugi — oczyszczenie księgozbiorów — wycofanie i zmagazynowanie całego «balastu» bibliotecznego. Dopiero cyfry osiągnięte po dokonaniu tej czynności dadzą nam pełną orientację jakie jest zaopatrzenie nasze w użytkowe zasoby biblioteczne.

UZUPEŁNIANIE BIBLIOTEK

Gdyby nawet zostało rozwiązane zagadnienie zaopatrzenia bibliotek w księgozbiory podstawowe z materiału posiadanego już przez polskie organizacje społeczne, stanie przed nami zagadnienie zdobycia funduszków na uzupełnienie i konserwację bibliotek.

Aby biblioteka była żywa — musi mieć stały dopływ nowych książek.

Gdy biblioteka żyje, książki dawne są w niej czytane równolegle z nowymi — jeśli biblioteka nie ma dopływu nowych książek, staje się «wyczytana», czytelnicy od biblioteki odchodzą — w bibliotece marnuje się nieraz cenny materiał księgozbioru podstawowego.

Jaki musi być choćby minimalny dopływ nowych książek, aby biblioteki żyły? Wydaje mi się, że jedna książka na czytelnika rocznie jest wymaganiem normalnym i uzasadnionym. Wobec tego dopływ roczny winien wynosić 26.000 tomów (jedna piąta książki rocznie na mieszkańca).

Biorąc jako orientacyjną sumę ceny książki wraz z oprawą 10 sh. (7 i 3), potrzebna suma wynosić będzie £ 13.000. Z opłat czytelników przy 6 d. miesięcznie otrzymamy sumę £ 7.800 — przy jednym szylingu miesięcznie sumę — £ 15.600.

W ten sposób istnieje możliwość pokrycia wydatków na zakup i oprawę książek z opłat czytelnich. Pozostają do pokrycia wydatki na pomoce biblioteczne, pracownika, ew. lokal. Z funduszków organizacyjnych, drogą zbiórek na Fundusz Biblioteczny i imprez dochodowych należałoby zdobyć fundusze na ten cel.

Konieczność zdobycia tych funduszków jest palącą, gdyż jedynie biblioteka «żywa», uzupełniana i dobrze prowadzona będzie placówką, która będzie spełniać rolę oświatową. I tu występuje rola człowieka. Nie ma dobrze prowadzonej biblioteki bez dobrego bibliotekarza. Szczególniej biblioteki powszechnej, gdzie bibliotekarz musi być często doradcą czytelnika w bardzo szerokim zakresie. Przecież najczęściej spotykamy żądaniem ze strony czytelnika jest powiedzenie: «niech mi Pani da coś ładnego», czy coś «dobrego»! Jaka książka jednak jest «dobra», często dany czytelnik nie umie sformułować. Dobrze przygotowany technicznie bibliotekarz, równocześnie psycholog i społecznik — umiający się wzywać w cudze pragnienia i dążenia — jest elementem niezbędnym dobrej biblioteki.

Jeśli chcemy więc mieć placówki naprawdę wypełniające swą rolę kulturalno-wychowawczą — musimy i na tego pracownika znaleźć fundusze.

Muszą czynnikami zajmującymi się bibliotekami zorientować się — jak wiele wymagająca czasu i jak żmudna jest praca bibliotekarza oraz jak wielki wpływ ma on na życie biblioteki. Rozumienie tych spraw, które nigdy nie stało wysoko, (pamiętam wiele walk, jakie toczył Polski Związek Bibliotekarzy o pozycję swych członków) na emigracji, mimo jednogłośniejszych zapewnień o zrozumieniu dla sprawy opieki nad polską książką — nie wzrasta. Wręcz przeciwnie — większość prac tego typu wykonywana jest przez «ofiarników» społecznych — bez żadnego często przygotowania i zwykle bez wynagrodzenia, a nawet ostatnio trzeba zanotować fakt, że w bibliotece na wysokim poziomie naukowym i technicznym w swoim czasie zredukowano cały personel i pozostawiono na 34.000 tomów jedną bibliotekarkę. Obecnie nastąpiła pewna poprawa i część personelu przywrócono.

Musimy więc sobie wyraźnie powiedzieć, że biblioteka żywa składa się z trzech elementów: książki, czytelnika i bibliotekarza-pośrednika między czytelnikiem i książką. Muszą istnieć wszystkie te trzy elementy — aby biblioteka nie była kaleką.

Jako ilustrację chcę przytoczyć obrazek z ostatnich 8 miesięcy.

Biblioteka 500 tomów i 36 czytelników, posiadająca stały dopływ nowych książek i dobrą bibliotekarkę — w ciągu 8 miesięcy zwiększyła liczbę czytelników pięciokrotnie, liczbę wypożyczeń — 14-krotnie. Biblioteka 700 tomów — 150 czytelników, która przez te 8 miesięcy została pozbawiona dopływu nowych książek i odpowiedniej bibliotekarki — obecnie liczy w dalszym ciągu 700 tomów i 17 czytelników.

Jeszcze jedno spostrzeżenie: czytelnicy (potencjalni) nie wiedzą gdzie są biblioteki, nie wiedzą dokąd zwrócić się po książkę. Jeden z nieznanych mi przyjaciół moich, z którym koresponduję od paru lat, przysłał mi z Niemiec list, otrzymany z jednego z hosteli w Anglii, gdzie opuszczona «dipiska» — prosi go o przysyłanie książek z Niemiec, bo... nie ma co czytać. Sprawa została załatwiona, ale okazało się, że podanie szeroko wiadomości o istniejących bibliotekach natrafia na trudności. Biblioteki dobrze prowadzone, a nie mające dostatecznych warunków rozwoju (lokal, budżet, pracownicy) boją się ogłaszać, aby fala nie poszła im ponad głowę.

ORGANIZACJA SIECI

Zasadniczym warunkiem powstania racjonalnej sieci bibliotecznej jest koordynacja poczynań wszystkich organizacji pracujących na tym polu.

Sieć bibliotek polskich na terenie W. Brytanii moglibyśmy wyobrazić sobie następująco:

Polska Biblioteka Uniwersytecka w Londynie z wypożyczalnią wysyłkową dla czytelników zamiejscowych.

Biblioteka Dokumentaryczno-Bibliograficzna — zawierająca dorobek wydawniczy emigracji — przeznaczona w przyszłości na przeniesienie do Polski — zawierająca ponad to jedyne egzemplarze książek wartościowych (nadających się ewentualnie do przedruku), lecz uruchomiona jedynie jako czytelnia na miejscu — nie wypożyczalnia książek.

Centralna biblioteka wysyłkowa — typu biblioteki powszechnej — wypożyczająca książki za pośrednictwem poczty — nastawiona na obsługiwanie rozproszonych pojedynczo Polaków.

Biblioteki powszechne, stałe na terenie większych skupisk Polaków i większych miast i «Domów Polskich» (Edynburg, Glasgow, Leeds, Manchester, Birmingham, Preston Chorley, Bristol itd.). W obecnym momencie stałe większe biblioteki muszą istnieć na terenie dużych obozów. W przyszłości księgozbiory te zostaną rozdzielone lub przeniesione, w zależności od zmian, jakie zajdą w rozmieszczeniu Polaków.

Biblioteki powszechne, ruchome lub uzupełniające do zestawów statych we wszystkich punktach bibliotecznych.

Sprawa bibliotek ruchomych nie jest zagadnieniem łatwym. Przede wszystkim w naszych warunkach niestabilnych należy wykluczyć koncepcję bibliotek wędrownych. Była to koncepcja zastosowana do warunków pełnej odpowiedzialności i doskonałej organizacji — biblioteka wychodzi z centrali i idzie do punktu A, z punktu A do B, z B do C i dopiero po obejściu całego koła wraca do centrali — obawiam się, że w naszych warunkach nie by nie wróciło.

Działanie bibliotek ruchomych wygląda w ten sposób, że biblioteka z centrali idzie do punktu A, wraca, następnie wychodzi do punktu B itd. Do punktu A w tym czasie idzie biblioteka nr II. Jest to już koncepcja lepsza do zastosowania, ale i tu są na naszym terenie duże trudności.

Koncepcja ta najlepsze zastosowanie znajduje w warunkach dużego rynku księgarskiego (ostatnio w Polsce 8.000 tytułów rocznie) i małych śródownisk. W obecnych warunkach wzbudza duże wątpliwości. Mamy małą liczbę tytułów, a duże śródowniska. Jeśli mamy biblioteczkę ruchomą 100 tomów i w ośrodku 500 ludzi, a więc 100 czytelników — to biblioteka ta będzie musiała tam przebywać, licząc że czytelnik ma prawo trzymać książkę 2 tygodnie, — co najmniej 40 tygodni — a właściwie rok — więc «ruchomość» staje się bardzo problematyczna. Drugim zagadnieniem jest fakt, że po zrobieniu 3 czy 4 zestawów z materiału znajdującego się na rynku — stajemy bezradni.

Trzecim momentem jest fakt, że ze zbiorowiska kilkuset ludzi w warunkach emigracyjnych nie ma po prostu mowy o wycofaniu z kompletu *Pana Tadeusza*, *Trylogii*, *Lalki* itd., a więc w kompletach będziemy wciąż tam i z powrotem przysyłać te same książki.

Jedynym wyjściem wydaje mi się modyfikacja koncepcji —

zostają ustalone zestawy (pół stałe), złożone z książek podstawowych i dosyłane do punktów małe komplety nowości.

RUCH WYDAWNICZY A POTRZEBY BIBLIOTEK

Na wstępie charakteryzowałam już rynek W. Brytanii od strony trudności zestawienia odpowiednio dobranej biblioteki.

Zastanawiając się nad przyszłością polskiego ruchu wydawniczego, przeżywającego ostry kryzys, mam wrażenie, że będzie należało zakreślić zasadnicze linie dla przyszłych wydawnictw, a więc kolejno:

1) książki, które nie mogą ukazać się w Kraju ze względu na swą treść czy tematykę,

2) książki nowe, pisarzy przebywających na emigracji,

3) książki nie wydane gdzie indziej, na które zarysowuje się specjalne zapotrzebowanie (typu podręczników, przewodników itd.).

Przedruki dawnych pisarzy oraz dzieła literackie nowe — raczej będzie tu należało kupować nadesłane z Polski, a znajdujące się obecnie na tutejszym rynku księgarskim. W tej dziedzinie należy jednak ułatwić sytuację bibliotekarzom. Nowe, a nieznane nazwiska autorów, krytyków i firm wydawniczych nie dają żadnych przesłanek do wysuwania wniosków o wartości tych wydawnictw.

Obok nowych książek stanowiących dorobek literacki lub dokumentaryczny, ukazuje się wielka liczba wydawnictw zupełnie bezwartościowych. We wspomnianej już poprzednio książce, wydanej w Kraju, powiedziano, że z całego dorobku wydawniczego pierwszego roku po wojnie — nadawało się do bibliotek jedynie kilkanaście książek.

Jedną z palących potrzeb będzie orientowanie kierowników bibliotecznych w ukazującym się materiale książkowym od strony jego wartości i przydatności bibliotecznej. Komisja biblioteczna planuje takie wydawnictwo.

Przy rozważaniach sprawy uzupełniania bibliotek ustaliliśmy, że dla dobrego działania bibliotek — biblioteki polskie winny zakupić 26.000 tomów rocznie. Jeśli ustaliliśmy sobie, że biblioteki te tworzą 260 jednostek 500-tomowych (jako biblioteki podstawowe) — do każdej z nich należy zakupić co najmniej 2 egzemplarze nowej książki — wypadnie nam, że biblioteki winny zakupić rocznie 50 książek, każdej z nich w sumie 520 egzemplarzy.

Sprawa ceny książki i popytu — błędnego koła — z którego bardzo trudno znaleźć wyjście, jest jednak już tak stara, że trudno coś nowego o niej powiedzieć.

W Polsce, w okresie 20-lecia — jako przeciętną — mieliśmy, że powieść ukazywała się w 2000 nakładzie. Książka naukowa — w 400. Musimy szukać na to rady — nie możemy się dziwić tej sytuacji — 2000 na 34 miliony i 1000 na 130.000 — ależ to zjawisko, z którego emigracja może być dumna. Nie wolno

jej tylko tego dorobku 1 egz. na 17.000, a obecnie 1 egz. na 130 mieszkańców zaprzepaścić.

Uzupełnieniem sieci bibliotek będzie powołanie do życia jak największej ilości klubów czy spółdzielni czytelniczych. Regulamin takiej spółdzielni czytelniczej, do której sama należę, przytaczam: Czytelnia udziałowa została założona przez grono osób na następujących zasadach:

1) cel — popieranie czytelnictwa przez wspólny zakup książek i periodyków. 2) Książki pozostają własnością udziałowców. W razie likwidacji czytelnicy zostaną one rozdzielone między poszczególnych członków w stosunku do dokonanych wpłat. 3) Wpływy przeznaczone na zakup książek, ich konserwację i technikę wypożyczania składają się z: a) udziałów na 10 sh. od osoby (mogą być wpłacone w 2-ch ratach), b) miesięcznego abonamentu po 2 sh. 4) W przyszłości, gdy zbiór książek się powiększy, mogą być przyjmowani abonenci nie będący członkami-udziałowcami. Wpłacają oni po 3 sh. miesięcznie. W razie likwidacji czytelnicy, część książek, odpowiadająca globalnej sumie wpłat dokonanych przez tych abonentów, będzie po potrąceniu kosztów ogólnych przekazana bibliotece Stow. Pol. Komb., o ile nie zapadną inne decyzje ogółu członków-udziałowców. 5) Zakup książek odbywa się po zebraniu propozycji udziałowców. Udziałowców jest 10 osób — posiadamy już 30 książek.

WNIOSKI

Po tym jedynie zasygnalizowaniu zagadnień chcę wysunąć praktyczne wnioski i postulaty, jakie mi się nasunęły.

Akcja biblioteczna i wydawnicza jest jedną z niewielu dziedzin, z których emigracja będzie mogła wykazać przed Krajem z pewną dumą osiągnięcia: 1 książka biblioteczna na mieszkańca, 20% czytelników i 1 egzemplarz wydany na 130 mieszkańców — są to osiągnięcia, których nie będziemy się wstydić.

Tym bardziej więc w obecnym okresie nie można dopuścić do tego, aby ta akcja załamała się i wiele dotychczasowych wysiłków poszło na marne.

Wobec tego należy:

- 1) Przeprowadzić ewidencję bibliotek,
- 2) oczyścić księgozbiory,
- 3) opracować sieci biblioteczne poszczególnych organizacji,
- 4) uzgodnić sieć biblioteczną jako sieć ogólnopolską, aby uniknąć rozpraszania wysiłków. Dostosować rozmieszczenie bibliotek do sieci,
- 5) udostępnić i ożywić martwe biblioteki,
- 6) dać bibliotekom odpowiednie kierownictwo,
- 7) dać bibliotekarzom pomoc w formie informacji o książkach i wskazówek technicznych (podręcznik),
- 8) zapewnić fundusze na prowadzenie i uzupełnianie bibliotek,

9) uzupełnić sieć biblioteczną siecią czytelni spółdzielczych. Nie widzę ma tle moich danych, aby sytuacja była tak katastrofalna i brak książki tak wielki jak to się obecnie często mówi. Nie widzę niemożności załatwienia sprawy funduszy na prowadzenie i uzupełnianie bibliotek, a równocześnie widzę kryzys książki, niemożność ukazania się nowych wydawnictw, perspektywę, że po uporządkowaniu bibliotek nie będziemy mieli możliwości otrzymania dla nich nowych, odpowiednich książek. Rysuje mi się, mam wrażenie, wiele sposobów ratunku, ale tylko wtedy, gdy zdołamy zasypać przepaść między słowami a czynami.

Swego czasu Słowacki snuł obawy, że wieszcz może zginąć z niemiłowania tak, jak z głodu.

Czas uderzyć na alarm, aby książka polska na emigracji nie zginęła z niemiłowania.

Ale uczucie nie może być bierne. Miłość do książki musi być rzetelna i czynna. Jakimi czynami ma się wyrazić to uczucie — nad tym wypada nam się zastanowić dzisiaj.

J. A. ŚWIECICKA,

„POD PRĄD”

*Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
(wychodzi 3 razy w miesiącu)*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: *«Libella»*, 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IVe.
(cena 25 fr.).

W. BRYTANIA: *Pokrzywy Londyńskie*, 49, Mill Hill Grove,
London W.3.

BELGIA: *Księgarnia Polska*, 42, rue Defacqz, Bruxelles
(cena 7 fr.).

WŁOCHY: *Jan Grochowski*, via della Croce 81, Roma.

Książki

Pamiętniki Churchill'a

Winston Churchill był w pierwszym okresie drugiej wojny światowej bożyszczem Polaków. Wspominam z tych lat, kiedy Polska pozostała jedynym w polu sojusznikiem Wielkiej Brytanii, wizytę jego u wojska polskiego w Szkocji. Dzień był szary i słotny. Przed małą stacją stała rozwinięta kompania honorowa w battledressach i hełmach. Churchill wyszedł z wozu salonowego, a za nim Mrs. Churchill. Szepnął do niej: «Chodź posłuchać jak powiem im: Czołem ulani!» Wyszedł przed stację trzymając nieodłączne cygaro, stanął przed samym wyciągniętym szeregiem i patrząc żołnierzom prosto w oczy mocnym, dobitnym głosem huknął po polsku powitanie. Ułani gromko odpowiedzieli: «Czołem Panie Premierze!»

Scena była szczerze wzruszająca. W powietrzu skrzyżowały się spojrzenia ze stron obu pełne hardej tężyny i spokojnej ufnosci. Żołnierze polscy zawierzyli wielkiemu Churchillowi. On ze swej strony czuł niewątpliwie, że na tych ludziach się nie zawiedzie...

Książka Churchilla: *The Gathering Storm* opisuje zdarzenia bezpośrednie poprzedzające owo spotkanie na ziemi szkockiej. Jest tam mowa także o Polsce i o Polakach choć nie tak jakby oni oczekiwali...

W przedmowie autor składa książkę w ręce czytelnika jako ciąg dalszy prac: *The World Crisis*, *The Eastern Front* i *The Aftermath*, poświęconych wcześniejszym okresom zmagani politycznych i wojennych, które Churchill obejmuje wspólnym mianem Wojny

Trzydziestoletniej. Tak jak i poprzednie książki to niezwykła. Pisana pośpiesznie niemal w ogniu wypadków, bez odczekania ich dalszych skutków. Jest przede wszystkim jak gdyby zwierciadłem, w którym odbija się autor, człowiek czynu i artysta, wspaniały mówca i zapamiętały patriota brytyjski, urodzony z matki Amerykanki potomek sławnego i zdolnego rodu, któremu tradycyjnie przypisuje się egocentryzm i żądze sławy.

Churchill jest bardzo angielski przez swój upór bulldoga, który mu pozwala nieraz latami iść pod prąd opinii publicznej, przez zdolność opanowywania szczegółów i żywe zainteresowanie nimi. Od większości swoich rodaków różni się natomiast wyjątkową zdolnością ogarniania błyskawicznie całości zagadnień i żywym zrozumieniem historii. Jest rzeczą dla stosunków angielskich charakterystyczną, że te właśnie najrzadsze w każdym kraju talenty hamowały często jego polityczną karierę w czasie pokoju. One, obok skłonności do ryzyka i władczych instynktów odstręczały od niego polityków, a także i opinie przyzwyczajoną szukać w brytyjskich mężach stanu wytrawności, rutyny i przecznej ostrożności. Książkę Churchilla wyróżnia otwartość, miejscami niemal cyniczna w wyliczaniu przesłanek osądu i pobudek działania. Są od tego wyjątki. Dotyczą one niestety zwłaszcza spraw polskich — o czym niżej. Książka Churchilla jest na ogół wolna od ciężkiej i mdłej przyprawy hipokryzji, którą czytelników zbyt

często racza stołeczne i niestołeczne brytyjskie pisma codzienne i periodyczne. Churchill ma zbyt wiele dobrego smaku i bystrości a za mało cierpliwości by się opłacać kokonem światobliwych kłamstewek, które służą zazwyczaj do pokrycia niezaradności, słabości jeśli nie egoistycznej bezwzględności. Nazywa rzeczy po imieniu — w słowach zrozumiałych, często wymownych nieraz naśladowanych pasją lub ironią, nigdy nudnych.

Nie znaczy to, by dzieło byłego Premiera brytyjskiego, a dzisiaj przywódcy konserwatywnej opozycji wolne było od tendencji. Ta Historia-Pamiętnik to zarazem pociągnięcie polityczne. «Wojna Trzydziestoletnia» bynajmniej nie jest skończona. Już się niezgorzej posunęła ku czterdziestce na przekór historycznej analogii. Tylko «protagoniści» się zmienili. Historykowi jej wypadło uwzględnić przewrót, którego widocznie nie przewidywał w roku 1945, kiedy po ustąpieniu ze stanowiska premiera zabrał się natychmiast do dzieła. Większą część książki ukończył widać w okresie utrzymującej się fikcji współpracy demokracji anglosaskich z totalitaryzmem moskiewskim. Potem działo się coraz gorzej. Moskwa przesłała do natarcia nie troszcząc się więcej o kamuflaż. Nad światem zawisła groźba trzeciej wojny światowej. Churchill nie miał widocznie czasu ani cierpliwości na gruntowniejsze przeróbki choćby w tych ustępach, w których z uderzającą pobiażliwością ocenia najcięższe grzechy Moskwy przeciw moralności międzynarodowej. Natomiast obok nich pomieszczył zdania pletnąjące praktyki sowieckie, a zwłaszcza ostrzeżenia przed groźącym stamtąd niebezpieczeństwem. Szczególnie ciekawym pod tym względem jest rozdział pierwszy. Churchill podaje tam jako cel wychowawczy książki wykazanie, że druga wojna światowa przy większej stanowczości była łatwa do uniknięcia, a także, że: «państwa demokratyczne o ile nie są stopione w większe ustroje nie posiadają na skutek swej struktury i obyczaju znamion trwałości i wiary w siebie, które jedynie mogą zapewnić biednym masom bezpieczeństwo.» Kończy zaś przestroga: «Zobaczmy» — (w następnych rozdziałach), — «jak ostrożność i wstrzemięźliwość stać się mogą główną przyczyną śmiertelnego niebezpieczeństwa; jak droga pośrednia obrona w imię troski o bezpie-

czeństwo i spokojny żywot wieść może prosto do katastrofy».

Książka dzieli się na dwa tomy. Pierwszy noszący podtytuł *From War to War* obejmuje okres od roku 1922 do wybuchu drugiej wojny światowej, drugi: *The Twilight War* doprowadza czytelnika do dnia 10 maja 1940 kiedy w następstwie klęsk aliantów w Norwegii upadł rząd Neville Chamberlaina, a władza przechodzi w ręce Churchilla. Tego samego dnia rozpoczyna się ofensywa niemiecka na froncie zachodnim.

Opis wypadków politycznych jest związany z osobą autora co nadaje mu aktualność. Zawiera szczegóły nieznanne, wypowiedzi głośnych wówczas aktorów na politycznej scenie. Zawiera przede wszystkim poglądy osobiste Churchilla. Uderza w nich silne ściszenie nuty antyniemieckiej. Dosadnie scharakteryzowany i potępiony jest «Kapral Hitler» i jego otoczenie. Brüning — dzisiaj żyjący — wspomniany jest z życzliwością. Jego plan (z roku 1932) przerobienia Niemiec na monarchię konstytucyjną na wzór angielski i osadzenia na tronie jednego z Hohenzollernów podoba się Churchillowi. Szczegóły pochodzą niewątpliwie od samego Brüninga. Z akcentem żalu Churchill opisuje niepowodzenie rokowań podjętych wówczas przez Brüninga z mocarstwami zachodnimi «o daleko idący plan rewizji traktatów».

Wspomina dwa etapy rewizji: 1) Zrównanie zbrojeń (które ocenia jako nieporozumienie), 2) Skreślenie odškodowań (które pochwała). Nie mówi w tym miejscu o możliwości etapów dalszych (np. dotyczących spraw terytorialnych!). Swoją opinią na ten temat ujawnia natomiast już wcześniej *) w wymownym choć krótkim ustępie poświęconym ocenie paktów lokarneskich: «Nawet Stresemannowski Niemcy byli jednak niesklonne do wyrzeczenia się możliwości zgłoszenia roszczeń na wchodzie, lub do przyjęcia położenia terytorialnego traktatowego w odniesieniu do Polski, Gdańska, Korytarza i Śląska Górnego... (sic!) «...W żadnej chwili nie odrzucałem możliwości podjęcia próby dania Niemcom większej satysfakcji na ich wschodniej granicy. Ale w czasie owych krótkich lat nadziei żadna sposobność po temu się nie nadarzyła».

*) Na stronie 30 wydania amerykańskiego.

Churchill lubi wielkie sprawy, mocnych ludzi, potężne państwa. Dla tych ostatnich ma słabość i wyrozumiałość. Jak świadczy jego ostatnie wystąpienia stracił iluzję, które żywił lub chciał żywić w odniesieniu do Rosji. Ostrzega przed nią i zagrzewa zachód do oporu. Ale w książce swojej idzie bardzo daleko w usprawiedliwieniu jej postępowania z lat niedawno minionych. Podsuwa jej godziwe intencje. Pakt Ribbentrop-Molotov w jego interpretacji to nie zmowa podyktowana chęcią grabieży, ani nawet pociągnięcie w generalnej strategii walczącej komunizmu, ale przede wszystkim akt samoobrony: zyskanie na czasie dla zabezpieczenia się przed napadami. Zagarnięcie terytorium to «glaci» przed rosyjską pozycją, którego opanowanie przez potężne mocarstwo wschodnie nie powinno z tego powodu budzić wstrząsu moralnego *).

Churchill przytacza, bez protestu ani ironii, to co mu na ten temat powiedział sam Stalin podczas rozmowy nocnej na Kremlu w sierpniu 1942 **):

«Odniesiśmy wrażenie», mówił Stalin, «że rządy brytyjski i francuski nie były gotowe do wojny o ile by Polska była napadnięta, lecz liczyły na to, że Hitler w obliczu dyplomatycznej kombinacji brytyjsko-francusko-rosyjskiej cofnie się, my natomiast byliśmy pewni, że tak nie będzie. Wiele dywizji», zapytał Stalin, «Francja wystawi przeciw Hitlerowi w chwili mobilizacji?» Odpowiedź padła «około setki». Spytał wówczas, «A Anglia?» «Dwie i jeszcze dwie później». «Ach! dwie i później dalsze dwie» powtórzył Stalin. «Czy wiecie ile dywizji będziemy musieli wystawić na froncie rosyjskim, jeśli wystąpimy przeciw Niemcom». Nastąpiła przerwa: «Więcej niż trzysta». Churchill kończy uwagę, że: «Grunt rozmowy obrany przez Stalina był mocny choć nie korzystny dla p. Stranga z Foreign Office'u.»

Churchill tak zwykle precyzyjny w swych rozważaniach strategicznych zdaje się zapominać, że według jego własnych obliczeń Niemcy we wrześniu 1939 r. na wszystkich fron-

tach miały razem tylko 98 dywizji w tym znacząco ilość niepełnowartościowych!

Poszanowaniu dla potężnych tego świata towarzyszy niestety w dziele Churchilla brak serca dla słabych. Pomijam pogardliwy zwrot o Irlandii południowej w memorandum Churchilla z czasu wojny: «Tzw. neutralność tzw. Eire» (!) To sprawa domowa, echo zadawnionych waśni. Mam natomiast przede wszystkim na myśli państwa Bałtyckie. Są one przedmiotem surowej krytyki: «Najgwałtowniej antybolszewicki rejon Europy», «typ społeczeństwa i rządu, którego naczelną zasadą była wrogość dla komunizmu i Rosji». «Z Rygi w szczególności przez lat 20 płynął nieustannie strumień gwałtownie antybolszewickiej propagandy za pomocą radia i wszystkimi innymi kanałami».

Skąd tyle niechęci dla małych państweczek, a także i dla innych sąsiadów ZSSR dziś uwiecznionych za żelazną kurtyną, o których los Churchill tak niedawno upominał się w głośnym przemówieniu? *) Odpowiedź szukać można więcej niż jednej: Churchill nie zna z osobistego doświadczenia tej części Europy. Zwykł patrzeć na sprawy bieżące przez okulary historii, która mu przypomina, że opanowanie wybrzeży Bałtyku i «wybicie okna na Europę» przez Piotra Wielkiego było krokiem na drodze do wielkiego postępu także i cywilizacyjnego. Z zagadnieniami wschodnio-europejskimi spotkał się zaraz po pierwszej wojnie światowej, jako wróg komunizmu, ale nie Rosji. W owym czasie utrzymywał kontakt z «Białymi Rosjanami». Skądinąd zbliżył się do głośnego w swoim czasie lewicowego przeciwnika komuny Borysa Savinkowa, którego wybitna indywidualność wywarła na Churchillu silne wrażenie. Wreszcie zdaje się nie ulegać wątpliwości wpływ na jego poglądy inspiracji i informacji wychodzących od Prezydenta Benesa, który uchodził przez wiele lat na Zachodzie za szczególnie kompetentnego znawcę i komentatora polityki Moskwy.

Wylczyłem kilka możliwych tłumaczeń. Pozostaje jedno jeszcze, którego nie można niestety pominąć przy podejmowaniu próby uczciwej ana-

lizy: To troska o usprawiedliwienie własnego postępowania. Jakim ono było w dalszych latach wojny i czym powodowane o tym dowiemy się z dalszych tomów pamiętników Churchilla. Opowie nam niezawodnie jak w maju 1942 roku rząd jego zgodził się już na uznanie dokonanego przez Sowietów zaboru państw bałtyckich — Besarabii i Bukowiny. I jak w ostatniej chwili baczysz ten został cofnięty na skutek stanowczego stanowiska zajętego wówczas przez Amerykę.

Wszystkie powyższe względy zagrały niezawodnie przy potraktowaniu przez Churchilla spraw polskich. Ale zagrały nierównie mocniej. Rzecz dotyczyła bowiem sojusznika dla którego Wielka Brytania pierwsza pospieszyła z gwarancją, który cierpiał i walczył z niezmienną stałością i lojalnością na to by znaleźć się w chwili zwycięstwa opuszczonym i pomniejszonym.

Churchill sugeruje czytelnikowi, że postępowanie Polski od chwili jej odrodzenia nie było nienaganne zaś chwilami wręcz karygodne, że związaną z nią było ciężkim i kosztownym błędem, i że wkład jej do wspólnego zwycięstwa był znikomym. Czyni to przez zacieranie pewnych okoliczności — podkreślanie innych. Opowiadając historię remilitaryzacji Nadrenii 1936 r. pisze, że Premier Flandin: «Otrzymał zapewnienia pomocy (support) od wszystkich narodów Małej Ententy i od innych państw». *) Pod tym dyskretnym anonimem ukrył Churchill Polskę, która pierwsza pospieszyła zapewnić Francję o gotowości dotrzymania sojuszu! Churchill przypominając smutny «appeasement» monarchijskiej piętnuje Polskę za to, że «z apetytem hieny» «wzięła udział w rabunku i zniszczeniu Czechosłowackiego państwa». Stara się dowieść, że państwem zasługującym na poparcie i ze względu na ogólną koniunkturę polityczną i ze względu na silną i dobrze uzbrojoną armię była w roku 1938 Czechosłowacja, którą zdradziło i której los przesądziło w Monachium bez udziału jej przedstawicieli. Natomiast gwarancję udzieloną Polsce określa jako «punkt szczytowy w smutnej historii błędnych ocen dokonanych przez ludzi dobrej woli i kompetentnych». **) Nie stara się o

wyszukanie i pokazanie dobrych stron w tej gwarancji prócz jednej: «Może zaistnieć wypadek gorszy jeszcze. Kiedy walczyć trzeba choć bez nadziei zwycięstwa bo lepiej jest zginąć niż żyć w niewoli».

A przecież nie było tak trudno o znalezienie ich pisząc książkę w kilka lat po opisywanych wydarzeniach! Choćby tę, że Polska wzięła w siebie ostrze niemieckiej agresji i zapewniła zachodowi przeszło osiem miesięcy czasu na przygotowanie się do rozprawy. *) że Polacy walczyli następnie przy boku aliantów oddając cenne usługi wspólnej sprawie podczas gdy mocarstwa zachodnie nie uczyniły w czasie kampanii polskiej nic, aby sojusznika odciążyć. W ogólnym rozrachunku trudno więc Wielkiej Brytanii związać się z Polską zapisząc na straty.

Do grzechów Polski przedwrzesniowej Churchill zalicza rzekomo gwałtownie antyrosyjską politykę Polski. O pakcie o nieagresji polsko-sowieckim z 1932 r., przedłużonym do roku 1945, nie wspomina.

Natomiast podaje fantastyczną wersję naszych rzekomych grzechów. Trudno o tekst bardziej powierzchowny i tendencyjny. Kiedyż wreszcie poważny historyk polski zasilł światową literaturę polityczną tego ważnego okresu dziełem, które by skutecznie zadało kłam legendom!

Oto co pisze Churchill z okazji niefortunnnych rokowań mocarstw zachodnich ze Sowietami w Moskwie w przededniu wojny: «Z drugiej strony Polska przedstawiała dla Rosji inny zupełnie spłot dawnych już politycznych i strategicznych zagadnień. Ostatnim poważniejszym kontaktem z nią była bitwa warszawska, kiedy to armie bolszewickie pod komendą chorążego Krylenki (sic!) zostały odrzucone przez Piłsudskiego wspartego radą generała Weygand oraz misją brytyjską pod przewodnictwem Lorda D'Abernon'a, a następnie scigane z krwawą mściwością (sic!). W tych latach Polska była punktem wypadowym antysowietyzmu. Lewą ręką

*) Von Hassel podaje w swoich zapiskach z daty 11 października, 1939, wiadomość (opartą na sprawozdaniu C. F. Goerdelera), że Hitler zarządził projekt napadu morskiej i powietrznej na Anglię: «z powodu olbrzymich strat w samolotach w Polsce». The Von Hassel Diaries 1938-44, str. 74.

*) Daladier określił rzecz inaczej: «Rosja wolała rozbiór Polski od jej obrony» cyt. u Reynaud: La France a sauvé l'Europe. Tom I, str. 595.
**) Na str. 391 wyd. amerykańskiego.

*) Na zjeździe stronnictwa konserwatywnego w Llandudno w październiku 1948.

*) Str. 130.

**) Str. 341.

łączyła i podpięła antysowieckie państwa bałtyckie. Lecz prawą w okresie Monachium dopomogła w obrabowaniu Czechosłowacji. Rząd sowiecki przekonany był, że Polska go niecierpi a także, że nie posiada dosyć siły dla odparcia niemieckiego najazdu. Z drugiej strony rząd ten był świadomy własnego niebezpieczeństwa oraz tego, że potrzebuje czasu dla naprawienia zamieszania w naczelnym dowództwie własnych armii. W tych okolicznościach widoki misji p. Stranga nie były różowe.

Takiej oceny oczekivalibyśmy raczej w audycjach radiostacji moskiewskiej, a nie w dziele wielkiego europejskiego meża stanu.

W przedstawieniu stosunku umownego Wielkiej Brytanii do Polski wprowadza Churchill retusz, który zmienia charakter i doniosłość przyjętego przez W. Brytanię zobowiązania. Mówi tylko o gwarancji brytyjskiej. Nie wspomina, że przerodziła się ona w zobowiązanie dwustronne od chwili, kiedy min. Beck, dn. 4 kwietnia, 1939, w odpowiedzi na zapytanie prem. N. Chamberlain'a przyjął je imieniem Polski. Rząd brytyjski w owym czasie nie bez racji przywiązywał do wzajemności naszej jak największe znaczenie. *) Trudno uwierzyć by pominięcie tej okoliczności przez Churchilla było dziełem przypadku. Co więcej samo podpisanie formalnej umowy dwustronnej o pomocy wzajemnej oraz tajnego protokołu przez mnie jako ambasadora R.P. i przez Sekretarza Stanu dla spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Lorda Halifax'a — podaje Churchill w słowach następujących: «Dnia 25 sierpnia rząd brytyjski ogłosił formalny traktat z Polską potwierdzający gwarancję udzielone uprzednio».

Na tym jednak nie koniec. Churchill, odstępując w tym niemal jedynym wypadku od metody obiektywnej opowieści, zwraca się na jednej pełnej stronie druku z zarzutami przeciw narodowi polskiemu, któremu wytyka «szaleństwo» (folly) i «niewdzięczność». Te wady zdaniem Churchilla «przez wieki skazywały» naród polski «na niezmiernie cierpienia». Wytyka Polakom, że podczas

*) Poświęciłem uwagę tej sprawie w artykule ogłoszonym w kwartalniku **Sprawy Międzynarodowe**, Londyn, 1948, rok II. Nr. 1/5, pt. «Sojusz polsko-angielski», str. 21-22.

kiedy kraj ich «dzięki zwycięstwu zachodnich aliantów» przywrócony został do życia «jako jedno z głównych państw Europy» oni dla sprawy «tak drobnej jak Cieszyń» odsunęli się od przyjaciół niebawem tak bardzo im znów potrzebnych. Wytyka nam sprawę Cieszyń, «pokazanie drzwi ambasadorom «Wielkiej Brytanii i Francji przez polskiego ministra spraw zagranicznych». Wyraża zdziwienie, że Polacy tak dzielni i pełni wdzięku jako jednostki «obarczeni są chronicznymi wadami niemal w każdym dziale życia państwowego». Kończy retorycznym zwrotem: «Wspaniali w buncie i klęsce; nędzni i wstydu godni w chwili triumfu. A przecież istniały dwie Polski — jedna walcząca o prawdę, druga pogrążona w podłości. Wypadnie mi opowiedzieć o załamaniu się ich wojennych przygotowań i planów; o arogancji i błędach ich polityki; o strasznych rzeziach i klęskach, które na siebie ściągnęli przez swe szaleństwa. A jednak nigdy bezowocnie czekać nie wypadnie na ich odwieczny porów przeciwko przemocy i na ich zdolność ponoszenia z niezłomnym męstwem wszystkich klęsk, które nieustannie ścigają na swoje głowy».

Dziwna mieszanina smutnych i gorzkich prawd o nas, wspomnień z dawnych moich szkolnych lektur, zarzutów podsuniętych w różnych czasach przez «życzliwych» — no i pustej retoryki mającej ulżyć sumieniu samego Churchilla i jego angielskich czytelników, których będą przecież miliony.

Toteż powitać trzeba wypuszczenie przez Churchilla w wydaniu angielskim książki ustępu podanego powyżej w cudzysłowie od słów: «wspaniali w buncie...» aż do końca. Można oczekiwać, że poprawka ta znajdzie się w następnych wydaniach książki w innych krajach. Nie śmiem spodziewać się, by była bardziej radykalna i objęła całą stronę nam poświęconą, chociaż może przy nowym wydaniu trudności techniczne na które napotkać musiało w Anglii poprawianie złożonej już książki, byłyby mniejsze. Treść zaś by na tym zyskała! Pomijam wrażliwość polską, choć trudno mi o nich zapomnieć. Lecz przecież historia ostatnich trzech lat ma swoją wymowę. Okazała ona, że nierozsądni zresztą często Polacy nie we wszystkich byli w błędzie, i że los zgotowany surowo

potraktowanym przez Churchilla «szaleńcom» nie jest znów tak różny od losu stawianych nam za wzór bar-dziej gwałtownych i przeczornych narodów.

Ustęp wypuszczony przerobił Churchill jak następuje: «Całym sercem łączymy się z Polakami w narzuconej im ponownie niewoli i pewni jesteśmy, że nigdy bezowocnie czekać nam nie wypadnie na ich odwieczny porów przeciwko przemocy i na ich zdolność znoszenia z niezłomnym męstwem wszystkich klęsk, które na nich spadają. Wszyscy razem czekamy świtu.»

Jakże różne od poprzednich — znamienne słowa. Oby były zapowiedzią dalszych podobnych słów i poglądów w następnych tomach dzieła — i nie tylko tam.

W tomie drugim: **The Twilight War** Churchill jest w swoim żywiole jako niezrównany majster w opisie bitew i przygotowań do nich. Czytelnicy zwłaszcza angielscy znajdą tam kopalnię ciekawych i dokładnych informacji, podanych tak, jak tylko Churchill uczynić to potrafi. Ze szczególnym sentymentem pisze o wyczynach pierwszej starszeństwem broni w Wielkiej Brytanii tj. marynarki. W słowach prostych, ale pełnych wyrazu zapisuje męzne czyny dokonane przez współziomków i stawia nagrobki bohaterom, którzy oddali życie spełniając swój obowiązek. Wśród pięknych wyczynów bojowych wymienia także i epopeję naszego «Orla». Zarazem daje przegląd własnej niezmordowanej pracy. Różnorodność jego zainteresowań jest uderzająca. Obejmują one obok wielkich zagadnień także i szczegóły wykonawcze. Jasne jest, że Churchill umie ostro żądać i pilnować natychmiastowego wykonania. Trochę się o wynalazki. Wspomina niektóre z nich jak rzeczne miny, lub pługi do rozrywania okopów i zasieków. Były to skromne początki!

W rozdziale 3-cim zatytułowanym: «Ruina Polski», daje na pięciu stronach druku historię wrześniowej kampanii w Polsce. Nie jestem znawcą przedmiotu, ale wydaje mi się, że opis ten jest wolny od większych błędów. Jest zarazem przejrzysty, syntetyczny i dynamiczny, czego nie można powiedzieć o wszystkich opracowaniach dotyczących tego przedmiotu. Opis klęski militarnej Polski uzupełnia Churchill przytoczeniem współczesnych prognostyków swoich

co do możliwości sporu niemiecko-sowieckiego. Znajdował w nich pociechę oraz argument łagodzący oburzenie z powodu krzywdy wyrządzonej polskiemu sojusznikowi Wielkiej Brytanii...

Ze spraw nas jako Polaków szczególnie obchodzących rzuca książka Churchilla pewne światło na jedną, dotąd mało znaną, a zasługującą na osobne studium: dlaczego w czasie kampanii polskiej nie padła na terenie Rzeszy ani jedna bomba sojusznica pomimo usilnych nalegań naszych o bombardowanie odwetowe za naloty samolotów niemieckich na nasze otwarte i bezbronne miasta i wsie, lub przynajmniej bombardowanie samych tylko obiektów wojskowych niemieckich, celem odciążenia nas? Rzecz ta nie była przecież pozostawiona wyłącznie tylko dobrej woli naszych zachodnich sojuszników. Prawda, że nasze układy o pomocy wzajemnej z mocarstwami zachodnimi, a zwłaszcza umowa polsko-brytyjska nie doczekały się do chwili wybuchu wojny należytego przetłumaczenia na język praktycznej pomocy i uzgodnionego współdziałania. Ale właśnie na odcinku pomocy lotniczej porozumienie zostało osiągnięte, w drodze rozmów sztabowych polsko-brytyjskich w Warszawie z udziałem po stronie brytyjskiej, generałów: Claytona, a następnie Ironside. Przewidywało bombardowanie niemieckich obiektów wojskowych a w danym razie (w wypadku odwetu) także i cywilnych. *) Przypuszczam, że podobne porozumienie istnieć chyba musiało także i ze sztabem francuskim?

W książce Churchilla są o tej sprawie następujące wzmianki: «Rząd francuski zwrócił się do nas z prośbą byśmy nie podejmowali ataku lotniczego na Niemcy, ponieważ jego zdaniem: wywołałoby to odwet skierowany przeciw ich fabrykom, które pozbawione były ochrony. Zadowoliliśmy się rzucaniem ulotek mających wznieść Niemców na wyższy szczebel moralności. Ten dziwny okres wojny na lądzie i w powietrzu budził powszechne zdumienie. Francja i Wielka Brytania pozostały nieporuszone podczas gdy Polska w przeciągu kil-

*) Opiaram się na wynurzeniach gen. Wacława Stachewicza. Przytoczone w wyżej powołanym opracowaniu moim pt. «Sojusz polsko-angielski».

ku tygodni legła podbita pod naporem całej niemieckiej maszyny wojennej. Hitler nie miał powodu uskarżać się o to...*) A w innym miejscu: «Brytyjski korpus ekspedycyjny w sile 4 dywizji rozpoczął swój marsz ku Francji, a ministerstwo lotnictwa uskarżało się o to, że nie dozwolono im bombardować obiektów wojskowych w Niemczech.**)

Wreszcie w liście Churchilla do Premiera Chamberlaina z 10 września 1939. Jest ustęp następujący: «1) Jestem nadal zdania, że nie powinniśmy podejmować inicjatywy bombardowania, z wyjątkiem strefy bezpośrednio obejmującej działania armii francuskich, gdzie oczywiście musimy nieść pomoc. Leży w naszym interesie, by wojna prowadzona była w sposób bardziej ludzki i byśmy nie wyprzedzali Niemców lecz przeciwnie szli za nimi w stosowaniu niewątpliwie nie możliwych do uniknięcia metod coraz to ostrzejszych i gwałtowniejszych. Każdy dzień, który mi ja zapewnią lepszą ochronę ludności Londynu i innych wielkich miast, i za mniej więcej dwa tygodnie będzie znacznie więcej względnie bezpiecznych schronów niż jest ich obecnie.»***) Przytoczone ustępy nie dają pełnej odpowiedzi na pytanie jak powzięta została tak blisko nas obchodząca decyzja i na zasadzie jakich argumentów. Osobiście wspominał wizytę złożoną Churchillowi w Admiralicji 4-go, a może 5-go września. Powiedział mi wówczas, że rząd brytyjski operację lotniczą przeciw Niemcom uważa za możliwą i prowadzącą do celu tylko w związku z operacją zaczepną armii lądowej. Niestety udział brytyjski w składzie armii francuskiej jest jeszcze tak mały, że nie daje Wielkiej Brytanii prawa do wywierania nacisku w tej materii. Francuzi zaś nie śpieszą się z ofensywą... Akcja lotnicza w oderwaniu od operacji lądowej byłaby bezskuteczna i kosztowna.

W owym czasie nie znany był dostatecznie fakt o zasadniczym znaczeniu — ogromnej przewadze liczebnej Luftwaffe nad RAF'em. On to

niezawodnie mocno zaciążył na decyzjach Londynu.*)

W opisach późniejszych operacji wojennych sprzymierzeńców udział oddziałów polskich poruszony jest zupełnie epizodycznie. Rolę odegraną przez Polską Brygadę w zdobyciu Narwiku Churchill pomija. O tworzeniu armii polskiej we Francji jest krótka wzmianka, a także o udziale generała Sikorskiego w obradach najwyższej rady wojennej międzysojuszniczej w Paryżu dn. 22 kwietnia, 1940 r.

Dopiero na ostatnich stronach książki znajdujemy bezwiedne niemal świadectwo potwierdzające znaczenie dla Zachodu kampanii polskiej. Piszac o wrześniu 1939 r. Churchill stara się usprawiedliwić niedojście do skutku ofensywy francuskiej na linie niemieckie. Sam wówczas jak twierdzi nie uważał jej za możliwą. Kiedy jednak przystępuje do opisu chwili poprzedzającej natarcie Hitlera na Francję wypowiada takie oto słowa: «Tak daleko zaszliśmy od czasu zajęcia Renanu 1936 r., kiedy prosta operacja policyjna byłaby wystarczająca; lub od czasu Monachium kiedy Niemcy zajęte Czechosłowacją nie miały do wystawienia na froncie zachodnim ponad 13 dywizji; albo choćby od września 1939 r., kiedy, póki trwał opór polski, nie było na zachodzie więcej niż 42 dywizje. Cała ta straszliwa przewaga (nieprzycięcia) urosła tak dlatego, że w żadnej chwili nawet wtedy kiedy mieli absolutną przewagę, nie ośmielili się sojusznicy na stanowcze przeciwstawienie się ponawianym agresjom Hitlera i gwałceniu traktatów.»

Piszac dla czytelników polskich omówiłem szczegółowo i niemal wyczerpująco to co w książce bezpośrednio nas dotyczy. Brak miejsca nie pozwala mi przedłużyć i tak zbyt obszernej recenzji. Rzecz trzeba przeczytać. Zawiera ona nie tylko materiał dopraszający się polemiki. Odwaga z którą przystępuje do najdrażliwszych zagadnień i omawia je z odrzuceniem konwencjonalnych ba-

*) W 6 miesięcy później rząd francuski odmówił Churchillowi zgody na zaminowanie Renu minami pływającymi («operation Royal Marine»). Powodem odmowy była obawa przed niemieckimi represjami przeciw Francji. W tym wypadku Churchill ostro potępia metodę «nie drażnienia nieprzyjaciela» (strona 574-5).

nałów, zachęca do naśladowania. W polskiej publicystyce brak tego wielki. Nad wysiłek rzeźbienia w «materiale» tj. w faktach pomysłowych lub niepomyślnych, które nam zastępują drogę przedkładamy niestety wciąż jeszcze ucieczkę w świat teoretycznych spekulacji. Złe tym sposobem przygotowujemy się do rozpoznawania i rozwiązywania trudnych, a nadto realnych zagadnień, które nas czekają w bliskiej już może przyszłości.

W przedmowie do książki Churchill daje następującą, godną uwagi, zapowiedź: «Przyjąłem za zasadę nie krytykowania żadnego poczynania z dziedziny wojny lub polityki 'post factum' o ile przed tym nie wyraziłem o nim publicznie lub formalnie swego zdania, lub przestrogi». Faktem jest, że pisząc o sprawach i o osobistościach brytyjskich unika tzw. «prania brudnej bielizny». Wspaniałomyślnie oszczędza nawet tych, których niegdyś najostrożniej zwalczał. Szczególnie rycerski jest w uwagach poświęconych swemu poprzednikowi na stanowisku premiera N. Chamberlinowi. Kreśli jego sylwetkę mistrzowską ręką. Pokazuje go takim jakim go osobiście znałem: człowiekiem

niedostatecznie, obeznanym z zagadnieniami międzynarodowymi i na tym polu naiwnym; ale w gruncie twardym i wytrwałym; klasycznym wykładnikiem kupieckiej rzetelności, jakże dalekim od dobrodusznego «parasolowicza» jakim uczyniła go współczesna karykatura.

Szkoda iż Churchill swej mądrej zasady nie rozciągnął na sprawy polskie, lecz odniósł się do nich w sposób, który bez przesady i hysterii trzeba ocenić jako krzywdzący. Szkoda tym większa, a tym łatwiejsza do uniknięcia, że Churchill w przeciwieństwie do niektórych innych zmarłych lub żyjących jeszcze polityków na Zachodzie nie był, a wierzę, że nie jest nawet i dziś jeszcze obarczony kompleksem antypolskim.

Cenił on sobie swoją wielką niegdyś u Polaków popularność. Utracił ją nie z naszej winy. Doświadczenie niewielu lat okazało, że sprawy nasze jego także ręką pchnięte zostały w ślepy zaułek. Takie niepowodzenia niecierpliwią, ale także i uczą i nie są bez nawrotu.

EDWARD RACZYŃSKI.

Londyn, październik 1948 r.

Polska i Litwa

Pan Wł. Wielhorski już w Polsce eieszył się opinią jednego z dobrych, a nieźbyt przecież u nas licznych znawców Litwy i zagadnień litewskich. Ogłaszane przezeń przed wojną rozprawy i szkice były rzetelnym promieniem światła na ów splot litewskich do nas żalów i uprzedzeń, nieufności i niechęci — owe «uraży» czy «kompleksy», z których wyrósł nad granicą i stał przez 20 lat mur głuchy i nieprzystępny, bezprzykładny, bo nie spotykany w stosunkach międzynarodowych. Wydana w Londynie przed kilku miesiącami książka p. Wielhorskiego o wzajemnych stosunkach polsko-litewskich 1) jest więc dalszym ciągiem jego przedwojennych fragmentarycznych badań i studiów — rozszerzeniem ich

już na całość zagadnienia, od najdawniejszych czasów aż do roku 1924, a więc i na niejedną z tych niedalekich w czasie spraw, których nie tknęło jeszcze pióro nie tylko historyka, ale nawet i publicysty.

Historia idzie nieraz na usługi polityki — równie często polityka chętnie wprzęga historię do swego rydwanu. Paru moich poprzedników-recententów, oceniając publicznie pracę p. Wielhorskiego, próbowało związać ją z aktualnymi prądami politycznymi — z ideą federacji czy problemem Międzymorza. Jeden z polsko-litewskich doświadczeń historycznych wyciąga wniosek, że i na przyszłość innej drogi nie ma; drugi posuwa się dalej — stwierdza, że historia dała Europie «pouczającą lekcję» i zapytuje, czy Europa, a przynajmniej już bezpośrednio zainteresowane narody zechcą z tej lekcji skorzystać? Przeczytałem książkę bardzo uważnie i nie odniosłem wra-

1) Władysław Wielhorski: *Polska i Litwa. Stosunki polityczne w biegu dziejów*, Londyn, The Polish Research Centre, 1947, str. IV i 376.

*) Str. 422-423.

**) Str. 451.

***) Str. 453.

zenia, by można było wypychać ją na tory jakiejs służby dla szerszej czy węższej koncepcji federacyjnej.

Unia polsko-litewska wykazała, że istotnie można było przez zespolenie sił nie tylko zahamować, ale i złamać na dłuższy okres nacisk sąsiednich imperializmów. Wykazała jednak coś więcej jeszcze. Charles Peguy powiedział kiedyś, że «nie nie można zdobyć na zawsze, niczego nie zdobywa się na wieczność». Nie sadzę więc, by ktokolwiek mógł i chciał na projekty federacyjne odpowiadać niechęcią czy niewiarą dlatego tylko, że oto unia polsko-litewska została zerwana po pięciu latach trwania. Ale przecież zarodki tego smętnego finału żyły w przeszłości i odzywały się w niej nieraz. W odległym procesie złazienia i stopniowego zrastania się dwóch państw i trzech narodów w «jedną spólną Rzeczpospolitą» było tyle wewnętrznych oporów, tyle grzyzów, tarć, nawet wstrząsów i ostrych kryzysów, wymagających dla siebie, dla swego złagodzenia nie tylko długiego czasu i specjalnych, niepowtarzalnych warunków, ale i ogromu wyrozumiałości, mądrej cierpliwości oraz genialnej umiejętności godzenia rzeczy sprzecznych i włączania ich do wspólnego łożyska, — że dla dzisiejszych federalistów wyrastać muszą wnioski raczej zniechęcające, budzące znacznie więcej wątpliwości, niż wiary w możliwość zbudowania obszernego domu federacyjnego. Jeśli na drodze dwóch tylko państw było tak dużo wewnętrznych trudności i przeszkód, to ileż ich spiętrzyć się musi dziś i na szerszej platformie, gdy nie ma już monarchów, uważających kraj i naród za swoją własność prywatną, gdy za pełno jaskrawych różnic i głębokich odrębności, jątrzących się uprzedzeń — starych zakorzenionych nałogów i młodych, rozrosłych bujnie, nieustępliwych i zażartych nacjonalizmów? Jak to wszystko przezwyciężyć, jak znaleźć język wzajemnie zrozumiały? Zresztą — nie tylko to. Sam autor zajmuje w tej sprawie stanowisko zupełnie dla mnie wyraźne. Oto — pisać w swej książce o polskiej koncepcji federacyjnej z r. 1919, uznaje ją za o wiele wyższą i przeznaczonej do istnienia wówczas również dążenia do bezpośredniego wcielenia do Polski wschodnich kresów, podkreśla, że koncepcja ta, dostrzegając w Niemczech i w Rosji trwałe ośrodki skłonności zabor-

czych, ogarniała nie tylko Litwę, Białoruś, Ukrainę, ale także i kraje bałtyckie, bo — jak mówi — żaden z narodów tego rejonu nie posiadał warunków do obrony w pojedynkę swej niezależności, dodaje wszakże, że dziś — po 30 latach — argumentacja taka dźwięczać musi jako anachronizm, bo dziś, po roku 1945, nawet większy zespół państw nie wystarczyłby «do celów obrony ich bytu narodowego wobec zdobyczy techniki — ujarzmienia energii atomowej przez człowieka».

Nie sadzę, by takie wynurzenia można było przyjąć jako wyznaczenie wiary przekonanego federalisty. W innym fragmencie swej książki mówi autor, że los, jaki spotkał miasta japońskie, — «rozszerzać zdaje się ideę federacji w nieskończoność». — «Bomby atomowe niszczą do gruntu dotychczasowe pojęcie suwerenności, nawet — największych mocarstw... Podmiotem obrony od tej chwili jest chyba cała ludzkość, w węższym znaczeniu — rasa biała, w najwęższym może — kontynent Europy. Po wojnie niniejszej co najmniej na jego obszarze powstanie chyba jakieś nadpaństwo dla 400 milionów Europejczyków. Może tego wymiaru potęga w sensie przestrzennym, ludnościowym i ekonomicznym potrafi zapewnić bezpieczeństwo naszej części świata... Nie czuje się i w tych uwagach wiary w możliwość rychłej realizacji takiego tworu. Toteż myślę, że rzeczą jedynie słuszną jest — nie doszukiwać się w książce p. Wielhorskiego nieistniejących tam tendencji czy zapędów propagandowych, a patrzeć na nią po prostu jako na owoc rzetelnej pracy historyka. Autor wzrokiem tkwi w przeszłości polsko-litewskiej od jej najdalszych początków, — wśród jej blasków i cieni bada, ustala i szereguje fakty; szuka ich przyczyn, śledzi skutki, najwięcej uwagi poświęcając wyjaśnieniu tego dziwołagu, w jaki w ostatnim okresie wynaturzyły się stosunki polsko-litewskie. Jeśli wybiega myślą w przyszłość, to w paru tylko wypadkach i nie inaczej, tak samo, jak w uwagach o bombie atomowej. W końcowych rozważaniach mówi np., że po tej wojnie narody Europy «będą musiały znaleźć możliwość współżycia sąsiedzkiego» i że to zadanie leży również przed Polakami i Litwinami, ale form tego współżycia nie określa wcale.

Nie zgodziłbym się również ze

swymi poprzednikami, twierdzącymi, że jest to książka łatwa w czytaniu. Paru posunęło się aż do oświadczenia, że przeczytało ją «jednym tchem». Myślę, że ta przesadna w stosunku do autora uprzejmość graniczy już z przysługą nie bardzo zgrabną. Książka prawie 400-stronicowa, obejmująca kilkadziesiąt lat historii, pełna aż po brzegi dat, imion, faktów i dokumentów, przetkanych gęsto cyfrowymi obliczeniami i wnikliwymi refleksjami autora, — wymaga od czytelnika niemałego wysiłku i pracy. Sam autor czuje się jakby przytłoczony nadmiarem materiału, tu i tam — jakby nie ufając sobie, czy zdołał dobrze z jakąś kwestią się uporać, w kilku kolejnych rozdziałach powtarza swoje argumenty, powtarza nawet dłuższe swoje uzasadnienia, aż nieraz robi to wrażenie, jakby książka nie powstała od razu, że jest jakby mechanicznym połączeniem w różnym czasie pisanych i w różnych pismach ogłaszanych fragmentów. Bogata w treści, głęboka i ciekawa w swych marginaliach raczej uwagach — łatwa w czytaniu nie jest. «Jednym tchem» przeczytać ją można chyba tylko po tzw. łebkach.

Mówi się często i dużo o obiektywizmie w historii. Czymżeż jednak on jest? Sądzę, że tylko fikcją — ideałem nieosiągalnym. Nawet przy badaniu spraw tak odległych, jak — powiedzmy — tragiczny w przebiegu i skutkach zatarg króla Bolesława ze św. Stanisławem, — osobiste sympatie i przekonania historyka ujawniają się w kierunku badań, w naświetlaniu faktów, w końcowych wreszcie wnioskach. Piszą historię ludzie, a przecież *homo sum nil humani a me alienum puto*. Są wszakże różne formy, czy raczej różne poziomy tego «obiektywizmu». I trzeba tu stwierdzić, że poziom p. Wielhorskiego jest bardzo wysoki. Jest on Polakiem i z tego przede wszystkim stanowiska patrzy w przeszłość. Nie ukrywa wszakże ani swego serdecznego umiłowania dla litewskiej kultury ludowej, ani swego ciepłego stosunku do politycznych aspiracji litewskich w sensie odrębności państwowej. Błąka się po stronicach książki i między jej wierszami lekka, ledwo dostrzegalna — polska, nieunikniona chyba u Polaka — mglika żalu, że wielkie, wspólne dzieło przodków leży oto w gruzach, że zarastają zielskiem stare,

szersokie szlaki polsko-litewskiego współżycia. Ale przecież nie ma w tym ani cienia gniewu. Autor, szukając grzechów i błędów, dostrzega je po obu stronach. Nie oskarża i nie potępia, gdy wina leży tylko po stronie litewskiej — stara się tylko ją wyjaśnić i ma przy tym dużo wyrozumiałości. Nie traci swego spokoju nawet wtedy, gdy grzebiąc w popiołach całkiem bliskich, gorących jeszcze, przedstawia bolesne i tragiczne sprawy z dnia wczorajszego. W nieuniknionej polemice z przeciwnikami litewskimi, prowadzonej z wielkim taktem i umiarem, ogranicza się przeważnie do konfrontacji litewskich poglądów z rzeczywistością historyczną. I to nie on, tylko przeszłość wymierza druzgocący cios w gmach litewskich skarg, żalów, pretensji i ich wypaczonych uzasadnień.

Trudno byłoby streszczać tutaj książkę p. Wielhorskiego. Jest to przecież w bardzo dużej mierze nasza własna, polska historia, nie tylko od aktu krewskiego z r. 1385, ale przynajmniej od końca wieku XII, od czasu pierwszych łupieżczych najazdów litewskich na Polskę. Po paru rozdziałach wstępnych, przedstawiających najstarsze dzieje Litwy — jej genealogię i koligacje, pierwotny ustrój plemienny i szybki rozrost terytorialny Litwy w wieku XIII i XIV, — autor omawia kolejne etapy zespalańia się dwóch państw i trzech narodów od unii krewskiej do konstytucji z r. 1791, bada stosunki wzajemne tych mocno już zrośniętych części Rzplitej w okresie walk zbrojnych o niepodległość od Kościuszki do powstania styczniowego, daje bogaty obraz odrodzenia narodowego Litwinów na przełomie w. XIX i XX, wreszcie zamyka książkę opisem stosunków pomiędzy odródną Polską i niepodległym państwem litewskim, niestety — tylko w okresie 1918-1924.

Po takim najpobieżniejszym streszczeniu zwrócić uwagę na kilka istotnych momentów. Przede wszystkim więc sprawa odporności litewskiej na wpływy obce i powolnego wprowadzenia, ale stałego w ciągu wieków kurczenia się etniczno-językowego obszaru litewskiego. Litwini w swej tendencyjnej historiografii nie mało też wyleli z powodu unii z Polską i jej rzekomo wynaradawiających skutków. Uważają unię za największe bodaj swoje narodowe nie-szczęście. Glorifikują spolonizowa-

nych już magnatów litewsko-ruskich, których wybujała dumą rodowa pchała na drogę karygodnego warcholstwa i zdrady stanu w stosunku do Rzeczypospolitej. Tak więc na zmu-dzi, w Birżach, postawili pomnik Januszowi Radziwiłłowi za to, że próbował oderwać od Rzeczypospolitej i połączyć ze Szwecją poprzez znany traktat z Karolem Gustawem drobną część z obszarów litewsko-ruskich resztę o wiele większą pozostawiając najazdowi moskiewskiemu. Jedno cześniej — ostrą niechęć, ciężkie zarzuty i oskarżenia kierują do twórców unii — do Jagiełły i jego następ-ców — ich obarczając winą i odpowiedzialnością za «wynarodowienie Litwinów».

O stratach etnografii litewskiej pisano u nas od dawna już i dużo. Zabierali głos nie tylko współcześni historycy z sędziwym Al. Brückne-rem na czele. Śięgam właśnie po wy-kłady paryskie Mickiewicza o litera-turze — mówił już i on, jak to Lit-wini, podbijając księstwa ruskie, — «jak niegdyś Normandowie, toneli w swoim podboju, stawiali się Słowia-nami», — jak to nigdzie nie zdołali narzucić «swej narodowości, łatwo owszem przybierali narodowość miejscową». P. Wielhorski, w książce swej zestawiając wyniki badań szeregu historyków, stwierdza, że w w. XII obszar plemienny Litwy zajmował około 60 tys. klm. kw. Do początków w. XVI obszar ten rozszerzył się do 83 tys. klm. kw., ale był to już punkt kulminacyjny ekspansji terenowej — od tej chwili trwa i postępuje aż do naszych czasów stałe zmniejszanie się tego obszaru; w r. 1939 wyno-sił on już tylko 56 tys. klm. kw., a więc mniej, niż w w. XII.

Litwa w w. XIII, za ks. Mendoga ma niespełna 200 tys. mieszkańców. Ustawiczne najazdy krzyżackie i wy-prawy wojenne pociągają za sobą straty. Brak ręk do pracy zmusza do ściągania elementu obcego. P. Wiel-horski podaje, że w okresie, poprze-dzającym unię, uprowadzono z Polski w wyniku łupieżczych wypraw do 100 tys. branców. Rozrzuceni poje-dynczo lub małymi grupkami, brancy polscy wsiadli w litewskie otoczenie. Była to więc strata polska, a po-ważny zysk litewski. Inaczej — z elementem ruskim. W w. XIII i XIV ludność ruska ze świeżo zdobytych obszarów, pędzona nakazami książę-cymi na zniszczone przez Krzyżaków na Litwie rdzennej tereny czy też warstw litewsko-ruskich. Polszczyzna

do budowy umocnień w grodach, w pewnym tylko odsetku, po dalekich, głębiej w Litwie wsiach, roztopia się również w litewskim otoczeniu, po grodach natomiast i w pobliżu więk-szych szlaków zachowuje swój jezyk i obyczaje, co więcej — narzu-ca je litewskim autochtonom. Powięk-szoną już przez Mendoga Litwę Gedy-min poszerza kilkakrotnie, przyła-czając do niej obszary białoruskie aż po Polesie, Witebsk i Mińsk; moż-na by już tu powiedzieć za Mickie-wiczem, że przestaje być Litwa pań-stwem litewskim: «Naród litewski ujrzał się w dawnych swoich grani-cach, jak strumyk po zbytecznym opada wylewies». Ekspansja ta po-ciąga za sobą głębokie przeobraże-nia w życiu wewnętrznym. Gedymin — mocą swoich czynów — staje się «największym rutenizatorem» litew-skiej warstwy kierowniczej i rycerskiej. Podbita Ruś zwycięża Litwę wyższością swej kultury. Dwór książęcy i jego otoczenie przejmują wraz z mową i obyczajami ruskich bojarów, zespala się z tą bojarstką warstwą, odchodząc stopniowo, ale coraz da-lej od mas ludu litewskiego. Nastę-puje «dramatyczne rozszczepienie narodu» — odsunięcie warstw wyż-szych od pnia macierzystego. Rute-nizacja, bardzo już poważna przed okresem zbliżenia z Polską, postępuje również po unii. Od początków w. XV język ruski panuje już nie tylko w domach szlacheckich, ale i w są-dzie, w wojsku, w życiu politycznym na całym terenie Księstwa. W stule-ciu następnym język litewski zanika i wśród drobnej szlachty na obsza-rach Litwy rdzennej — i tu do życia domowego wchodzi białoruszczyzna; tylko w najdalszych zachodnich częś-ciach żmudzi drobna szlachta mówi jeszcze po litewsku. Na obszarach, mieszanych narodowościowo lub na «liniach styku» dwóch narodowości, białoruszczyznę przyswajają również wieśniak litewski, bo — jak wiemy to już od Brücknera choćby — Białorusin nie mógł i nie chciał uczyć się trudnej litewszczyzny, język ruski był przy tym znamieniem pociągającym wyższości społecznej i kul-turalnej, ułatwiał w dodatku porozu-mienie się z mieszczaństwem i boja-rami, nie znającymi już litewszczyzny. Na to zrutenizowane tło przycho-dzą dopiero wpływy polskie, wyra-żające się początkowo w latinizowa-niu, a nie polonizowaniu wyższych

głębszą i szerszą falą iść zaczyna dopiero w w. XVI, jeśli współzawod-niczy — to z łaciną i z językiem ruskim, a nie litewszczyzną. Jedy-nym wyjątkiem było bezpośrednie spolonizowanie tej drobnej już gar-stki szlacheckiej, która na żmudzi do początków w. XVII używała, zresztą w domu tylko, języka litewskiego. Polskość przenikała, utrwałała się i rozszerzała różnymi drogami. Jest tu cały wachlarz elementów — wielkich i mniejszych; nie było gwałtu, ani nacisku, nie było zwalczania ani ruskiego, ani litewskiego języka czy oby-czaju. Była wyższość i siła atrakcyj-na polskiej kultury i polskiego ust-roju, napływ żywiołu polskiego osia-dającego, z początku w miastach, później na roli, były małżeństwa mie-szane, kościół, szkolnictwo. I nie nie zmienia faktu, że polskość w swym pochodzie nie uszczuplała litewszczyzny — polonizowało się to, co już od dawna było zrutenizowane i od daw-na dla litewszczyzny stracone.

Historiografia litewska nie ma więc żadnych podstaw do żalów i narze-kań na «wynaradawiające» skutki unii. Jeśli już ma oskarżać i potę-piać kogoś za straty w rodzimej et-nografii, to właśnie gloryfikowanych przez siebie Mendoga, Gedymina, Wi-tolda — mimowolnych sprawców ru-tenizacji kraju. Oskarżany Jagiełło przez unię z Polską ochronił przed krzyżackim podbojem «obszar gniaz-dowy» Litwy i uratował tą drogą «sól ziemi litewskiej» — lud z całym bo-gactwem jego etnografii od losu, jaki przed wiekami już spotkał nieszczęs-nych Prusów, wytopionych przecież doszczętnie. Z tej przecież uratowa-nej przez Jagiełłę «soli» powstało to, co nazywamy dziś narodem litew-skim.

Siła, pchająca Litwę do zjednocze-nia z Polską, było stałe nateżenie niebezpieczeństwa z zewnątrz. W obronie przed Zakonem krzyżackim rodzi się idea podboju Rusi, by przez zużytkowanie jej sił ludzkich i za-sobów gospodarczych wytworzyć jeśli nie przewagę, to przynajmniej rów-nowagę sił z Zakonem. Okazało się to wszakże niewystarczające i stał szukanie drogi ratunku przed Zako-nem w oparciu o Polskę. Gdy po Grunwaldzie oddala się groza nie-bezpieczeństwa krzyżackiego, przy-chodzi i trwa do końca XV wieku krytyczny okres w stosunkach pol-sko-litewskich. Gdy jednak ukazuje się na wschodzie nowe — moskiew-

skie — niebezpieczeństwo, Litwini zaczynają ponownie zabiegać o wzmocnienie łączności z Polską. P. Wielhorski, mówiąc o wpływie wzra-stającego nacisku Moskwy na sprawę współzycia polsko-litewskiego, pomija kwestię według mnie bardzo istotną. Postaram się przedstawić ją tu w skrócie jak największym.

Dażenia litewskie do zagarnięcia i skupienia dokoła Gedyminowej dy-nastii rozbitych na dzielnice księstw ruskich spotykają się już na począt-ku w. XIV (czasy Iwana Kality) z podobnymi planami Moskwy. «Książę-ta moskiewscy — pisze jeden z histo-ryków rosyjskich — zmierzali ku temu samemu celowi — starali się zgrupować możliwie największą ilość ziem ruskich wokół silnego centrum, jakim stawała się Moskwa». Pierwsza wojna litewsko-moskiewska z r. 1406-1408 jest jeszcze wyrazem zdecydowanej przewagi litewskiej. Przewaga ta rośnie nawet do r. 1449. Jest to moment przełomu — Litwa po traktacie pokojowym rezygnuje już z wielkich ambicji, pragnie tylko zachować to, co ma. «Tkwił w tym błąd kardynalny — stwierdza jeden z naszych historyków, Kolankowski — państwo takie, jak litewskie, zbu-dowane w 3/5 na ruinach księstw ruskich, mogło mieć tylko jedną rację stanu. Iść stałe naprzód, podbić wszystkie ziemie ruskie i wziąć Moskwę. Przed tym nie wolno pod żadnym warunkiem zatrzymać się w tym pochodzie. Dzień, w któ-rym się to stało, był pierwszym dniem klęski. Stanowcze unicestwie-nie Moskwy, a przynajmniej odrzuce-nie jej wpływu daleko poza obręb ruskich dzielnic, było pierwszym nie-odzownym postulatem mocarstwo-wej polityki litewskiej». W drugiej połowie w. XV inicjatywę przejmują Moskwa. Litwa nie jest w stanie sama obronić swych posiadłości. Unia z Polską musi się pogłębić. Bo bez pomocy polskiej załamałaby się nie tylko integralność ziem Księstwa, ale i jego niepodległość. Polska nie od-mawia tej pomocy — pragnie tylko ściślejszego związku z Litwą i ro-zumie zresztą, czym stać by się mogła dla niej Moskwa po zagarnięciu obszarów litewskich. Tylko dzięki zjednoczeniu Polska i Litwa wspólnym wysiłkiem powstrzymują agresję mo-skiewską. Przez dwa prawie wieki — mimo niestabilnego dynamizmu Mo-skwy, mimo jej lokalnych tu i tam sukcesów przewaga jest jeszcze po

stronie polsko-litewskiej. Zwrot następuje po r. 1667. Potem przychodzi już czasy Piotra Wielkiego i Katarzyny.

Unia z Polską, ratując Litwę przed śmiertelnym podbojem krzyżackim, osłaniała ją przez cztery wieki przed niewolą moskiewską. Współczesna historiografia litewska nie chce tych wielkich prawd dostrzegać. W niechęci swej do unii przedstawia ją w ogóle jako owoc polskiej intrygi i przymusu, jako «konstrukcję» słabą i wiotką. P. Wielhorski, przeciwstawiając tym twierdzeniom rzeczywistość historyczną, dorzuca jeszcze swoje słuszne wnioski, iż obserwacja porównawcza zjawisk dziejowych poucza, że «ilekroć rozum ludzki zawiedzie i wywiera nacisk na życie z kierunkiem jego naturalnym niezgodny — tylekroć wyniki takich usiłowań bądź zawodzą z miejsca, bądź dają owoce ulonne, krótkotrwałe». Były i działały wewnętrzne siły litewskie, walczące z procesem zbliżenia, — były moce zewnętrzne: Krzyżacy, cesarstwo niemieckie, Moskwa, orda Karystka, Szwecja, księstwo Pruskie, różnymi drogami i środkami dążące do rozbicia unii. Jeśli więc w tych warunkach nie załamała się, lecz przeciwnie — głęboko pusiła korzenie, to widać, że — jak mówi p. Wielhorski — wyszła z mocnych, zdrowych założeń, że odpowiadała koniecznościom organicznym obu społeczeństw oraz warunkom zewnętrznym ich życia politycznego. Ciekawe są — choć w pewnych częściach budzić muszą zastrzeżenia — uwagi autora o roli «warstw dziejotwórczych» w utrwalaniu się unii, — warstw, istniejących po obu stronach, dojrzałych historycznie do wielkich zadań, umiających i mających dość sił na realizację nakreślonego programu politycznego wbrew potężnym nieraz oporom, zarówno od wewnątrz, jak i od zewnątrz.

Autor, przedstawiając dzieje unii, mówi nie tylko o różnorodnych czynnikach, pobudzających do jej utrwalenia i pogłębienia. Wskazuje również na objawy hamujące i grożące nawet rozbiciem związku. Ambitny Witold dąży do uniezależnienia się od Polski i myśli o koronie królewskiej dla siebie. Świdrygiełło w sojuszu z Krzyżakami prowadzi wojnę z Polską. Istnieje długo linia podziału na zwolenników i przeciwników zacieśnienia stosunków z Polską. Zdarzają się okresy krytyczne, przy-

chodzą kryzysy bardzo ostre w parę pokoleń po śmierci Władysława Jagiełły i Witolda. W pewnych etapach polityka zagraniczna obu państw biegnie torami odrębnymi.

Wylania się tu kwestia separatyzmu litewskiego. Niewątpliwie — Litwin w stosunku do swego państwa był patriotą. W początkowej fazie unii patriotyzm ten mógł wyrażać się w dążeniu do zachowania odrębności i samodzielności państwowej. Nie sądzę, by postępowanie Witolda np. tłumaczyć można było tylko jego ambicjami osobistymi lub kryzysów późniejszych tylko klasowymi względami. Trzeba przy tym pamiętać, że — jak wykazuje to p. Wielhorski warstwy zrutenizowane choć mową, obyczajami i pojęciami odeszły daleko od ludowych mas litewskich, to jednak przez długi jeszcze czas żyły w poczuciu plemiennej z nimi jedności. W zachowanych pomnikach literatury dźwięczy zupełnie wyraźne nuta odrębności organicznej w stosunku zarówno do zachodniej Polski, jak i wschodniej Rusi.

Wychodząc może nieco poza ramy omawianej książki, stwierdzę, że hamulcem dla tego separatyzmu państwowego stały się niebezpieczeństwo zewnętrzne — ze strony Moskwy. Pod tym wpływem traci on swoją ostrość, układa w łagodną formę, powiedziałabym — patriotyzmu dzielnicowego, z dążeniem do zachowania odrębności i równorzędności pod wspólnym dachem Rzeczypospolitej. Nie zabijają go postępy polonizacji, przeciwnie — udziela się on nawet rodowitym Polakom na Litwie osiadłym. W tej formie — separatyzmu dzielnicowego — przetrwa do w. XIX i nawet do naszych dni. W okresie walk o niepodległość, gdy Litwa w ślad za Koroną chwytła za broń, toczyła się w ogniu wspólnej walki spory o granicę wewnętrzną czy o kompetencję powstańczych ośrodków kierowniczych, bo Wilno i tu nie chce zależności, lecz — równorzędności z Warszawą. Są oczywiście i inne formy separatyzmu. W w. XVI przemawia interes klasowy litewsko-ruskich magnatów, którzy nie chcą ściślejszego z Polską związku, bo grozi demokratyzacją ustroju na Litwie i uszczupleniem magnackich przywilejów. Odzywa się też wybujała duma rodowa pewnych jednostek, prowadząca je na drogę pospolitej zdrady w stosunku do Rzeczypospolitej i służby dla obcych. Tak

było z Radziwiłłami w okresie potopu. Zapomniany przez p. Wielhorskiego dumny Kazimierz Sapieha zwalczał króla Sobieskiego, w oparciu o Austrię i Brandenburgię knuł przeciw niemu spiski, wiązał się ze szwedzkim Karolem XII. Zdradą również — w formie służby dla Rosji — były poczynania Kossakowskiego. Inne intencje i barwy ma to u Ogińskiego, który w okresie Napoleona namawiał cara Aleksandra na usamodzielnienie ziem księstwa litewskiego — w nadziei, że powstrzyma to Polaków przed związaniem się z Francją i będzie wstępem do zjednoczenia Rzplitej pod berłem carskim. Oczywiście — te czy inne podobne wypadki nie mogą być uważane za wyraz narodowego separatyzmu litewskiego, o czym tak wiele mówi historiografia litewska.

Powiedzieliśmy już wyżej, że po pierwszych aktach unii zrutenizowane warstwy bojarские żyły jeszcze w poczuciu jedności plemiennej z masami ludu litewskiego i w poczuciu litewskiej odrębności organicznej. P. Wielhorski pisze, że ten plemienny separatyzm zaczyna zanikać w w. XVI, a całkowicie zamiera w w. XVII. Tak, ale tylko w warstwach magnackich i szlacheckich. W formie nie skryształizowanej, potencjalnej może, trwa on na obszarach Litwy «gniazdowej», w granicach dzisiejszej Kowieńskiej. Żmudź długo broni się przed przyjęciem chrześcijaństwa. Tu po pierwszych akcie unii szuka dla siebie schronienia i stąd kieruje akcją współwyznawców główny kapłan litewski. Jagiełło, licząc się z tym oporem, dokonywuje chrztu żmudzi dopiero w r. 1413, w ćwierć wieku po wprowadzeniu znaku Krzyża na obszary Litwy «wiejskiej». Pogaństwo wszakże nie zanika. Żmudź uparcie trzyma się wiary przodków do końca XVI, a nawet do początków XVII stulecia. Zjawiska tego nie można wytłumaczyć tylko tym, że dla żmudzinów pojęcie chrześcijaństwa łączyło się z obrazem gwałtów i okrucieństw krzyżackich, lub tym, że praca misyjna była słabą i niedostateczną.

Z tej to właśnie opornej i upartej żmudzi wyrasta w drugiej połowie w. XIX dzisiejszy naród litewski. P. Wielhorski w ostatnich czterech rozdziałach swej książki mówi szczegółowo o odrodzeniu narodowym Litwinów, o kształtowaniu się litewskich aspiracji w okresie 1905-1918 oraz

o stosunkach polsko-litewskich w okresie po odzyskaniu niepodległości do r. 1924, szeroko i wyczerpująco traktując zwłaszcza sprawę Wilna. Z nieprzeciętnego bogactwa tych rozdziałów wybierzemy tu z konieczności tylko kilka kwestii zasadniczych. A więc — młoda inteligencja litewska, wyrastająca bezpośrednio z warstwy ludowej i pragnąca wypełnić życie litewskie treścią rodzimą, na każdym kroku spotyka się z przejawami i wpływami polskości. Zahamowanie jej postępu staje się najbliższym celem pionierów litewskiego ruchu narodowego. Czują oni jednak, że w walce na zasadzie współzawodnictwa przewagi nie uzyskają i procesu polonizacji nie powstrzymają. Stąd nie tylko stosunek wrogi, ale i chęć czy konieczność nawet odcięcia się i odgródzenia. Tu jest według mnie źródło i późniejszy polityki Litwy jako państwa. P. Wielhorski podkreśla zresztą, że świadomość wielowiekowych strat w obszarze i ludności na rzecz najpierw rutenizmu, a następnie polskości rozdziła niechęć do federacji i w ogóle bliższych stosunków z Polską. Osobiście — pamiętam, że gdy na krótko przed wybuchem wojny — w lecie r. 1939 — byłem w Kownie i na Litwie, uderzał mnie w rozmowie z nim i lek przed atrakcyjną siłą polskiej kultury; mówili mi, że odgradzając się od nas murem, uchylając się od normalnych z nami stosunków, pragną wychować przynajmniej parę pokoleń bez polskiego wpływu, przekreślić i zdeptać ślady unii, pogłębić poczucie odrębności i wzmocnić odporność; odnosiłem z tych rozmów wrażenie, że nawet gdyby Wilno należało do nich, też znalazłby jakiś powód do utrzymywania głuchego muru nad granicą z nami.

W jednym z ciekawszych fragmentów książki zastanawia się autor nad pojęciem narodu i narodowości, przytaczając poglądy socjologów obcych i polskich; nie zajął do Libelta czy Trentowskiego, znalazłby tam dla swojej tezy korzystne definicje. Według jego tezy narodem jest ta grupa ludzi, z których każdy się uważa za przynależnego do danej wspólnoty narodowej; składa się on z jednostek nieraz o bardzo różnych pierwiastkach rasy, ale posiadających wspólną przeszłość historyczną, a w wyniku tego i wspólny zaczął kulturę; naród to grupa, spójna niematerialną więzią solidarności wzajem-

nej — grające w duszach poczucie przynależności narodowej to istotna i jedyna cecha dowodnie stwierdzająca narodowość; niedopuszczalne więc jest kwalifikowanie kogoś do tej czy innej narodowości wbrew jego woli i mimo jego życzenia. Stąd prawo opcji i prawo tworzenia narodowych państw niepodległych. Litwini wbrew tym zasadom moralności międzynarodowej stworzyli specyficzną teorię «krasizmu», według której o przynależności narodowej człowieka decyduje nie jego poczucie, a związki krwi i pochodzenie. W wyniku tego stanowiska nadawali sobie prawo polityczne do ziem, zamieszkałych ongiś przez Litwinów, i co gorsza — prawo moralne do wynarodowienia ludności tubylczej — wchłonać tyle terenów już litewskich, ile może strawić organizm litewski przy pomocy maszyny państwa. Stąd pretensje do polskiego dziś Wilna i polskiej Wileńszczyzny, stąd też postępowanie Litwinów w latach 1939-1944, kiedy to w Wilnie z własnej inicjatywy i z natchnienia obu okupantów przeprowadzali swój program «tępienia polskości nad Wilną i Niemnem» — drogą przemocy fizycznej, brutalnej, nawet okrutnej.

Książka — jak powiedziałem już — jest wyjątkowo bogata w treści, dlatego bardziej niż w innych wypadkach dziwić czy razić muszą pewne w niej braki. Są one różnego wymiaru. Z mniej poważnych wymienię tu dla przykładu pominięcie kwestii stosunków wspomnianej przez autora parokrotnie Litewskiej Soc.-Demokracji z polskim ruchem niepodległościowym sprzed pierwszej wojny światowej. Dziwna ta organizacja w początkowej fazie pomimo swej «litewskości» posługiwała się niemal wyłącznie językiem polskim i skupiała w sobie ludzi, których większość nie mówiła po litewsku; stojąc na gruncie separatyzmu, odsu-

wała się od jakiegokolwiek współpracy z ruchem polskim. W opisie wydarzeń z r. 1919, autor tak mało mówi o programie politycznym Polski i tak jest pochłonięty sprawą stosunków z Litwą, że wywołuje to wrażenie, jak gdyby plany federacyjne Piłsudskiego zamykały się w ramach problemu litewskiego. Brak najpoważniejszy — to zamknięcie książki na roku 1924. Nie mówi więc nic o ostatnim okresie: 1924-1938. Nie ma w niej spotkania Piłsudskiego z Waldemarą w Genewie, nie widzimy wysiłków polskich w kierunku normalizacji stosunków sąsiedzkich, nie ma misji Prystora w Kownie, a wizyty Zubowa i Szaulisa w Warszawie. Nie ma marca z r. 1938 z naszym do Kowna ultimatum i usunięciem muru znad granicy. Autor wychodził zapewne z założenia, że moment definitywnego uznania granic Polski i Litwy przez mocarstwa zachodnie jest zamknięciem okresu historycznego. Nie sadzę, by założenie takie było słuszne. Zresztą autor w niejednym wypadku wybiega znaczenie poza ten okres — nieraz nawet po dzień dzisiejszy.

Nie chcę jednak tymi bądź co bądź zgrzytliwymi uwagami zamykać oceny rzetelnego wysiłku p. Wielhorskiego. I dlatego — jeszcze kilka słów. Jakkolwiekby się odczuwało te braki, nie można nie przyznać książce jednego z czołowych miejsc w naszej uchodźczej literaturze historyczno-politycznej. W sprawie tak niełatwej, zaognionej nawet, jak rozbrat litewsko-polski, książka sama, choćby najlepsza, nie rozwiąże wszystkich mocnych węzłów, nie wyprostuje pokręconych dróg. Ale gdzie dobrej woli nie brak — na pewno ułatwi usunięcie niejednego głazu z drogi, wyrwanie z serca niejednego ciernia. I w tym będzie jej zasługa.

Wł. Pobóg-Malinowski.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZACH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZACH 2,50 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.
w BELGII 20 fr. belg.; w ARGENTYNIE 2,50 peso.

Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; 1/2-roczna 500 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; 1/2-roczna 16 sh.
we WŁOSZACH: roczna 2000 lir; 1/2-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; 1/2-roczna 12 kor.
w NIEMCZACH: roczna 25 Mk.; 1/2-roczna 15 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr. szw.; 1/2-roczna 10 fr. szw.
w USA i Kanadzie: roczna 6 dol.; 1/2-roczna 4 dolary
w ARGENTYNIE: roczna 25 peso; 1/2-roczna 15 peso
w BELGII: roczna 180 fr. b.; 1/2-roczna 100 fr. b.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; 1/2 strony 4.000 fr. fr.

Przedstawicielstwa:

W W. BRYTANII: „GRYF” Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.
We FRANCJI: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IVe)
We WŁOSZACH: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.
W NIEMCZACH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel Bienberg, U. S. Zone.
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej «Libreria Polaca», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires.
W KANADZIE: Polska Agencja Książek i Czasopism, 636 Queen St. West, Toronto, Ontario.
W U.S.A.: zamówienia i wpłaty kierować: „Harvard Trust Company”, Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dziwanowski.
W BELGII: do nabycia w Librairie et Bibliothèque „Slave”, 13, rue de Roumanie, Bruxelles.

Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV.
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ech egzemplarzach

**Jeśli pismo ma być całkowicie
niezależne – to musi się
opierać jedynie na pomocy
swoich czytelników.
Nie wystarczy chwalić –
trzeba pismo prenumerować
i zdobywać dla niego nowych
prenumeratorów.**

**Zawiadamiamy prenumeratorów i czytelników, że
przedstawicielem „KULTURY” i INSTYTUTU
LITERACKIEGO na W. Brytanię od lipca rb. jest**

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy*

4